

NAVAŁ



CHŁOPAKI GROM – HISTORIA PRZYJAŹNI Z MARSA

BELLONA

CHŁOPAKI Z MARSA

Głośny huk! To się zaczyna szturm!
Jak z niebios bogów gniewnych
Grom uderzył!

Nabój w magazynku ściska sprężyna,
Palec na spuście niecierpliwie drży,
Oko z celownikiem zgrywać się zaczyna,
Czekasz na cel, to on, nie ty!

Sekcja już przed wejściem, to ostatnia chwila,
Eksplozja rozrywa drzwi!
Pierwszy jest w środku, za nim już drużyna,
Sekcja w komplecie, więc on, nie my!

Błysk, huk, piekielna siła,
Cel pada cały we krwi,
Śmiertelny cios, tak się wygrywa,
Ty giniesz, bo GROM to my!

Kto w duszy ma pragnienie,
Kto siłę w sobie ma,
By walczyć tak jak my,
By zostać jednym z nas,
Jak kiedyś Cichociemni
W nieznane prosto szli,
Miej Polskę w swoim sercu,
Charakter miej we krwi.

autor tekstu: Naval
muzyka i wykonanie: Grzegorz Fiks

Piosenka powstała na 30-lecie JW GROM.
Płyta z utworem stanowi dodatek do limitowanego
wydania *Chłopaków z Marsa* w oprawie twardej.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CHWAŁA BOHATEROM

1. POWROTY

1.1 – Michał

1.2 – Afganistan

1.3 – Operacja zakończona sukcesem

1.4 – Gorzkie żale

1.5 – Nigdy nie jest się doskonałym

2. PAŁACOWI

2.1 – Stary

2.2 – Cygan

2.3 – Bisu

3. NIE TYLKO CHŁOPAKI Z MARSA – DZIEWCZYNY TEŻ

3.1 – Szósta w sekcji

3.2 – Mosul D-REAR

4. CAMP POZZI

4.1 – Które to już powstanie...

4.2 – Bagdad wczoraj i dziś

5. WIOSNA 2004

5.1 – Kontraktorzy

5.2 – Żuku

5.3 – Kaśka

6. CO Z TYM PTSD?

6.1 – Perfekcyjnie skuteczni

6.2 – Nowy SEAL Team

7. MARINES Z DET ONE

7.1 – VBIED

7.2 – Tylut

7.3 – Jednoręki Bandyta

Okładka

NAVAL

CHŁOPAKI GROM – HISTORIA PRZYJAŹNI Z MARSZA

BELLONA
WARSZAWA

Projekt okładki i stron tytułowych
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
Naval

Redaktor prowadzący
Joanna Markiewicz

Redakcja merytoryczna
Ewa Cieślak-Kaczyńska
Paulina Maksymowicz
Joanna Markiewicz

DTP
Marzena Andziak

Korekta
Zofia Gawryś

Autorzy zdjęć wykorzystanych w książce *Naval, Michał, Tylut, Kate, Wampir, Żuku*
Zdjęcie generała Sławomira Petelickiego umieszczono za zgodą córki Dominiki
Petelickiej

Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., Ożarów Mazowiecki 2020
Copyright © by Naval, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie lub wykorzystywanie całości lub jakichkolwiek fragmentów bez zgody
właściciela praw zabronione.

Wydawca:
Bellona
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa
www.bellona.pl

Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Księgarnia internetowa:
www.swiatksiazki.pl

Dystrybucja:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl

ISBN 978-83-11-15969-3

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

**Na trzydziestolecie istnienia Jednostki Wojskowej GROM
w Wasze ręce trafia książka, w której zapewne niejeden
z Was odnajdzie część siebie**

Naval

Pamięci chłopaków, którzy poświęcili swoje życie, byście mogli żyć bezpiecznie i czytać takie książki jak ta.

„Szczupły”

„Kaśka”

„Żuku”

„Diabeł”

„Ousi”

„Poziomka”

„Witek”

„Mirek”

„Krzychu”

„Gienek”

In honor of Navy SEAL Jon „JT” Tumilson

CHWAŁA BOHATEROM

Na zakończenie selekcji w Bieszczadach pan pułkownik Petelicki przyleciał do nas śmigłowcem. Chciał porozmawiać z każdym, kto przeszedł selekcję, by nas poznać i osobiście zdecydować, kogo przyjmie do GROM-u. Ukończenie selekcji nie było jednoznaczne z przyjęciem do Firmy. Trzeba było pomyślnie przejść rozmowę z jej dowódcą. To on ostatecznie decydował o losach poszczególnych kandydatów na szturmowców – i nie wszystkim po tej rozmowie uściśnął dłoń, co jest jednoznaczne z powitaniem w Firmie. Postawa, głos, styl bycia i uścisk dłoni jak u kowala sprawiały, że my, żołnierze, czuliśmy się wyróżnieni, przebywając w jego towarzystwie. Generał miał wielką charyzmę; starsi koledzy mówili o nim „Ojciec” – i faktycznie traktował ich jak synów, ale dla mojego pokolenia byłoby to zbytne spoufalenie się. Dla nas był dowódcą, a między sobą mówiliśmy o nim po prostu „Petel” – ale z szacunkiem.

Łatwo o kims napisać, że ma charyzmę, ale co to dokładnie oznacza dla jego otoczenia, a w naszym przypadku dla podwładnych? Pan generał był przede wszystkim liderem, który swoje dowodzenie opierał na autorytecie w myśl zasady: „Za mną”, a nie „Naprzód”. Ukończył trzyletni kurs antyterrorystyczny dla dowódców jednostek specjalnych, prowadzony przez CIA Special Operations Group. Był skoczkiem spadochronowym, miał za sobą kurs strzelca wyborowego i pletwonurka, miał 5 dan w karate fudokan – a więc dużo potrafił, a co ważne, nie był pionkiem z politycznego nadania. Za takim dowódcą można iść w ogień.



General brygady Sławomir Petelicki – pomysłodawca i pierwszy dowódca Jednostki Wojskowej 2305 (GROM). „Dobry dowódca otacza się mądrymi ludźmi, którzy podołają jego wymaganiom” – tak sądził Sun Tzu. Według tej myśli przywódca musi być pewien swoich podwładnych, wiedzieć, że nie opuszczą go podczas sytuacji kryzysowej i będą potrafili udzielić mu odpowiedniego wsparcia – swoją wiedzą lub siłą. Otoczenie się pochlebcami lub tchórzami Sun Tzu uważa za najgorsze posunięcie – oderwanie dowódcy od rzeczywistości sprawia, że szybko poniesie klęskę

Niestety nadszedł dzień „prucia sejfu” i skończyła się nasza służba pod jego wybitnym dowództwem. Pan general budował wokół siebie

niezwykłą aurę; był człowiekiem, którego po prostu się lubiło, a zarazem mieliśmy do niego ogromny szacunek. Spotykając go, nie mówiliśmy: „Czołem!”, lecz normalnie: „Dzień dobry”, a uścisk dłoni miał charakter koleżeński. My, „nowi, młodzi”, w tamtym czasie mieszkaliśmy w Warszawie, przy ul. Podchorążych, blisko Łazienek Królewskich. Tuż obok koszar mieszkał też Petel i zawsze, kiedy zauważył nas po drugiej stronie ulicy, podchodził, by się przywitać.

Generał często nie znał naszych imion; nigdy nie pytał, co robimy w Firmie i jakie mamy stanowiska, po prostu wiedział, że jesteśmy „chłopakami z Marsa”, których przyjął do pracy i obdarzył zaufaniem. Rozmawiał więc z nami faktycznie jak ojciec! Pytał, jak nam idzie na treningach, i dodawał, że jeśli jest ciężko, to dobrze – bo trenujemy dla siebie, ale zarazem stajemy się lepszymi Polakami, a kraj może się kiedyś upomnieć o nasze umiejętności, mamy więc być wytrwali. Zapewniał nas, że choć nie jest już dowódcą GROM-u, nie pozwoli, by jego – a teraz już nasze wspólne – dzieło ktoś zmarnował. Każdy, kto miał przyjemność słyszeć Petela przemawiającego na żywo, do dziś pamięta, jak doniosłą atmosferę potrafił stworzyć, nawet podczas zwykłego spotkania. Słuchaliśmy go jak zaczarowani, czuliśmy, że łączy nas z nim więź. Było to niesamowite przeżycie.

Pan generał do końca był jednym z nas – a raczej to my dzięki jego inicjatywie staliśmy się „chłopakami z Marsa”. Cichociemnymi naszych czasów. Dzięki powołaniu do życia Jednostki Wojskowej GROM według takiego, a nie innego planu do Warszawy przyjechało wielu młodych ludzi, którzy zostali przeszkoleni w sposób prawdziwie nowatorski, co miało wpływ na ich osobowość i podejście do życia. Nie trzeba już było myśleć o Legii Cudzoziemskiej albo karierze mechanika samochodowego na Zachodzie – mogliśmy spełniać się w kraju, w Wojsku Polskim, tu żyć i rozwijać się, zakładać rodziny, oddziaływać na nowe pokolenia Polaków zamiast wieść żywot emigrantów. Dziś myślę o naszych dzieciach i o tym, jaką rolę odegrał GROM w życiu każdego z nas.

Uważam, że można śmiało powiedzieć, że pan generał w jakimś stopniu był faktycznie naszym ojcem.

Każde święto, czy to jednostki, czy kościelne, było w Firmie okazją do uroczystych spotkań. Na te spotkania zapraszano polityków, generalicję, ale najważniejszymi gośćmi byli cichociemni i żołnierze konspiracyjnej Armii Krajowej. To im generał poświęcał najwięcej uwagi, dbając zawsze, by oddano im należne honory. Bywało zabawnie, gdy pchający się do pierwszego rzędu goście byli przez Petela uprzejmie, ale stanowczo przesadzani w trakcie imprezy – honorowe miejsca były zawsze rezerwowane dla kombatantów. Przed każdą uroczystością dostawaliśmy „przydziały” – po dwóch, trzech na każdego z zaproszonych gości, żeby żaden z nich nie został sam zarówno podczas oficjalnej części spotkania, jak i po jej zakończeniu. Była to dla nas dobra lekcja savoir-vivre’u, te rozmowy z politykami i dyplomatami, ale za największy zaszczyt poczytywaliśmy sobie możliwość poznania naszych patronów – cichociemnych. Na niektórych naszych spotkaniach bywało nawet siedmiu starszych panów z taką krzepą, że serce rosło. Zdobywaliśmy cenne doświadczenie, ucząc się obycia w kontaktach z ministrami, premierami i prezydentem. Dzięki temu umieliśmy potem zachować się całkiem na luzie zarówno w czasie nieoficjalnych spotkań, jak i podczas pracy związanej z ochroną tych VIP-ów. Swobodne rozmowy z osobami znanymi nam dotąd tylko z telewizji uzmysławiały nam, że każdy jest tylko człowiekiem, że nie ma nadludzi – niektórych wyróżnia jedynie zajmowane aktualnie stanowisko. Jeśli odczuwaliśmy tremę, to tylko podczas rozmów z cichociemnymi – byli naszymi idolami, niedoścignionymi wzorami. No i, co ważne, nigdy podczas tych spotkań nikt nie stał nam za plecami, nasłuchując, co takiego szeregowy żołnierz powie ministrowi.

Mieliśmy okazję przekonać się po raz kolejny, jakie podejście miał do nas generał, przy okazji uroczystej kolacji wydanej dla uczczenia jego sześćdziesiątych urodzin. Wśród gości było wielu polityków, biznesmenów i celebrytów, ale i my – był zaproszony cały szturm.

Pokażcie mi drugiego takiego dowódcę w odrodzonej Polsce, który na swoje urodziny zaprasza swoich żołnierzy i nie każe im krzyczeć: „Czołem, panie generale!”, tylko sam wita ich w progu sali balowej i stawia im piwo. *Chapeau bas*, panie generale.

Ale Petel nie stworzył GROM-u sam. Otoczył się wybitnymi ludźmi, którzy mu w tym dziele pomogli. Środowisko, z którego przyszedł do Firmy, można dziś krytykować, analizując decyzje ówczesnych władz, ale skąd, jeśli nie z tego środowiska, mieli się wziąć założyciele i pomysłodawcy GROM-u? Amerykanie – oficjalnie do niedawna przedstawiciele wrogiego Polsce państwa – obdarzyli ich zaufaniem, a my...?



Identyfikator (nieśmiertelnik) ppłk. Leszka Drewniaka ps. Diabeł

Podpułkownik Leszek Drewniak ps. Diabeł (ten pseudonim nosiły w Firmie dwie osoby, drugą był Damian z zespołu wodnego) znalazł się w Warszawie za sprawą swojego ojca, który jako wojskowy

weterynarz dostał przydział w stolicy i musiał opuścić gościnny Wrocław. Młody chłopak, rzucony na warszawską Pragę, często dostawał po nosie od rówieśników czy starszych łobuzów. Dlatego w wieku 16 lat zapisał się na karate i zbieranie cięgów się skończyło. Późniejszy pan pułkownik wykazał się talentem na skalę wręcz światową. W 1972 roku wraz z Markiem Stefaniakiem jako pierwsi Polacy uzyskali w karate stopień mistrzowski 1 dan. W 1979 roku Diabeł ukończył AWF. Studia i przygoda z karate doprowadziły go do Biura Ochrony Rządu, gdzie od 1984 roku prowadził zajęcia z walki wręcz. Ciężką pracą zdobył szacunek; wiem, jak wyglądały treningi z nim, nie dziwi mnie więc kolejny krok w jego karierze: wysłano go na Akademię Służb Specjalnych, po czym został mianowany na pierwszy stopień oficerski. Po uzyskaniu stopnia oficerskiego wszedł w skład specjalnej grupy ochronnej, która skupiała najlepszych BOR-owców. Jej zadaniem była ochrona najważniejszych VIP-ów, zarówno tych przyjeżdżających do Polski, jak i naszych, w sytuacjach najwyższego zagrożenia. Nic więc dziwnego, że Petelicki, chcąc stworzyć w Polsce jednostkę na wzór Delta Force czy SAS, zaprosił do współpracy właśnie Leszka Drewniaka. Ten przyjął propozycję od razu, po czym razem, jako „łowcy talentów”, jeździli po kraju w poszukiwaniu odpowiednich chłopaków. Diabeł nie tylko rekrutował i szkolił, lecz także sam przeszedł drogę podobną do tej, którą później my musieliśmy przejść – zgodnie z zasadą „Za mną”, a nie „Naprzód”. Właśnie za takie podejście szanuje się w wojsku dowódców – nie za stopień, który oni sami, często mylnie, uważają za wyznacznik autorytetu. Diabeł ukończył Special Training Group Counter-Terrorism Tactical Unit Course, czyli dawny kurs działań antyterrorystycznych, prowadzony w USA przez amerykańskich operatorów, i wiele innych szkoleń, które na początku istnienia Firmy były prowadzone za oceanem. Wyjechał także razem z jednostką na pierwszą robotę do Haiti. Niech Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Krzyż Zasługi za Dzielność nie pozostaną jedynym dowodem wdzięczności za jego służbę dla kraju.

Podpułkownik Leszek Drewniak był niezwykle skromnym człowiekiem, ale warto pamiętać zarówno o nim, jak i o pozostałych ludziach, którzy nie patrząc na pieniądze, poświęcali swój czas, by w postkomunistycznej Polsce stworzyć nową, jedyną w swoim rodzaju jakość: GROM. Zawodowa przeszłość tych ludzi z okresu przed 1989 rokiem nie jest w stanie przysłonić ich zasług dla wolnej już ojczyzny. Chwała Bohaterom.

1

POWROTY

Niestety to wcale nie jest tak, że wracasz z wyjazdu i jesteś bohaterem jak cholera – nieważne, co i gdzie robiłeś. Minęły czasy, kiedy witano nas schabowymi i suto zastawionym stołem oraz wylewną mową dowódcy „spadochroniarza”, ogrzewającego się w ciepłe naszej roboty. Pożegnaliśmy je bez wielkiego żalu. Co więcej, żaden z nas takich powitań nie oczekiwał, choć sam schabowy po przymusowym długim rozstaniu z tradycyjnym polskim jadłem był naprawdę mile widziany. Dowódca oczywiście jakiś tam jest, ale narzucili go nam politycy, nikt więc się do niego zbyt nie przyzwyczajają. Zapewne niejedną jego karierę na koniec swojej prominentnej kariery dowódczo-wojskowej bardzo chciałby zostać komandosem – jeśli nie pomyślał wcześniej o selekcji, zostaje taka droga, więc tym razem entliczek, pentliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc! Ale to, co działo się w sztabie, to nie nasza sprawa, zwyczajnie nie mieliśmy czasu o tym myśleć.

Wracasz i dopada cię proza życia. Jednego dnia parę tysięcy kilometrów stąd zakładasz ładunek kumulacyjny i wysadzasz drzwi cholernie niebezpiecznym ludziom, robisz swoje, po czym... zbierasz zabawki, pakujesz skrzynie i wracasz do domu. Kilka dni później smarujesz zawiasy w drzwiach do własnego domu i przy tej konserwatorskiej robocie zastanawiasz się, jaki byś na nie założył ładunek, gdyby to one były twoim głównym punktem wejścia. Drzwi mają dwa zamki, stalowa zasuwa w tym górnym jest nieco wyżej niż dziurka od klucza. Mieszkanie jest w bloku, korytarz jest długi, więc większego ładunku nie założę; już planuję długość nonela[1]... Po pierwsze, nie ma się gdzie schować podczas wysadzania; po drugie, w zamkniętej przestrzeni wzrost ciśnienia mógłby nas wydmuchać razem z drzwiami – a po doświadczeniach na porosyjskim poligonie o znamiennej nazwie Leningrad, gdzie trenowaliśmy robienie

przejsć metodą wybuchową, wysadzając nie tylko drzwi i okna, ale też ściany, stropy i mury, wiem, że można w ten sposób nieźle nadwerężyć całą konstrukcję budynku. Tak właśnie stało się kiedyś w Szczecinie za sprawą naszych policyjnych antyterrorystów. Eksplozja zniszczyła nie tylko drzwi, lecz także klatkę schodową, ściany sąsiednich mieszkań, no i powypadały szyby ze wszystkich okien. Dlatego my na poligonie najpierw tworzymy sobie ośrodek doświadczalno-badawczy, żeby nie poprzesuwać ścian postronnym ludziom. Więc... szyby nie wydmucha, a co najważniejsze, możemy stać blisko punktu wysadzania. OK, wracam do swoich rozważań, w których główną rolę odgrywają drzwi do mojego mieszkania. Tu jak nic pójdzie w ruch mechanika w postaci dziesięciokilogramowego młota; w uszach brzęczy mi komenda: „Ciężki”. Co ja robię?! Smarując skrzypiący zawias, bezwiednie planuję szturm... na własny dom! Czyli tak: duży przedpokój i trzy pokoje – nasz cel albo cele, bo tych zawsze w irackich mieszkaniach było więcej, niż zakładał wywiad, miałyby czas wstać na równe nogi i sięgnąć po kałacha, leżącego jak zwykle na nocnym stoliku zamiast budzika albo gdzieś w pobliżu. Jak nic potrzebny będzie *flashbang*, a potem parę kolejnych, żeby narobić takiego kipiszu, w którym nikt oprócz nas nie zdoła sprawnie działać, a co dopiero walczyć, oddając precyzyjne strzały. Zdobyłem własne mieszkanie! Czysto! No, prawie, jeszcze kibelek do umycia i *mission complete*.

Przed zakupami jedziemy wymienić opony. Cholera, przed chwilą przecież zmieniałem opony! I co, znów to samo? Jakies *déjà vu*? Nic z tych rzeczy, po prostu tak szybko nastąpiła kolejna pora roku. Jest komenda, jedziemy. Auto prowadzi moja żona, a mnie w nim jakoś ciasno i dziwnie – nie ma sprzętu taktycznego, nie trzymam broni w dłoniach... Przez ponad pół roku prawie codziennie jeździłem HMMVW – a teraz przesiądź się, człowieku, z dnia na dzień do osobowej mazdy 6. Niby nie jest to mały samochód, bo kombi, ale coś mi tu nie gra. Wiem! Drzwi mi przeszkadzają! Nie mogę wystawić kolana na zewnątrz, czuję się jak w klatce, a po wyjeździe na warszawską Trasę Łazienkowską, która ma po trzy pasy

w każdym kierunku, spinam pośladki i łapię się na tym, że siedzę bokiem do kierunku jazdy i trzymam kolejne sektory odpowiedzialności. W głębi duszy mam pretensje do Goški, że pozwala się wyprzedzać. I czemu, na litość boską, z tyłu nikt tych wyprzedzających nie blokuje?! A może to my jesteśmy ostatni, więc to nasza robota, żeby nie tylko nie dać się wyprzedzić, ale i nie pozwolić, by ktoś podjechał zbyt blisko nas? Cholera, gdzie jest mój *gunner* Tylut? Czemu nie rzuca w to całe matolstwo kamieniami?! Przecież od początku ofensywy uczymy miejscowych trzymać odpowiedni dystans do wojskowej kolumny, że nie wspomnę o flashbangach i strzałach ostrzegawczych! Każdy nasz wyjazd poza bazę był walką, i to zerojedynkową... No nie, tu to się nie da jeździć! Kątem oka widzę, jak wyprzedza nas biała toyota, i aż mam ciarki, bo ulice Bagdadu, Faludży czy też Nadżafu pełne są właśnie takich aut. Raczej nie jeżdżą nimi romantyczni brodaci szejkowie w kefiach, którzy dopiero co zamienili wielbłądy na konie mechaniczne, ale bandyci, którzy chcą szybko wypełnić lukę, przejmując schedę po Saddamie i jego rodzinie w nie do końca jeszcze poukładanym kraju. Iracka wojna nadal się tli, a tam, gdzie jest dym, łatwo o ogień – uwierzcie mi, podpalaczy jest tam wielu.

No, ale jesteśmy w Warszawie, która – jak cała Europa – jest wolna od wojny. Jednak w radiu słyszę, że w ostatni weekend na polskich drogach w 432 wypadkach zginęło 39 osób, a rannych było 519. Kurde, statystyki gorsze od tych operacyjnych z ostatniego weekendu w Iraku, gdzie zginęło 3 żołnierzy koalicji, a 11 było rannych w 7 zamachach. Czy to takie ważne, jak się ginie? Każdy zamach na polskiego żołnierza tam, w Iraku czy też Afganistanie, jest w mediach głośno komentowany, ale to, że tuzinami zabijamy się na naszych drogach, to cicha poniedziałkowa statystyka. Jakiś matoł ostro zajechał nam drogę, przecinając trzy pasy, by jeszcze przed nami wepchnąć się na prawy zjazd. Ja pierdolę, w Iraku się tak nie bałem.

Opony zmienione. Jedziemy wreszcie na zakupy. Już mam zły nastrój. Pewnie rozwijający się pręźnie rynek dóbr szybko

zbywalnych dołożył na półki kolejne rodzaje maseł i margaryn! Już ostatnio po powrocie z Zatoki Perskiej miałem problem z wybraniem tej idealnej, w takim, a nie innym opakowaniu, z konkretną zawartością tłuszczu, konkretnej marki. Jebuuuut – głośny dźwięk wyrwał mnie z rozmyślań o możliwościach, jakie daje wolny rynek. Co to za cholera?! Tu wcale nie jest bezpieczniej niż w Bagdadzie! Dopiero co wysiadłem z samochodu na parkingu przy hipermarkecie, a już zważyło mnie z nóg i kucam za kołem. WTF?! Kto, do jasnej cholery, wali do nas z moździerza pod Warszawą? Gośka stoi nade mną. „Ma nerwy ta dziewczyna”, myślę sobie, „a może jest nieświadoma zagrożenia?”. Po chwili całkiem blisko pierdolnął kolejny. Gośka dalej stoi i ani drgnie, patrząc na mnie z politowaniem. No tak! To nie moździerz, tylko starszy pan trzasnął za mocno klapą od bagażnika, a ten odgłos niesie się w moich uszach jak salwa artyleryjska po prawie pustym parkingu.

Na zakupach nawet nie jest źle, skupiłem się tylko na pchaniu wózka: świetnie prowadzę HMMV, więc poradzę sobie z wózkiem w markecie, choć tu prym w manewrowaniu bezapelacyjnie wiodą emerytki, które nie zważając na zwalniacze przed kasą, wciskają swój wózek przede mnie. Przydałaby się im lekcja pokory, którą zapewne dostałyby w kolejce dla cywili przed bramą wjazdową do Camp Victory, który przylega do Międzynarodowego Portu Lotniczego w Bagdadzie. Tam trzeba było mieć nerwy ze stali, żeby spokojnie czekać w kolejce na wjazd: zdarzyło się, że ktoś bardzo niecierpliwy się wysadził... i to dosłownie. Dlatego my przemykaliśmy jak najszybciej pasem dla wojska, jak ona teraz pasem dla emerytów bierze mnie z boku i pcha się na taśmę z jabłkami, bananami... cholera, ma i granaty.

Ale tu kolorowo. Tyle że ludzi za dużo i każdy najwyraźniej obrał sobie mnie za cel i chce się o mnie otrzeć. Kurde, nie można jakoś tak szerzej, luźniej stać w tej kolejce? Przecież nigdy nie wiesz, kogo masz za plecami – no, chyba że to kumpel z sekcji. W drodze powrotnej z zakupów znowu wściekam się na jadące zbyt blisko nas inne samochody. Żeby odciągnąć uwagę od tego, co na zewnątrz,

skupiam się na radiu. Kanał pierwszy odkryty, na drugim kontakt z dowódcą szturm, trzeci to Drago i faktycznie leci coś po angielsku, czwarty to my, fajnie, nadają po naszymu. I czego się na tym kanale dowiedziałem? Że „Baśka miała fajny biust” już w 2002 roku! Komentuje Gośka, bo to hit, który zna cała Polska. Jak ja przeżyłem dwa lata bez tej ważnej dla żołnierza nowiny? Dopiero teraz uczę się szybko tekstu wyśpiewanego przez zespół Wilki.

Piękne jak okręt (uuuuuuu)

Pod pełnymi żaglami

Jak konie w galopie (uuuuuuu)

Jak niebo nad nami

Cholera, coś mi jednak w życiu umknęło! Samochód niby ten sam, choć przyciasny, ale warszawskie ulice jakieś inne; wszędzie coś się buduje, dźwig na dźwigu. I w Camp Pozzi trwa boom budowlany, Bill Pozzi zamówił okna (Irakijczycy z ekipy budowlanej już zaczęli je wstawiać) i ponoć mają przyjechać prysznice, takie kontenerowe – by wojsko mogło zakosztować luksusu. Zdaję sobie sprawę, że obecnie lepiej znam Bagdad niż Warszawę. Zdecydowanie wolę jeździć nocą. Jakoś bezpieczniej się czuję, prowadząc po ciemku, niż za dnia. Jeżdżąc bagdadzkimi ulicami o nieznanych nazwach – gdzie bym nie był, do Green Zone trafię po omacku.

Wydaje mi się, że nie mam jakiegoś wielkiego fioła... ale niezależnie od tego, gdzie jestem i jakich ludzi spotykam, patrzę na otaczający mnie świat z jedną myślą: „To może być czas i miejsce na walkę”; sektory otwierają mi się jak przed graczem w strzelance komputerowej. Bo jak wyjść z załomu, czyli zza rogu budynku, na otwartą przestrzeń ot tak, bez wstępnego rozpoznania, czy jest czysto, i to jeszcze bez ubezpieczenia? Po wielu nocnych patrolach dziwnie jest poruszać się samemu; musicie wiedzieć, że każdy nasz krok to nowe sektory, w których może czaić się przeciwnik. Zagrożeniem może być nie tylko to, co dookoła, ale także wszystko, co znajduje się wyżej, niżej: piętra, dachy, nawet z małego okienka

piwnicowego też można oddać tak zwany strzał znikąd. Jeden z moich kolegów założył sobie dodatkowe drzwi. Przepisy przeciwpożarowe stanowią, że drzwi muszą otwierać się do środka (tak jest strażakom łatwiej je wyważyć), a ten sobie zamontował dodatkowe, takie otwierane na zewnątrz. Muszę w swoich kolejnych próbach pirotechnicznych rozważyć pokonanie takiej niespodzianki. „Jak widać, świrów jest na tym świecie wielu”, pomyślałem, śmiejąc się pod nosem: w duchu drę łącha z kumpla, ale i z samego siebie, siedzącego nadal bokiem do kierunku jazdy i przeklinającego w duszy wyprzedzających nas kierowców.

1 Nonel (od ang. *non electric*) – sposób nieelektryczny odpalania ładunków materiałów wybuchowych przy zastosowaniu specjalnych przewodów detonujących.

1.1 – Michał

Umówiłem się z Michałem i nie jestem już sam – mam obok kogoś, kto tak jak ja zna taktykę, podczas niewinnego picia piwa sektory będą więc pokryte. Michał wrócił do Polski nieco wcześniej niż ja, po ponad dziewięciu miesiącach spędzonych w Afganistanie. Przyszliśmy do Firmy w tym samym 1998 roku. Co więcej, przechodziliśmy razem selekcję i wspólnie szkoliliśmy się podczas kursu podstawowego. Pamiętamy się z tego okresu jak przez mgłę, choć jedna sytuacja wyraźnie utkwiała mi w pamięci. Nadal widzę, jak wyprzedzam go dwa razy tego samego dnia; to był trzeci dzień selekcji, Michał wtedy już mocno kuśtykał. Mieliliśmy łązić na azymut po Bieszczadach, z górki na górkę, po krzakach i zaroślach, i wyszukiwać kolejne punkty zaznaczone przez instruktora na mapie. Dodatkem do takiego punktu był zazwyczaj rozleniwiony instruktor, który od niechcenia odhaczał numer kolejnego śmiałka i niespiesznie przekręcał kielbasę śląską opiekaną na kiju nad ogniskiem. Co taki zapach robi z głodnym jak wilk człowiekiem, wie tylko ten, kto był poddany tej torturze. Ja się tam trochę pogubiłem, zastanawiając się, czy czasem instruktor – który wyglądał raczej na aktora wcielającego się w rolę instruktora GROM-u – faktycznie chciał mnie poczęstować przekąską, czy raczej liczył na moje potknięcie. Całe szczęście byłem jednak odporny na pokusę, choć niewiele brakowało, żebym się skusił na proponowany przez niego życzliwie poczęstunek. Magda, bo taką miał ksywę, swoim radiowym głosem złamał w tej dziczy niejedno serce... a raczej niejedną karierę tym, których zgubiła żarłoczność. Wielu dało się złapać na jego aktorsko-kulinarne sztuczki. Ale to, co robił, miało

sens: jeżeli na selekcji dasz się zrobić jak frajer, to konsekwencją jest drewniana ławka PKS w Cisnej, a jak przechytrzy cię przeciwnik w Iraku, to też co prawda czeka cię drewniana konstrukcja, tylko trochę inna. Dlatego właśnie miałem Michała dwa razy – bo polazłem gdzieś w krzaki, omamiony kuszącym zapachem kiełbasy. On z kolei zapamiętał mnie jako pędziwiatra – trochę się wściekał, że wyprzedza go jakiś koleś, i to biegiem, próbował więc mnie dogonić, ale miał za bardzo poranione stopy, by dotrzymać mi kroku. Szedł jednak wytrwale. Będąc już w Firmie, dowiedziałem się, że Michał był w grupie, która po zgubieniu się podczas popołudniowej nawałnicy przekroczyła limity czasu, instruktorzy zbierali ich z trasy samochodem już po zmroku, zmarzniętych i przemoczonych. To był czwartek i została nas już tylko garstka, dlatego cała grupa dostała szansę na pozostanie, ale pod warunkiem pokonania paru dodatkowych kilometrów.

– W godzinę przebiec dziesięciokilometrową pętlę z całym sprzętem. – W głosie wąsatego szefa selekcji nie było słyhać emocji.

Wiesiek nigdy nie powtarzał poleceń dwa razy. Czwartego dnia już nikt nie dopytywał o szczegóły – widziałem tylko, jak przebiegli obok nas, i serio, było mi wtedy cholernie żal tych chłopaków. Pomyślcie: czwarty dzień selekcji, stopy otarte do kości (nie przesadzam), a tu w mokrych butach, z opuchniętymi stopami trzeba przebiec przez góry dziesięć kilometrów. Kto z was na sportowo biega wypoczęty po asfalcie dyszkę poniżej godziny, ten wie, o czym piszę. Michał przebiegł, a oprócz niego dało radę jeszcze kilku chłopaków. Ci, co dotarli choćby minutę po czasie, zostali odwiezieni na przystanek PKS i przypuszczam, że nie było im zbyt komfortowo. Nieszczęśnicy zazdrościli nam perspektywy na następny dzień i kolejnych kilometrów – czekał nas legendarny już wtedy maraton, który okazał się moim pierwszym w życiu ultramaratonem.

A teraz siedzę sobie z Michałem przy piwie i uważnie przyglądamy się sobie nawzajem. Nie, nie zmieniliśmy się fizycznie – tylko jakoś tak zbyt szybko minęły nam ostatnie dwa lata. Ja

wyjechałem na wody Zatoki Perskiej, Michał po jakimś czasie wyleciał do Afganistanu. Po pół roku wróciłem z Kuwejtów bogatszy o doświadczenia bojowe na wodzie, szybko się przepakowałem i poleciałem do Iraku; tymczasem Michał nadal szlifował żołnierskie rzemiosło w górach Hindukuszu. Wrócił na wiosnę i teraz powoli zbiera ekipę na Irak. Wiemy, że zmiana ma być za trzy miesiące. Patrząc na nasz stan osobowy w Firmie, nawet nie zastanawiam się specjalnie, czy jechać. Już po trzech dniach w Polsce wiem, że w żyłach chłopaków z Marsa płynie krew, która nie pozwoli nam usiedzieć długo w domu, gdy gdzieś tam jest robota do zrobienia. Wyjazdy sprawiły, że z niektórymi osobami z kursu podstawowego nie widzieliśmy się po trzy lata; czasem tylko gdzieś w świecie, na lotnisku, w przelocie, mignęła mi spalona słońcem twarz (lub broda – wizytówka weterana).

Spotykamy się wieczorem nie gdzie indziej, jak w Patrick's Irish Pub, przez nas zwanym po prostu Patrykiem. To knajpa w ścisłym centrum; wprawdzie obaj znamy świetnie polską mowę, ale na trzeciego – by tak sami nie siedzieć – dobieramy do towarzystwa starego znajomego z wyjazdów, który niejedną raz okazał się pomocny w rozmowie z jankesami: Jacka Daniel'sa; piwo idzie dziś w odstawkę. Niby nikt nam nie jest potrzebny, nie mamy przed sobą tajemnic, ale jakoś tak we trójkę różniej. Zresztą, jak tu nie przepłukać czymś mocniejszym gardła wysuszonego przez niemal rok oddychania pustynnym afgańskim pyłem? A w moim przypadku – jak tu nie zmyć błota po Iraku? Przez kilka ostatnich dni przed wyjazdem lało tam prawie codziennie. Taplaliśmy się w błocie po kolana, nosząc na butach wielokilogramowe obciążniki, uda, jak u jakiegoś ciężarowca, przestawały mi się mieścić w nogawkach munduru.

Zaczynam snuć moją opowieść o Iraku i o naszej robocie. Wreszcie można się komuś wygadać – chłopaki, z którymi wróciłem, przeżyły to, co ja; teraz trzeba odetchnąć i chwilę od siebie odpocząć. No, tydzień, nie więcej, ale trzeba. Jestem ciekaw roboty Michała, a on mojej. To, o czym tu i teraz rozmawiamy, jest

przeznaczone tylko dla naszych uszu, a nawet jeśli ktoś z boku podsłucha kilka słów, to mało zrozumie z naszego żargonu. Bo jak tu się połapać w rozmowie, w której co rusz padają hasła typu kontakt, *flash*, *lightstick*, chuligan, czysto, blok, a teraz doszło jeszcze *fire in the hole*, *set point* i *jackpot*. Nie musimy przed sobą ubarwiać tych naszych opowieści – tyle przeszliśmy przez te dwa lata. Można to nazwać nabieraniem doświadczenia, i to najwyższej jakości, bo w pierwszej linii. Pamiętam, jak po kursie podstawowym wiedziałem już, że niewiele potrafię, ale zaczynam rozumieć tę robotę. Intensywny roczny trening był zaledwie preludium do tego, co mnie czekało na oddziale bojowym, gdzie miałem dalej szlifować nabyte umiejętności. Starsi szturmowcy jeszcze długo pozostawali niedoścignionymi wzorami – byli szybsi, bardziej precyzyjni, a co najważniejsze, ekspresowo podejmowali trafne decyzje. Podpatrując, jak płynnie i skutecznie działają tacy szturmowcy jak Wicher, Benek czy Bogusław, chciało się być jak oni, a nie jak Rambo czy Commando – gdzie im do rzeczywistych wojowników!

Zespołowe treningi i możliwość szkolenia się ze starszymi operatorami, potem abordaże na Zatoce Perskiej, a teraz walka w Iraku sprawiły, że zacząłem na serio czuć tę robotę – a był to mój szósty rok w GROM-ie. Tyle lat i doświadczenia trzeba, by z żołnierza zrobić operatora; w każdym razie ja tyle potrzebowałem. Popatrzcie na to tak: ile lat trzeba, żeby wyuczyć się zawodu mechanika samochodowego, stolarza czy fryzjera? Kto chce mieć księgową po maturze z rocznym doświadczeniem? A może znajdzie się ktoś chętny na plombowanie zęba u dentysty tuż po studiach? Chyba raczej nie. A co powiecie o chirurgu? Ile lat musi się kształcić kardiochirurg, by operować na otwartym sercu? Dlatego my nazywamy siebie operatorami: ponieważ nasze operacje przeprowadzane są na żywym organizmie: jeżeli się pomylisz, pacjent może nie przeżyć. Dlatego selekcji, kursu podstawowego, szkoleń specjalistycznych nie da się ogarnąć w systemie eksternistycznym – tą robotą trzeba żyć, zbierać doświadczenie

i uczyć się przez cały czas. A potem, jak u sportowców, czeka cię przedwczesna, ale zasłużona emerytura.

Michał zauważa, że jakiś gość dziwnie nam się przygląda. Patryk to knajpa, w której kiedyś zaczynało się każde nasze piwo, często także kończyliśmy tu wieczór. Starsze pokolenie GROM-owców przesiadywało w Empik Pubie przy Nowym Świecie; my tylko z zazdrością przechodziliśmy obok i nikt z nas, młodych, nie śmiał choćby zerknąć w tamtą stronę. Nawet po naszym kursie podstawowym zaprosiliśmy pana generała Petelickiego do innej knajpy – trzeba znać swoje miejsce w szeregu, a my nasz „stary” GROM bardzo szanowaliśmy; nic by z nas nie było bez nich. Z tą myślą, jako już doświadczeni operatorzy, wyszliśmy z Michałem z Patryka, żeby poszukać cichszego miejsca na nasze wojenne opowieści. Muzyka na żywo zagłuszała nie tylko naszą rozmowę, ale i Jacka D. Nie uszliśmy daleko, bo za rogiem hotelu Novotel jest kilka knajp; róg został oczywiście taktycznie wyczyszczony. Pierwsza knajpa – jakaś taka gejowska, druga wygląda OK i są wolne dwa wysokie krzesła za barem... no, to mamy miejscówkę.

Michał już na kursie podstawowym wykazywał cechy dobrego strzelca. Jak to brzmi, „dobrego strzelca”, w GROM-ie są tylko tacy; może więc inaczej – niezwykle precyzyjnego i cierpliwego strzelca. Pod koniec kursu podstawowego zrobiono nam egzamin strzelecki pod kątem naboru do zespołu snajperskiego. Strzelania obowiązkowe na kursie podstawowym zazwyczaj zaliczałem w pierwszym terminie – czasami coś mi uciekło z kółka podczas strzelania z pistoletu; Michałowi to się prawie nigdy nie zdarzało. Był moim dowódcą sekcji podczas kursu. Po roku prawie nieustannego przebywania razem wie się o sobie nawzajem naprawdę dużo. Jak dużo? Wiesz, z której nogi gość przed tobą odbije się, by pójść w prawo, a z której, gdy skręca w lewo. Sekcja jest jak jeden organizm, podczas roboty oddycha się jednym powietrzem – to jedno ciało, które wie, co robi prawa i lewa ręka. Na egzaminie było trochę strzelania z dalszych odległości, przeszedłem; Michał znalazł się w grupie kilku chłopaków, którzy zdali

bezbłędnie. Po strzelaniu przeprowadzono rozmowę z każdym, kto zaliczył egzamin. W komisji byli starzy, doświadczeni snajperzy; paru z nich już dobrze znałem, bo czasami grywali z nami w piłkę na boisku za szarokoszarowcem. Mieli świetną ekipę, i to nawet szybką, jak na snajperów, ale na młodego Navala za wolną – zresztą po przejściu na zespół bojowy trochę namieszałem wraz z innymi młodziami w rozgrywkach snajperzy kontra szturm. Ich wersja oczywiście jest inna – twierdzą, że to oni wygrywali... Ale czasami trzeba było dać chłopakom fory, żeby nadal dobrze ubezpieczali nam tyły.

Idąc na to spotkanie z komisją, oczami wyobraźni widziałem już siebie na stanowisku snajperskim. Jednym z egzaminujących był Magda, który jednak okazał się snajperem, a nie aktorem, choć talentu mu nie brakowało. Umiał czarować; doskonale pamiętam, co działo się na selekcji. Teraz słucham, że snajperzy to jeszcze wyższy poziom, czekają nas: ciekawe szkolenie, najnowsza broń, lśniące celowniki, zielona taktyka, podejścia, maskowanie i takie tam cuda z górnej półki, elita na maksa, no i świetna drużyna w piłkę. Chwilę przed rozmową podszedł do mnie Benek, nasz instruktor, mój guru taktyki i w ogóle niesamowity facet. Potrafił sztachnąć się szybko papierosem, a potem sprintem przebiec boisko z piłką przy nodze i zakończyć samotną akcję golem. Tylko syknął: „Nawet się, kurwa, Navalek, nie waź!” – i już mi z głowy cała snajperka wyparowała. O drogi Panie Boże! Gdzie ja z moim temperamentem wyleżałbym godzinami w krzakach, na dachach, w śniegu, a i czasami w gównie, by oddać tylko jeden strzał – albo nawet żadnego, bo i tak się przecież zdarza podczas obserwacji.

1.2 – Afganistan

– W naszej robocie jesteśmy skazani na przygody, tak już jest i basta – stwierdza Michał.

On wyjechał jako zastępca sekcji Adasia; do Afganistanu trafił po trzech miesiącach od rozpoczęcia tamtejszej misji, w czerwcu 2002 roku. Ja wtedy łowiłem statki typu dau na Zatoce Perskiej. Wyjechali jako uzupełnienie naszej sekcji, będącej już tam na miejscu. Rosjanie w Afganistanie zbyt nie zaszaleli, zresztą w tym niegościnnym kraju przez wieki nikomu się to nie udało.

[...] w tej wojnie nie do wygrania wojska radzieckie miały pewne osiągnięcia. W połowie lat osiemdziesiątych władze w Kabulu stwierdziły zgodnie z prawdą, że sprawują kontrolę mniej więcej nad jedną piątą kraju, dzięki posterunkom rozmieszczonym wzdłuż głównych dróg i otaczającym kluczowe punkty i obiekty. W 1979 roku władze w Kabulu kontrolowały jedną dziesiątą terytorium Afganistanu. Liczba żołnierzy radzieckich w tym kraju była stosunkowo niewielka i wynosiła mniej niż połowę najwyższego kontyngentu Amerykanów w Wietnamie, a przecież Rosjanie dążyli do opanowania trzy i pół razy większego kraju.

Carey Schofield, *Komandosi rosyjscy*, Warszawa 1996

To samo czekało nas w trakcie tej nowej wojny. Afgański rząd, tworzony przez talibów, odmówił wydania zasłużonego dla ich sprawy Osamy bin Ladena, który jest oskarżony o zamachy z 11 września 2001 roku. Amerykanie pierwszy raz w historii rozpoczęli operację zgodnie z artykułem piątym traktatu waszyngtońskiego:

zaczęli inwazję na Afganistan w celu likwidacji Bin Ladena i całej Al-Kaidy.

Teraz my mamy swoje pięć minut. Wojna to już nie czołgi i tyraliery wojska, posuwające się w linii, by rozpoznać przeciwnika walką, a precyzyjne uderzenia lotnictwa i pocisków raketowych z powietrza. Wstęp do dzisiejszej inwazji to zmasowany atak raketowy, ukierunkowany na wybrane cele. Zanim na afgańskiej ziemi postawił stopę pierwszy amerykański żołnierz sił konwencjonalnych, na miejscu pracowali agenci CIA i żołnierze jednostek specjalnych, i to często nie z karabinem, a z walizką dolarów w ręce – płacili za to, by móc przy współpracy z miejscowymi wskazać lotnictwu cele, w które ma trafić kierowany pocisk.

Dzisiejsze wojny mają to do siebie, że politycy i wojskowe urzędnicy często nie rozumieją tego, co dzieje się tam na dole, na linii, gdzie trwa zacięta walka. Wspomina o tym w swojej książce także był dowódca Delta Force o pseudonimie Dalton Fury, który walczył w bitwie o kompleks umocnień Tora Bora w 2002 roku. Jedną z przyczyn niepowodzenia tej operacji była jego zdaniem odmowa użycia przez NATO bomb kasetowych, które załatwiłyby sprawę. Ale politycy tak już mają, że lubią się cackać i bawić w dyplomację. Mam do nich jedno pytanie: czy mamy być skuteczni? Jeśli tak, to gdy już wywołacie wojnę albo konflikt zbrojny, pozwólcie nam działać; na dyplomację, rozmowy, gierki był czas przed naciśnięciem spustu. Pomyślcie o tym, panowie i panie siedzący za biurkami w pięknie umeblowanych gabinetach z regałami pełnymi książek w tle.

Wojska specjalne mają to do siebie, że szkolą się tak, by zwyciężać, a nie ginąć. W dzisiejszych czasach, moim zdaniem, żaden rząd nie utrzymałby się przy władzy, gdyby codziennie odpowiadał na pytania dziennikarzy, udowadniając, że warto było posłać do boju kilka czy nawet kilkanaście tysięcy żołnierzy, z których kilkudziesięciu, kilkuset, a podczas dużej bitwy może nawet kilka tysięcy nie wróci do domu. Tak było na poprzednich wojnach, tych

niedawnych, z XX wieku. Dziś Internet by tego nie wytrzymał. Zawansowanie technologiczne naszej, że tak powiem, zachodniej cywilizacji, do której zaliczam Polskę, pozwala tak prowadzić działania zbrojne, że ginie głównie wojsko zacofanego przeciwnika. I tu jest pole działania dla żołnierzy jednostek specjalnych, ktoś jednak musi fizycznie przedostać się w miejsce przyszłych bombardowań, sprawdzić, co się ostało po nawałnicy ognia, a w razie potrzeby dokończyć dzieło zniszczenia i zebrać dowody. Tak się prowadzi dzisiejsze wojny: by zwyciężać. To nie są już romantyczne potyczki z kart Sienkiewiczowskich powieści.

Polska, na prośbę Amerykanów, potwierdziła udział w operacji „Enduring Freedom” (Trwała wolność) już 22 listopada 2001 roku. Przygotowania były co najmniej dziwne. Polskie wojsko sobie, my sobie... w efekcie z wielkiej chmury spadł mały deszcz. Tak naprawdę Amerykanie – poza wsparciem politycznym innych państw – na polu bitwy nie potrzebowali nikogo. Potężna militarna machina Stanów Zjednoczonych jest daleko przed wszystkimi. Warto wspomnieć, że wszystkie armie NATO razem wzięte, włącznie z Francją, mają mniejszy potencjał wojskowy od amerykańskiego. Po trzymiesięcznych przygotowaniach, które skupiały się głównie na tym, by się doposażyć i zapakować, 16 marca 2002 roku do Afganistanu poleciał stuosobowy kontyngent, złożony z logistyków, saperów, sekcji GROM-u. Camp White Eagle (Biały Orzeł) w Bagram w prowincji Parwan stał się dla nich domem na kolejne miesiące. Tak oto rozpoczyna się historia zgrupowania nr 1 Polish Task Force – Polskich Sił Zadaniowych.

Polski Kontyngent Wojskowy w Afganistanie, wydzielony komponent Sił Zbrojnych RP, miał wspomóc Amerykanów w trakcie przywracania bezpieczeństwa i odbudowy Afganistanu. Jak podają oficjalne źródła, polskim siłom przydzielono następujące zadania:

- odbudowa infrastruktury bazy, lotniska i miasta,
- rozminowanie terenu wokół bazy,
- zabezpieczenie wojsk koalicyjnych na wypadek ataku chemicznego,

- zabezpieczenie logistyczne wojsk polskich i międzynarodowych.

Za to naszym chłopakom przypadło w udziale:

- ochranianie polskiej bazy, jak również kwatery głównej wojsk amerykańskich,
- patrolowanie m.in. w dolinie Pandźszere,
- ochrona VIP-ów.

Jedna sekcja to jednak zbyt mało, by wygrać tę wojnę. Gdzieś tam na górze zdecydowano, że trzeba wzmocnić chłopaków dodatkowym zespołem.

Michał mówi:

Przerzut naszym rządowym tupolewem odbył się przy okazji oficjalnej wizyty ministra obrony narodowej Jerzego Szmajdzińskiego, który przez Uzbekistan leciał do Afganistanu. Dyplomacja to fajna sprawa – na miejscu każdy dostał swój pokój w pięciogwiazdkowym hotelu. Pan minister pojechał na salony, a my ruszyliśmy zobaczyć Taszkient. Noc minęła szybko, a nazajutrz nasze polskie skrzydła wylądowały na lotnisku w Kabulu, stolicy Afganistanu. Już od pierwszego dnia czekała na nas robota: pan minister przyjechał z oficjalną wizytą, trzeba więc było zadbać o ochronę VIP-a. Dzięki ćwiczeniom jeszcze w kraju, wspólnie z oficerami Biura Ochrony Rządu, nasze sekcje praktycznie z marszu mogły zabezpieczać taką wizytę. Cały rekonesans i zabezpieczenie zrobiła sekcja będąca już na miejscu.

Fakt, że lecieliśmy rządowym samolotem, z międzylądowaniem w Taszkencie, sprawił jednak, że do Afganistanu dotarliśmy bezbronni i dopiero na miejscu wydano nam pistolety WIST-94 i karabinek wz. 96 beryl. Beryl jeszcze się do czegośkolwiek nadawał, ale WIST... tragedia. Strzelał, kiedy chciał – i niestety

z takim sprzętem musieliśmy chodzić przez trzy tygodnie, zanim przyleciała nasza broń.

Baza w Bagram jest oddalona od Kabulu o jakieś 60 kilometrów. Zanim swój ślad odcisnęli tu Rosjanie, na tych ziemiach istniało bogate państwo – ale to zamierzchła przeszłość. W 1938 roku belgijscy archeolodzy znaleźli w zamurowanych pomieszczeniach skarby z okresu pomiędzy I wiekiem p.n.e. a połową III wieku n.e., pochodzące ze wszystkich stron świata. Zaś to, co pozostawili po sobie Rosjanie, można było nazwać jednym wielkim zaminowanym złomowiskiem, składającym się z wszelkiego poradzieckiego sprzętu i dziadostwa.



Brama wjazdowa do bazy w Bagram, zdjęcie z 2003 roku

Lotnisko, a raczej baza w Bagram została zbudowana w latach pięćdziesiątych XX wieku, z tego, co się orientuję, z pomocą Amerykanów, którzy wspierali wtedy Afgańczyków i ich AAF, czyli afgańskie siły powietrzne. Amerykanie pchali się w tamtym

czasie pod nos Roskim, którzy odpłacali im, umacniając swe wpływy na Kubie. Po radzieckiej interwencji w Afganistanie lotnisko i powstająca wokół niego baza w Bagram były miejscem stacjonowania wszelkiego rodzaju sił radzieckich, przede wszystkim jednak rozmieszczono tu elementy radzieckiego lotnictwa. Zmienne ilości wojska stacjonowały tu do listopada 1987 roku. Po wycofaniu się Rosjan z Afganistanu Sojusz Północny, czyli militarno-polityczny sojusz różnych ugrupowań afgańskich, walczył z talibami o kontrolę nad lotniskiem. Dziwna to była walka, do tego stopnia, że talibowie mieli kontrolę nad jedną częścią pasa, a sojusz dowodził przeciwległym jego końcem. Wieża kontrolna stanowiła punkt obserwacyjny i kwaterę główną Sojuszu Północnego. Amerykańska inwazja pogodziła obie strony, a brytyjski SAS błyskawicznie oczyścił i przejął lotnisko w grudniu 2001 roku.



Baza w Bagram otoczona pięknymi górami Hindukuszu

Żeby zabezpieczyć takie lotnisko, trzeba było trochę wojska – Amerykanie wykorzystali w tym celu ponad trzystu żołnierzy z 10. Dywizji Górskiej. Na miejscu stacjonowali też spadochroniarze 82. Dywizji Powietrznodesantowej z Fort Bragg oraz kilka mniejszych zespołów. Ulokowano tu również Dowództwo Operacji. Zadomowili się także Brytyjczycy z kompanii B i C z 40 Commando Royal Marines. Sprawą pilną stało się naprawienie pasa startowego, w czym poza Amerykanami uczestniczyli już także Polacy i Włosi.



Mieszkaliśmy po sąsiedzku z polem minowym



Okolice lotniska w Bagram były usiane różnego rodzaju minami



Pozostawiony radziecki sprzęt walał się na każdym kroku



**Na tych poradzieckich złomowiskach można by było dozbroić
niejedną armię**

Kiedy dotarłem do Bagram, stacjonowało tam już ponad siedem tysięcy żołnierzy: Włosi, Niemcy, Anglicy i oczywiście Amerykanie. Z lotniska zaczęto tworzyć prawdziwe miasto. Nas umieszczono w budynku o standardzie deweloperskim, w stanie surowym albo nawet nie – był to budynek z rynku wtórnego, taka chałupa. Wzięliśmy się do roboty i z dykty, desek i sklejek pobudowaliśmy sobie boksy, a dopiero przed zimą wstawiono nam okna, zastępując nimi worki z piachem. Wojskowe łóżko i moskitiera stały się dla mnie domem na dziewięć miesięcy. Oczywiście nie zapomnieliśmy o siłowni, którą też sami zbudowaliśmy. Baza zmieniała się z dnia na dzień.



Namioty polskiego kontyngentu – jak widać, pogoda w Afganistanie nie rozpieszczała



W trakcie pierwszego fatalnego patrolu

Nasi saperzy mieli roboty od cholery, bo, jak wspomniałem, Ruscy zostawili po sobie kupę gówna i nawet po lotnisku można było się poruszać tylko sprawdzonymi drogami. Bramę wjazdową torował wojskowy samochód z obstawą, bo wieża wartownicza stanowiła pozostałość po Aleksandrze Wielkim i nie odpowiadała dzisiejszym standardom obronnym. Zgodnie z prawem handlowym ludów wschodnich drogę do bazy z obu stron zaczęli natychmiast oblegać kupcy, ale najciekawszym widokiem było pozostawione złomowisko: były tam też niestety miny... Tabliczki ostrzegawcze wisały na każdym kroku, a za płotem leżały sobie ot tak miny narzutowe, jak grzyby wyrosłe po deszczu. No i też poparzyliśmy się już na samym początku, dokładnie trzeciego dnia. Żeby pokazać nam bazę i okolicę, zaplanowano wyjście poza camp na pobliską górkę. Jak dla mnie – o wiele za wcześnie,

bo to całe środowisko było dla nas całkowicie nowe. Chłopaki były już tam wcześniej, ale, jak to często bywa, nic złego się nie dzieje, aż się zadzieje. Rosjanie rozrzucali ze śmigłowców tysiące małych min przeciwpiechotnych wokół własnych baz. Podczas schodzenia Adaś, mój dowódca sekcji, idąc w środku patrolu, wszedł prosto na taką posowiecką pozostałość. Eksplozja wyrzuciła go w powietrze i pewnie spadłby w cholerę, gdyby nie idący za nim Żuku, który rzucił się i złapał go, gdy Adaś zsuwał się bezwładnie w dół po stromym zboczu. Żuku z Andrzejem jako paramedycy świetnie się spisali, zanim przyleciał lotniczy MEDEVAC, i w dużej mierze dzięki nim uratowano Adamowi nogę. Adaś poleciał do kraju, a ja, snajper, już trzeciego dnia zostałem dowódcą sekcji. Za szybko, o wiele za szybko był ten nasz patrol; w naszej robocie nie ma nic gorszego niż uczenie się na własnych błędach – taki błąd może kosztować zbyt wiele.



Toyota hilux – niezawodna. Zrobiliśmy jej taką reklamę, że także talibowie upodobili sobie to auto. Na zdjęciu w kolorze zielonym, nieco poprawiona przez chłopaków – uzbrojona w karabin PK zamontowany na obrotnicy



Typowa ulica Kabulu żyła własnym życiem



Trening, trening, trening

Potem nastąpiła proza życia codziennego, czyli konwoje do Kabulu i prace związane z zabezpieczaniem saperów. Polski kontyngent tam na miejscu musiał sam zapewnić sobie różnego rodzaju sprzęt potrzebny do normalnego funkcjonowania. Prawie każdy wyjazd polskich żołnierzy poza bazę był przez nas zabezpieczany. Poznawaliśmy okolicę, ludzi i ich kulturę, zbieraliśmy informacje, co, jak i gdzie. Błyskawicznie minęły trzy pierwsze miesiące, po których żegnaliśmy starą, a witaliśmy nową sekcję, ale już na naszych zasadach, bez szybkich i zbędnych patroli po górach. Pojawiły się też nowe zadania: do Afganistanu z roboczą wizytą zawitać miał Kwachu, czyli ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski. Przydały się wcześniejsze wyjazdy i rozpoznanie Kabulu. Topografię miasta mieliśmy już w małym palcu, co jest bardzo potrzebne podczas takiej roboty. Kabul był wtedy jeszcze

naprawdę spokojny – zamachy się praktycznie nie zdarzały, talibowie byli rozbici, poruszaliśmy się więc swobodnie, nawet jednym samochodem, bez dodatkowej obstawy, i to w cywilkach. Wyglądaliśmy na cywilne formacje – my i nasze toyoty, z których wyjęliśmy drzwi, tak jak wy w Iraku. Lubiliśmy jeździć do niemieckiej bazy, co zresztą zaowocowało wspólnym patrolem kołowym razem z niemieckim KSK. Jeden z naszych znał niemiecki i taki był początek naszej przyjaźni z chłopakami z KSK. Ten patrol zapoznawczo-rozpoznawczy zorganizowaliśmy wspólnie – pojechaliśmy w rejon przełęczy Salang, gdzie znajduje się tunel drogowy o długości 2700 metrów, przecinający Hindukusz. Od momentu jego otwarcia przez Rosjan w 1973 roku był to punkt strategiczny, więc i nas tam wywiało. Z Niemcami mieliśmy jeszcze jedną wspólną robotę – to było podczas imprezy karnawałowej. Ten bal już na drugi dzień stał się legendarny we wspomnieniach obu jednostek.

Wracając do wizyty pana prezydenta – była to pełna profeska; komunikacja i współpraca z BOR-owikami utwierdziły nas w przekonaniu, że nadajemy na tych samych falach. Obie strony wystawiły sobie wzorowe referencje, co zaowocowało z kolei zainteresowaniem ze strony Bułgarów. Do Afganistanu wybierał się z oficjalną wizytą bułgarski minister spraw zagranicznych Sołomon Isak Pasi, a oni nie mieli na miejscu nikogo swojego, kto mógłby go chronić. Poza organizacją i zabezpieczeniem przyjazdu ministra wystąpiliśmy też w charakterze jego osobistej ochrony. To duża odpowiedzialność. Było potem trochę śmiechu, bo w którejś z gazet napisano, że kosmicznie wyglądający żołnierze z Polski ochraniali ministra spraw zagranicznych Bułgarii, a jedynym kosmicznym elementem mojego wyposażenia był wtedy... laserowy wskaźnik na karabinku M4.



W Afganistanie na naszych czekały także inne, zgoła niewojenne zagrożenia – Michał w towarzystwie żmii eristicophis, jadowitego gada występującego endemicznie na pustynnych terenach Afganistanu i Pakistanu. Potrafi zakopać się w piasku i czekać na swoją ofiarę

Pod koniec tury kraj poprosił, żebyśmy zostali na kolejne trzy miesiące. Wasz Irak stał się priorytetem, nas więc nie miał już kto zmienić, a roboty nie brakowało. Wcale nie chciało mi się tam zostawać, ale nie było wyjścia, ojczyzna w potrzebie... Dostaliśmy jedynie dwutygodniowy urlop w kontyngencji, ale polecieć do kraju musieliśmy już za własne pieniądze. Kupiliśmy więc sobie bilety. W obie strony trzeba było wysupłać około dwóch tysięcy dolarów – kupa kasy. Do tego podróż przez Teheran trochę trwała. Dziesięć dni w domu błyskawicznie mi zleciało, w zasadzie nawet nie poczułem, że tam jestem. Pojechali oczywiście ci, co chcieli. Ten afgański wyjazd był dobrą okazją, żeby się dotrzeć, poznać środowisko,

zyskać obycie w międzynarodowym towarzystwie. Trzeba jeździć, trzeba być blisko rzeczywistych działań, jeśli nie chce się mieć skostniałej armii i opasłych generałów. Ale też sam Afganistan okazał się niesamowitym krajem, z różnorodną kulturą, dziką dla nas przyrodą i niesamowitymi górami, w których nie tylko miny, ale i groźne skolopendry, skorpiony i żmije miały swoje stałe miejsce. Ludność Afganistanu, niezależnie od prowadzonych wojen i ciężkiego klimatu, starała się żyć całkowicie normalnie (w ich kategoriach pojmowania świata). Codziennosc to zarabianie, handel, spotykaliśmy dzieci chodzące do szkoły, te biedniejsze zaś pracowały na kawałek chleba – i to dosłownie. Ich normalne życie jest dalekie od naszych norm, ale to ich kraj, ich kultura i mają prawo żyć po swojemu, choć dla nas pewne sprawy są nie do pojęcia.

1.3 – Operacja zakończona sukcesem

Rozgadaliśmy się na całego, Jack D. już trochę dokazuje. Procenty działają nie tylko na mnie – jakiś koleś siedzący obok już ze dwa razy mnie szturchnął po nerkach. Nie, nie jestem agresywny, agresja na poziomie zero, ale odwracam się i patrzę na typa, bo wyczułem na boku coś twardego. Jegomość kwiecistą mową i zamaszystymi gestami zabawiał tymczasem damę w nieco już podeszłym wieku. Oooo... Zerkam pod nasze wysokie krzesła i mignął mi przed oczami czarny wyrazisty kształt. Jak nic leży pode mną klama. Podnoszę. Glock 17. Wyciągam magazynek – załadowany ostrą amunicją. Michał zaniemówił, Jack D. z wrażenia nabrał dodatkowych procentów. Odciągam zamek, by sprawdzić komorę nabożową: pusta. Mówię do Michała, że to pewnie tego gościa, który siedzi za mną, bo szturchnął mnie czymś twardym w biodro... Zerkam na kolesia i zaczynam analizować: facet pasuje i na gliniarza, i na bandziora. Często jest tak, że ścieżka kariery w tych branżach wygląda podobnie; niejeden chłopak, gdyby nie został policjantem, byłby gangsterem, a niejeden bandzior mógłby być pewnie dobrym gliną. Tylko jakoś tak się w życiu potoczyło, że teraz są akurat tam, gdzie są. Zresztą, kiedy wspominam własne młode lata, dziś mogę stwierdzić: gdyby nie zasadnicza służba zawodowa i powołanie do wojska, sam mogłem skończyć nieciekawie. Jeśli zapragnąłem cokolwiek mieć, musiałem sam na to zarobić – i to ciężką fizyczną pracą. Ci, co grali w kubki na targu lub jeździli do Berlina Zachodniego kraść buty po klatkach schodowych, mieli kasę

szybciej, łatwiej i jeszcze nabijali się z frajerów; mnie zostawała satysfakcja z dobrze pokrytego blachą lub dachówkami dachu i pocięte od roboty dłonie.

Ale wracamy do rzeczywistości: odwracam się w stronę naszego sąsiada, a Michał już mi trzyma plecy – a posturę ma godną zawodnika do walk w klatce – i zaczepia pana, pytając, czy aby czegoś nie zgubił. Jak gliniarz, to oddamy, a jak bandzior... nie po to się po świecie uganiamy za bandytami, by im we własnym kraju odpuścić. Nawet nie musieliśmy tego przegadywać – takie charaktery i tyle. Delikatnie, po przyjacielsku kładę panu dłoń na biodrze, by sprawdzić, co ukrywa pod koszulą, pytając dla niepoznaki, czy nie wie, gdzie jest kibelek; już wiem, że to jego zguba, bo wyczułem kaburę. Pan był tak zaaferowany damą, że tylko rzucił:

– Po schodach i w lewo.

– No dobra, stary, a czy ty czasem czegoś nie zgubiłeś? – powtarzam za Michałem, który odruchowo łapie dystans, by mieć czas na reakcję.

Tłoku nie ma, Michał ma czyste plecy i idealny timing, żeby pierdolnąć gościa, gdyby przypadkiem zaczął się rzucać. Jeśli chcesz zwyciężyć, musisz zareagować pierwszy, a potem iść za ciosem aż do końca. Nie ma litości, bohaterów leżących na Powązkach ten kraj ma zbyt wielu, nadszedł czas, by za swą ojczyznę ginęli nasi przeciwnicy. Gość złapał za kaburę i zrobił się purpurowy; odruchowo chwycił się za biodro. To nie mógł być bandyta, on by się aż tak nie przejął.

– Pozwolenie masz? – pytam.

– Tak! – pada szybka odpowiedź, po czym facet dodaje pospiesznie, że jest policjantem.

– To dawaj papiery.

Trzęsącymi się rękoma podał legitymację Michałowi, który przedstawił się jako oficer Wojska Polskiego, a że kiedyś był żołnierzem żandarmerii wojskowej, doskonale wiedział, jak pana policjanta wylegitymować, obrzucając go przy tym srogim wzrokiem

żandarma. Wszystko się zgadza. My już lekko podpici, za to pan policjant w sekundę wytrzeźwiał. No nic, klamę trzeba oddać. Zamek w tył, pokazuję skrycie pod blatem baru, że rozładowana.

– Spuść zamek i schowaj do kabury. Tu masz magazynek, ale nie podpinaj go, kolego, bo pijesz, a jak jest wóda, to nie ma broni – mówię to bardzo poważnie, a odpowiedź w pełni mnie zadowala:

– Tak jest!

Magazynek ląduje w kieszeni. Już, już prawie Michał wraca na wcześniejszą pozycję, żebyśmy mogli dokończyć nasze wojenne wspominki, ale... coś poszło nie tak: zasadzka! Pani, ta od pana policjanta, zaabsorbowała go rozmową tak, że poszliśmy w odstawkę: ja i nasz wspólny znajomy Jack D. Policjant za to objął mnie po przyjacielsku, dziękując za służbę, i w ogóle jak to dobrze, że trafił na żołnierzy, a nie gangsterów, i przeprasza, a mnie kocha jak brata, i polewa, żołnierze są super – dowiaduję się w rozmowie. Zrobiła się nas już piątka, a może i szóstka, bo nie do końca pamiętam, czy do mnie, Michała, Jacka D., pana policjanta i jego przyjaciółki nie dosiadł się przypadkiem Jim Beam, i tak nam się trochę zeszło tego wieczora.

Uwolniłem się od policjanta i szukam wzrokiem Michała, bo mi gdzieś zaginął w tej całej akcji. Razem przyszliliśmy, to i razem wychodzimy, kończymy tę operację wspólnie. Wychodzę na zewnątrz, bo w knajpie go nie ma. WTF?! Z taksówki, starego mercedesa okularnika, wystają znajome nogi, a pani z gracją próbuje upchnąć je w środku, żeby zamknąć drzwi – widać, że Michał się broni. Oooo, co to to nie – nie oddam przyjaciela! Grzecznie, ale stanowczo protestuję, Michał jedzie ze mną, koniec pieśni. A ta stara lampucera jak zaczęła na mnie warczeć! Po chwili wyskakuje z łapami i odpycha mnie od samochodu. Co za babsko! Idealnie pasuje do merca rocznikiem. Tak się spociła, że kamuflaż spływa jej z twarzy – nie wygląda to dobrze. Wskoczyła do samochodu z drugiej strony i ciągnie Michała do siebie. No nie, nie oddam tej francy kolegi, nie ma mowy! Złapałem go i ciągnąc w swoją stronę, przeprowadzam *hostage release*. Może nie do końca

tak, jak byłem szkolony, ale nie oddam i już. I tak ciągniemy każde w swoją stronę. Taksówkarz się śmieje, ale po chwili każe nam wszystkim albo wsiadać, albo wysiadać, i grozi wezwaniem policji. Coś mu tylko odpowiedziałem, że właśnie piję z policjantem, ale poległ i nie pomoże, choć jeszcze chwilę temu przysięgał, że tu w Warszawie to on będzie naszym QRF-em[2]. Taksiarz na chwilę się odczepił, ale po chwili słyszę, jak podaje pozycję i oczekuje wsparcia od swoich, bo ma awanturę pod lokalem. Babsko się pieni i serio nie ma żartów – że ja, cholera, nie mam pod ręką jakiejś armaty... Ale tu i cała sekcja by nie pomogła. Uff, przebudził się ciężko ranny, rozdzierany na pół Michał i mówi do mnie grzecznie:

– Nie szarp, Navalku, nie szarp, ja już sobie pojedę. – I posłusznie włożył nogi do taksówki!

Jak nic popadł w niewolę. Kurde, no nie, w Iraku nie było tak strasznie jak z tą babą! Michał tonie w jej objęciach, ta go głaszcze po głowie jak zdobycz, mój tyś, mój... Cholera! Tam dawałem radę, to tu walki nie przegram, swoich się nie zostawia, nawet w objęciach takiej kostuchy. Wsiadam za Michałem do taksówki, a stara każe się wieźć do Marriotta. Michał tymczasem zasnął pomiędzy nami, a ta się piekli, że to przeze mnie on tak się upił. Zrzędzi, jakby była jego matką. Podjeżdżamy pod hotel Marriott: *set point, set point* – pora dyskretnie wyjść i przystąpić do działania. Wsiadam z Michałem; dama miota pioruny w kierunku obsługi hotelu i tylko *front-desk* trzyma ich jeszcze przy życiu. Bo ona niby ma tu na stałe swój apartament i ma być w tej chwili wolny, natychmiast, i chce się widzieć z managerem. Michał się ocknął i zwinnie zrobił zwrot na pięcie, ciągnąc mnie za sobą. Desant się udał, taksiarz płynnie nas podebrał, jak gdyby był szkolony przez mobility Navy SEALs i niejedną operację zakończył z sukcesem.

O poranku, po moim dziesiątym telefonie, Michał w końcu odbiera. Okazuje się, że wspólny wieczór przypomina nam o sobie takim samym bólem głowy... Całe szczęście to tylko kac, bez moralniaka – *mission complete*. Po takiej nocy byliśmy gotowi wrócić tam, gdzie dajemy radę, a wycofują się inni.

2 *Quick Reaction Force*, QRF (ang.) – jednostka szybkiego reagowania.

1.4 – Gorzkie żale

Po 11 września 2001 roku afgańscy talibowie nie mieli zbyt ochoty wydać podejrzanego o dokonanie zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku saudyjskiego milionera i terrorysty, współzałożyciela i przywódcy Al-Kaidy Osamy bin Ladena. Osama czuł się w Afganistanie jak ryba w wodzie. Już w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku wykazał się męstwem jako bojownik podczas wojny ze Związkiem Radzieckim. Bin Laden nie tylko walczył, ale i wspierał finansowo talibów, co pozwoliło mu z czasem stworzyć własną organizację bojową wspólnie z palestyńskim szejkiem Abd Allahem Jusufem Azzamem. Tak powstała Maktab Chadamat al-Mudżahidun al-Arab – MAK, czyli Afghan Services Bureau. Organizacja miała na celu werbowanie i szkolenie arabskich ochotników chcących wesprzeć mudżahedinów w walce z najeźdźcą z północy – czyli walczyć przeciwko Związkowi Radzieckiemu, który to od 1979 roku niósł Afganistanowi bratnią pomoc. Jak my to dobrze znamy z naszej historii...

MAK rozwijał się i zadomawiał w Afganistanie, wprost zapuścił korzenie. Na jego ogólną dobrą sytuację miał oczywisty wpływ czynnik finansowy – dzięki pieniądзом wciąż napływali nowi bojownicy, a organizacja miała zapewniony ciągły rozwój. Stałe wsparcie finansowe spływało do organizacji kilkoma strumieniami, bo nie tylko Bin Laden i arabscy szejkowie z Arabii Saudyjskiej, Egiptu, Pakistanu i innych muzułmańskich państw popierali świątły pomysł zatrudniania zagranicznych bojowników, ale i rządy znajdujące się wówczas po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Stany Zjednoczone i Wielkiej Brytanii łożyły hojnie na uprawę przyszłego

chwasta... a właściwie całego zielnika. Oczywiście Amerykanie robili to z nadzieją na osłabienie swojego głównego przeciwnika, którym był Związek Radziecki, ale nikt już zbytnio nie pamiętał o zimnej wojnie, a chwast pozostawiony samemu sobie wspaniale się rozrósł.

W latach osiemdziesiątych amerykański kongresmen Charles Wilson, wówczas członek kongresowej komisji do spraw wywiadu, doprowadził do zwiększenia budżetu tajnych operacji w Afganistanie z kilku milionów do ponad pół miliarda dolarów i załatwił mudżahedinom nowoczesną broń przeciwpancerną, przede wszystkim ręczne wyrzutnie pocisków rakietowych do zwalczania śmigłowców i samolotów stinger, czym w zasadzie załatwił Rosjan. Po zakończeniu wojny mógł czuć się rozczarowany krótkowzrocznością polityki zagranicznej swojego rządu. Postawieni sami sobie talibowie i organizacja Bin Ladena, która z czasem przekształciła się w Al-Kaidę, z łatwością wstrząsnęły najpotężniejszym mocarstwem naszego globu, robiąc sobie z USA nowego wroga, znieawidzonego jak sam diabeł.

Mamy XXI wiek, nie ma już żelaznej kurtyny, przegraliśmy zimną wojnę – a może wygraliśmy, sam już nie wiem. Osiemdziesiąt lat po wojnie Niemcy, które przegrały drugą wojnę światową, są jedną z najsilniejszych gospodarek na świecie i potęgą Unii Europejskiej, w której żyje największa liczba milionerów dolarowych. Może wreszcie i my w Polsce historycznie coś przegraliśmy, żeby wygrać – jak by nie patrzeć, narzucony nam ustrój upadł z biedy, a Układ Warszawski poszedł w rozsypkę. No, ale jest nowe i trzeba się wywiązywać z podpisanych paktów i umów; przynajmniej my, Polacy, tak mamy, że ochoczo spełniamy międzynarodowe zobowiązania... Choć, jak pokazała historia, choćby właśnie drugiej wojny światowej, inni nieco inaczej patrzą na paktów i zobowiązania wobec, zdawałoby się, sojuszników.

Polska cecha narodowa, którą jest wierność, nie pozwoliła nam stać z założonymi rękami, gdy nasz nowy największy przyjaciel został zaatakowany. Byłem wtedy na kursie pletwonurka morskich działań specjalnych. Praktycznie rzuciliśmy wszystko, by się

pakować i gnać, płynąć, lecieć z pomocą, bo naszych biją! Ale na czym, z czym i kogo bić? My, GROM, byliśmy wtedy – nie boję się użyć tego określenia – w rozsypce. W porównaniu z konwencjonalnymi jednostkami wojska polskiego mieliśmy nowoczesny sprzęt, ale przy naszych nowych sojusznikach wypadaliśmy blado i tylko zdarzenia z 11 września 2001 roku sprawiły, że mogę dla was teraz pisać; gdyby nie tamten nieszczęśliwy dla wielu ludzi dzień, nie byłoby dziś GROM-u, Navalaa... Pewnie byłoby coś innego, żyłoby wielu wartościowych ludzi; ale tak to już jest, że czasami przegrałeś, a jednak wygrywasz. W przeddzień 11 września nasi politycy – zarówno ci znający się na wojsku, jak i ci, którzy nie mieli o nim pojęcia, tak jak i generałowie znający się na wojsku, i ci, którzy generałami są tylko z nazwy, bo byli w większości dyletantami głuchymi na potrzeby wojska i żołnierzy, nie zajmowali się naszą jednostką, nie dbali o jej rozwój. Oni wszyscy po prostu bili się między sobą, komu GROM ma przypaść i jak mają rozdzielić między resortami nasz „nowoczesny” sprzęt. Przytoczę tu kilka cytatów z gazet z tamtego okresu:

Wszyscy politycy są zgodni: GROM jest „dobrem narodowym” i polską jednostką najlepiej ocenianą w NATO. Jednak po przyjęciu ustawy o działach administracji stan prawny „komandosów na eksport” stał się niejasny i nie wiadomo, kto w przyszłości wyda im rozkaz przystąpienia do akcji.

Obecnie GROM jest w „zawieszeniu”: z jednej strony, jako jednostka wojskowa powinien podlegać MON, z drugiej, politycy AWS czynią wszystko, aby utrzymać go w ramach MSWiA, którym kieruje Janusz Tomaszewski, jeden z głównych rozgrywających AWS. Jan Rokita zaryzykował nawet twierdzenie, że oddawanie GROM-u do MON jest błędem, ponieważ „oddaje się coś, co działa, ministerstwu, które nie działa”.

Paweł Wroński, *Komu bliżej do GROM-u?*,
„Gazeta Wyborcza”, 17.08.1999

Jedno jest pewne – komandosi GROM-u trafią z MSWiA do Ministerstwa Obrony. Nie wiadomo ilu, z jakim sprzętem i komu w MON będą podporządkowani. – Z GROM-u może zostać sztandar, godło i nazwa – ironizował na posiedzeniu komisji obrony przewodniczący Bronisław Komorowski (AWS).

Wczorajsze posiedzenie komisji było zamknięte. Do dziennikarzy zgromadzonych za drzwiami dobiegały tylko podniesione głosy. – Bałagan, bałagan, bałagan – zakrzyknął, wychodząc z sali, poseł SLD Jerzy Dziewulski. – MSWiA nie wie, jak GROM przekazać, MON nie ma koncepcji, co z nim zrobić – stwierdził.

Z wypowiedzi p.o. ministra spraw wewnętrznych Bogdana Borusewicza wynikało, że decyzja o przekazaniu oddziału superkomandosów do MON już zapadła. Jest ona skutkiem ustawy o działach. Jednostka wojskowa, a taką jest GROM, może podlegać tylko MON. Jednak samo przekazywanie nie odbywa się bez zgrzytów. Dowódca GROM-u gen. Sławomir Petelicki na posiedzeniu komisji wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie jest już osobą mile widzianą w MSWiA po odejściu Janusza Tomaszewskiego. Twierdził, że minister Janusz Pałubicki nastął na jego jednostkę kontrolę UOP, a minister Borusewicz nakazał inwentaryzację. Jej celem jest prawdopodobnie odebranie GROM-owi sprzętu, który może przydać się policji.

Paweł Wroński, *Kłopotów od GROM-a*,
„Gazeta Wyborcza”, 15.09.1999

A co my mieliśmy już wtedy w głowach? Czego uczył nas pan generał Petelicki i co przekazywali nam instruktorzy przeszkoleni na Zachodzie?

Sławomir Petelicki: Jestem szczęśliwym człowiekiem. Widząc to, co się dzieje na świecie, jestem też głęboko przekonany, że wejście do NATO to najlepsze z możliwych rozwiązań. Przykładem niech będzie GROM – formacja, którą stworzyliśmy przy pomocy USA. Jeśli porównać ją z tym, co mieliśmy

w Układzie Warszawskim, nie ma wątpliwości, że dokonaliśmy dobrego wyboru [...].

Zawsze to, co robiłem, starałem się robić profesjonalnie. Jeśli teraz cieszę się szacunkiem i zaufaniem niegdysiejszych przeciwników, to dla mnie najlepszy dowód, że nie muszę mieć wyrzutów sumienia. Chociaż na pewno mój dziadek i ojciec woleliby, żebym współdziałał z NATO, a nie z Układem Warszawskim. Takiej możliwości nie miałem – Polska była w Układzie Warszawskim [...].

Moim atutem było to, że pracując w wywiadzie PRL, przez dziesięć lat przebywałem na Zachodzie. Dzięki temu mam inną mentalność niż spora część oficerów wychowanych przez szkołę systemu radzieckiego. W GROM-ie pierwszy okres służby jest poświęcony zmianie mentalności. Uczymy młodych oficerów, żeby nie bali się podejmować decyzji i żeby nie czekali tylko na rozkazy. Nie ma tego problemu z absolwentami zachodnich uczelni wojskowych. Jestem dumny, że na ochotnika do GROM-u wstąpili dwaj polscy absolwenci elitarnej uczelni USA West Point, a trzeci jest w drodze. Im wystarczy przekazać zarys tego, co mają robić, i zrobią to lepiej, niżby sobie wyobraził ich dowódca [...].

Ale to jedyna szansa zreformowania polskich sił zbrojnych. Skończy się wzajemne poklepywanie, wręczanie podarunków, dyplomatyczne chwalenie. Zacznie się stawianie konkretnych zadań. W naszych siłach zbrojnych zostaną tylko ci, którzy będą umieli te zadania wykonać. A ci, którzy tego nie potrafią, albo odejdą sami, albo nie będzie dla nich żadnych zadań. Nie wierzę, aby bez wejścia do NATO nasze siły zbrojne oduczyły się tego, co im wpajano przez 50 lat, że trzeba czekać na rozkazy i nie wykazywać własnej inicjatywy [...].

Działaliśmy razem z Amerykanami i innymi sojusznikami na Haiti. Powierzyli nam ochronę doradcy Clintona ds. bezpieczeństwa Anthony Lake'a, sekretarza generalnego ONZ Butrosa Ghalego, dowódcy sił międzynarodowych gen. Johna Meada. Ale

najtrudniejszym zadaniem była ochrona przez 11 dni i nocy specjalnego wysłannika ONZ Lakhdara al-Ibrahimię, za którego głowę haitańska opozycja wyznaczyła 150 tys. dolarów. Potem GROM był na Bałkanach. Sojusznicy uznali w nas partnera nie tylko do ćwiczeń, ale i do działań bojowych. Twierdzą, że pod względem bojowym GROM jest już równoważny najlepszym jednostkom specjalnym USA i Wielkiej Brytanii. Przesadzają [...]. Podziwiają nas młodzi oficerowie, którzy starają się dostać do GROM-u lub z nim współpracować. Inaczej, niestety, wielu wyższych dowódców, którzy nie rozumieją, że GROM jest częścią polskich sił zbrojnych, a nie obcą formacją wojskową. To, że nie kończyłem Akademii im. Woroszyłowa w Moskwie, nie może mnie dyskwalifikować. Gdybyśmy nie weszli do NATO, GROM pewnie szybko zostałby zrównany z ziemią [...]. Większość jest bardzo zadowolona. Bo to oznacza również koniec idiotycznych przepisów, zabraniających m.in. stosowania nowoczesnych technik i taktyk wojskowych. Skończy się asekuranctwo, zacznie się prawdziwa odpowiedzialność za ludzi. Bo w następnym lokalnym konflikcie, w którym weźmie udział NATO, walczyć będą również polscy żołnierze [...].

Pierwszy GROM w Sojuszu, rozmawiał Edward Krzemień, „Gazeta Wyborcza”, 13.03.1999

Charyzma i ponadczasowe myślenie nie uratowały Petelickiego przed utratą stanowiska; okazał się bezsilny wobec wydarzeń opisanych w artykułach, które cytuję poniżej:

Z ostatniej chwili: Wczoraj minister Janusz Pałubicki powiedział PAP, że najprawdopodobniej został wprowadzony w błąd przez departament kontroli i nadzoru MSWiA i „część raportu dotycząca kontroli w GROM-ie może nie odpowiadać prawdzie”.

Kilka godzin wcześniej Pałubicki powołał na nowego szefa GROM płk. Zdzisława Żurawskiego z Nadwiślańskich Jednostek

Wojskowych. Podtrzymał zarzuty wobec jej poprzedniego szefa, gen. Sławomira Petelickiego.

Przypomnijmy, że Petelicki, dowódca elitarniej jednostki specjalnej GROM, został odwołany w czwartek przez ministra-koordynatora ds. służb specjalnych Janusza Pałubickiego. Powód: nieprzestrzeganie wymaganych prawem procedur przy zakupie sprzętu, co miała wykryć kontrola MSWiA. Petelicki twierdzi, że zarzuty są wysane z palca. Pałubicki nazywa sytuację w GROM-ie bagnem. Petelicki w rewanżu mówi, że „nieogolony facet w brudnym swetrze” obraża żołnierzy, którzy narażają życie dla Polski.

Dominika Wielowieyska, *Podłuchem w GROM*,
„Gazeta Wyborcza”, 18.09.1999

Wczoraj p.o. szef MSWiA wiceminister Bogdan Borusewicz powiedział: – Generał nie powinien być zwolniony z tego stanowiska, bo on w ogóle nie powinien być na nie powołany. Poinformował, że GROM kupił sprzęt podsłuchowy wysokiej klasy bez procedury przetargowej.

[...]

W jednostce GROM panuje spokój – to wrażenie, jakie minister obrony Janusz Onyszkiewicz wyniósł z pierwszej inspekcji elitarniej jednostki komandosów.

GROM został 1 października przekazany z MSWiA do MON. Wcześniej nadzorujący MSWiA minister Janusz Pałubicki zwolnił dowódcę jednostki gen. Sławomira Petelickiego oraz jego zastępców.

– Czy w GROM-ie rzeczywiście było „bagnem”? – pytali Onyszkiewicza dziennikarze, powołując się na diagnozę Pałubickiego. Minister powiedział, że zarzuty na razie się nie potwierdziły. Ale z jego wypowiedzi nie wynikało, by żałował, że GROM przeszedł do MON bez dawnego dowódcy. Stwierdził, że gen. Petelicki „zbyt daleko posunął się w swych ocenach”.

Zdziwienie ministra wzbudził bardzo zły standard infrastruktury jednostki. Brakuje mieszkań dla kadry, a te, które są, z formalnego punktu widzenia należą do Jednostek Nadwiślańskich MSWiA. Minister wyraził nadzieję, że mieszkania zostaną przekazane do MON. Zwrócił również uwagę, że planując przyszłoroczny budżet GROM-u, finansisci MSWiA zapomnieli o inflacji.

Paweł Wroński, *Cichy GROM*,
„Gazeta Wyborcza”, 9.10.1999

Czytając dziś skrót tego całego cyrku, który nam urządzono, naprawdę zaczynam wierzyć w światowy spisek, bo spora część osób z tamtych czasów świetnie funkcjonuje do dnia dzisiejszego; jedyne, co ich mogło rozliczyć, to wyborca przed urną – kpina, panowie politycy. Kpina polityków zazwyczaj doprowadza do tego, że my na wojnę jedziemy nie z nowoczesnym karabinem, a z nitką i dratwą, że niby Polak potrafi, a nasz pilot poleci na drzwiach od stodoły – a jednak nie. Dygresja pana ministra odnośnie do mieszkań jest wręcz żenująca i pokazuje, jak mało politycy wiedzieli o naszej jednostce. Żołnierz nie walczy mieszkaniem, tylko karabinem, potrzebny jest mu sprzęt taktyczny w postaci śmigłowców, pojazdów, hełmów, optyki i tak dalej. A on przyjechał, jak za komuny, i obiecał mieszkania. Dawał marchewkę ludziom o zupełnie innej mentalności, szykujących się do działań bojowych, a nie do defilad na placu Zwycięstwa. Ten rozdział z premedytacją nazwałem „Gorzkie żale”, bo w takiej atmosferze szykowaliśmy się na kolejny wyjazd do Iraku. Kazano nam walczyć z dala od tych obiecanych mieszkań, a jednak za swój kraj. Uważam, że trzeba głośno i wyraźnie mówić o naszych narodowych błędach, a nie oskarżać i straszyć światowym spiskiem w momencie, w którym sami sobie niemal na każdym kroku podstawiamy nogę.

Mieliśmy jednak cichych sprzymierzeńców – naszych cichociemnych, którzy rozumieli nas jak nikt inny, wiedzieli, jaką

idziemy drogą i co nam gra w duszach, sercach; polityki tam nie było. Była Polska, rodzina i dążenie do dobrze wykonywanej roboty.

Szanowny Panie Prezydencie,

My, cichociemni, spadochroniarze Armii Krajowej, żołnierze elitarniej grupy Polskich Sił Zbrojnych w II Wojnie Światowej – których dziedzictwo i tradycje bojowe rozkazem Ministra Obrony Narodowej z dnia 5 sierpnia 1995 r. przejęła Jednostka Wojskowa GROM – wyrażamy głębokie zaniepokojenie informacjami, które udostępniają nam mass media odnośnie Jednostki GROM, a które dotyczą zmian strukturalnych, rozdzielenia służb oraz niedoinwestowania w sprzęcie i wyposażeniu.

Pan, Panie Prezydencie, w naszej obecności powiedział żołnierzom, że są „prawdziwym dobrem narodu”. W pełni zgadzamy się z tą opinią, o czym również świadczy uznanie, jakim cieszy się Jednostka GROM w opinii ogólnościatowej.

Zwracamy się do Pana Prezydenta jako Najwyższego Zwierzchnika Polskich Sił Zbrojnych o zajęcie stanowiska w tej bolesnej sprawie, która do głębi poruszyła szerokie rzesze kombatantów II Wojny Światowej, kawalerów Orderu Virtuti Militari i nas, cichociemnych, najbardziej tradycją i sercem związanych z naszymi wspaniałymi towarzyszami broni – żołnierzami Jednostki GROM.

Łączymy wyrazy najgłębszego szacunku.

Z poważaniem

Józef Nowacki kpt. w st. spocz., sekretarz zespołu CC VM, Stefan Starba Bałuk ppłk w st. spocz. CC VM, przewodniczący Zespołu Historycznego Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej

*Cichociemni do prezydenta w sprawie GROM,
„Gazeta Wyborcza”, 29.01.2004*

I jeszcze na koniec tych gorzkich żalów materiał, który ukazał się już w trakcie irackiej i afgańskiej wojny:

Dzięki sukcesowi komandosów GROM-u Polska znalazła się wśród zwycięzców wojny w Iraku. Niedługo komandosi wrócą do kraju i... nadal nie będzie wiadomo, co z nimi zrobić.

W sobotę, 22 marca, grupa szturmowa GROM, współdziałając z komandosami marynarki amerykańskiej Navy SEALs, w kwadrans zdobyła zaminowaną platformę wydobywczą u wejścia do portu Umm Kasr oraz terminal naftowy. Sekretarz obrony USA Donald Rumsfeld ocenił to jako „wspaniałą robotę”. Rzeczywiście, gdyby Irakijczykom udało się wysadzić platformę i terminal, na dłuższy czas zostałyby zablokowany tor wodny do jedyne go irackiego portu, zaś po wysadzeniu ropociągów północnej części Zatoki Perskiej groziłaby katastrofa ekologiczna. O szczegółach tej akcji można się było dowiedzieć od strony amerykańskiej. W Polsce pochwały Rumsfelda przyjmowane były z konsternacją. Nasza dyplomacja ku zdumieniu Amerykanów prosiła ich o „wyciszenie” informacji o zbrojnym udziale Polski w konflikcie irackim, by nie drażnić przeciwnych wojnie z Irakiem społeczeństw państw Unii Europejskiej.

GROM okazał się jednym z najbardziej skutecznych instrumentów polskiej polityki zagranicznej. Czy jednak polskie władze wiedzą, co zrobić z superkomandosami?

Komandos niedopasowany

– To ostatni moment, by ratować GROM – twierdzi twórca i były dowódca jednostki gen. Sławomir Petelicki. Obawia się on, że operacja w Iraku może być ostatnią akcją GROM-u. W lutym po obniżeniu uposażeń w jednostce (wynikało to z rozporządzenia poprzedniego ministra obrony Bronisława Komorowskiego)

odeszło z GROM-u przeszło 50 instruktorów. Do odejścia szykują się następni.

Jeszcze kilka miesięcy temu politycy z lewej i prawej strony po cichu twierdzili, że Polski nie stać na tak drogą formację jak GROM. – Nie może istnieć jednostka składająca się z samych oficerów – mówił były szef MON Bronisław Komorowski. Wtórował mu obecny wiceminister obrony Janusz Zemke: – Ta jednostka jest bardzo droga, a zakres, w jakim może być użyta – niewielki. Faktycznie GROM jest teraz wojskiem w wojsku.

Szef MON Jerzy Szmajdziński uspokaja, że GROM jest bardzo potrzebny, a MON będzie robiło wszystko, aby podnosić jego wyszkolenie. Czy jednak ministerstwo ma pomysł, co zrobić z komandosami?

Komu oni podlegają

W czasie operacji w Iraku GROM podlegał amerykańskiemu dowództwu. – Nie było żadnych problemów. Jednostka świetnie współdziałała z amerykańskimi jednostkami – twierdzi nasze źródło w ambasadzie USA.

O ile GROM-owi łatwo wpasować się w struktury armii amerykańskiej, to znacznie trudniej w struktury polskiej. W 1999 r. GROM został przeniesiony z MSWiA, gdzie bezpośrednio podlegał szefowi resortu, do MON. Tu też został podporządkowany ministrowi, ale faktycznie jednostka podlega Zarządowi Planowania Obronnego Sztabu Generalnego. – Problem w tym, że w Sztabie Generalnym nikt nie rozumie znaczenia i sposobu przeprowadzania operacji specjalnych, to oficerowie myślący jeszcze w starym stylu – twierdzi Petelicki.

– Zdajemy sobie sprawę, że GROM i reszta armii polskiej to dwa światy, ale to nieprawda, że Sztab Generalny dąży do zniszczenia GROM-u. Informacje na ten temat pojawiające się w prasie to bzdura – powiedział nam jeden z pułkowników Sztabu Generalnego zastrzegający sobie anonimowość.

- Nie ma konfliktu między sztabem a GROM-em, w tym roku budżet jednostki wynosi blisko 45 mln zł i jest najwyższy w jej historii – przypomina rzecznik SG płk Zdzisław Gnatowski.

Jednak oficerowie sztabu przyznają nieoficjalnie, że obecnie „nie ma pomysłu”, co zrobić z GROM-em.

W przeszłości minister Janusz Onyszkiewicz, a następnie Bronisław Komorowski chcieli stworzyć Dowództwo Operacji Specjalnych, któremu podlegałyby: GROM, 1. Pułk Specjalny z Lublińca, wydzielone oddziały 6. Brygady Powietrzno-Szturmowej oraz FORMOZA – grupa komandosów Marynarki Wojennej.

Później min. Komorowski chciał włączyć GROM do Żandarmerii Wojskowej, co komandosi uznali za zniewagę. Na przejście GROM-u miało kiedyś chrapkę Dowództwo Wojsk Lądowych. Niedawno, jak twierdzi „Newsweek”, pojawił się pomysł, aby połączyć go z 25. Brygadą Kawalerii Powietrznej.

Problem z GROM-em nie wynika jedynie z zadrażnionych ambicji komandosów i sztabowców. To problem rozwoju sił zbrojnych. Konflikty militarne w Kosowie i Iraku wykazały, że najważniejszą rolę odgrywają w nich siły ekspedycyjne – mobilne, potrafiące długo przebywać poza terenem kraju. Polska armia podobnie jak NATO przygotowywała się do obrony własnego terytorium i tak przez lata kształtowały się struktury dowodzenia.

Siłami ekspedycyjnymi dysponują dziś tylko USA, Wielka Brytania i Francja. Polska zakłada, że w 2008 r. jedna trzecia naszych sił będzie mogła być dostosowana do jednostek NATO, ale NATO jest już opóźnione w stosunku do USA o dziesięć lat i część jednostek amerykańskich posługuje się już innymi procedurami niż natowskie.

Obecnie jedynie GROM oraz dwa okręty marynarki wojennej mogą współdziałać z armią amerykańską. W przyszłości te standardy będzie spełniać 48 myśliwców F-16 – to będzie kolejne „wojsko w wojsku”. Kto powinien dowodzić tymi siłami? Czy ci

sami oficerowie, którzy są odpowiedzialni za szkolenie armii poborowych?

Akcja w Umm Kasr ocaliła GROM. Obecnie już nikt nie mówi o konieczności „rozproszenia” żołnierzy GROM-u w armii, zatrudnieniu ich np. jako instruktorów w Pułku Specjalnym w Lublińcu. Żołnierze GROM-u wrócą do Polski jak bohaterowie, ale nadal nikt nie ma pomysłu, co z bohaterami zrobić.

Paweł Wroński, *GROM czy pogrom?*,
„Gazeta Wyborcza”, 6.05.2003

1.5 – Nigdy nie jest się doskonałym

Po hucznych powitaniach, jakie czekały nas w jednostce, kiedy to poklepywano nas po ramieniu i zapewniano, że jesteśmy dobrem narodowym, o które dbają rząd, sztab genialny i nowe dowództwo, a mieszkania już się budują, zostaliśmy odesłani, jak stary zwyczaj każe, na komisję lekarską. Teraz jeszcze trzeba udowodnić szanownej komisji, po odsiedzeniu kilku godzin wśród emerytów, rencistów i tych naprawdę chorych, że stan mojego zdrowia fizycznego i psychicznego mieści się w normie. Podczas godzin spędzonych na korytarzach można poczytać książki i powspominać ciekawe historyjki. Ja zazwyczaj przed wejściem do kolejnego lekarza mam przed oczami scenę z filmu *C.K. Dezercerzy*, gdy oberlejtant von Nogay przepytywany jest w szpitalu z kajetu z ilustracjami przedstawiającymi rozmaite zwierzęta:

- Co to jest? – pyta generał.
- Kura – odpowiada spokojnie von Nogay.
- Na pewno kura? – pyta dociekliwie, ale jeszcze spokojniej generał.
- Na pewno.
- A może pan się myli, może to nie jest kura. Dajmy na to, pies.
- To nie jest pies! To jest kura – odpowiada poirytowany von Nogay.
- Niech się pan dobrze przypatrzy – mówi wciąż doskonale opanowany generał. – Twierdzi pan kategorycznie, że to nic innego jak zwierzę nazywane kurą?

– Twierdzę kategorycznie, że to jest osioł – ze wściekłością wyrzuca z siebie von Nogay. – Yyyyy, to znaczy, przepraszam. Chciałem powiedzieć kura!

– Osioł? – pyta z zaciekawieniem w głosie generała.

– Nie, przejęczyłem się, to jest kura.

– A skąd panu do głowy przyszedł osioł? A może to zwierzę przypomina osła?

W podobny sposób badano też nas, doszukując się na siłę różnego rodzaju anomalii zdrowotnych. Czasami pielęgniarka tylko się dziwiła, czemu przychodzę do nich taki uśmiechnięty, bo to przecież nic wesołego jechać na wojnę lub właśnie z niej wrócić.

Tak też mija mi pierwszy tydzień po powrocie z wojenki. Kolejne dwa tygodnie to czas na urlop i szybkie nadrabianie rodzinnych zaległości. Czy się da? Nie ma szans. To tak, jakby dać się skusić reklamie, w której zapewniają, że na opanowanie języka angielskiego podczas przyspieszonego kursu wystarczą dwa tygodnie.

Powrót do roboty wiąże się z zamieszaniem spowodowanym nowymi przepisami i szaleństwem kwitów – jest ich naprawdę od groma. Zmiana cywilizacyjna wywołana nadejściem epoki komputerów i drukarki sprawia, że lubujący się w kwitach kadrowcy, logistycy i wojskowi biurokraci prześcigają się w produkowaniu nowych dokumentów, asygnat, tworząc białą taktykę, która przewyższa zaawansowanie technologiczne całej części armii dedykowanej do boju. No, jedynie te kwity z finansów są OK – te się podpisuje z przyjemnością; wreszcie, poza poklepywaniem po ramieniu, mieszkaniowymi obietnicami i życzeniami żołnierskiego szczęścia, ktoś zerknął litościwie na nasze pensje. Jeśli chodzi o całą resztę tej biurokracji, to trzeba sobie jakoś radzić – gdy ktoś idzie gdzieś coś podpisać, bierze kwity od kumpli z sekcji, żeby załatwić wszystko za jednym zamachem. Właśnie z takim zadaniem bojowym poszedł uzbrojony w teczkę z papierami Ousi. Wraca lekko wzburzony: trafił do jakiegoś starego pułkownika logistyka, który jest takim fachowcem, że po kolejnych

zmianach w GROM-ie musieli go pilnie ściągnąć na etat cywilny aż z Krakowa. Ousi grzecznie poprosił o hurtową liczbę pieczętek i autografów za jednym razem. Niestety, zamiast tego dostał koleżeńską radę: chorążemu nie wypada latać z kwitami i zbierać podpisów dla sierżantów i plutonowych. Stopień zobowiązuje, zasługuje na szacunek... No, co innego, jeśli przynosisz kwity porucznika lub kapitana, a jesteś sierżantem.

Zresztą, zmiany są nie tylko w logistyce: gdzie się nie zajdzie, to w budynkach biurowych nowe twarze. Jak wieść niosła, robotę dostały żony, córki i kochanki, tak więc już całkiem serio jednostka zaczynała się stawać jedną wielką rodziną. Po przyjacielskim poklepywaniu nas przed politykami przyszedł czas na prawdziwą męską rozmowę. Pewnie do sztabu dotarło nasze marudzenie na temat liczby kwitów, sposobu ich załatwiania, komisji lekarskich, braków w sprzęcie, ścisku na zespole i w ogóle, że śmiemy gadać i mieć własne zdanie, co żołnierzowi nie przystoi: przecież to służba, a rozkaz to rozkaz. Kiedyś był kadrowiec, miał dwóch pomocników i system działał; teraz zastępy rodzinne nie nadążają z robotą, na drzwiach wydziałów pojawiły się kartki z godzinami pracy... Mógłbym tu mnożyć nasze bóle, bo człowiek serio porządnie się pocił gdzieś tam w piaskach i nadstawiał karku, a tu pani nie da pieczątki, bo ma pracę własną, później...

Rozmowa rozpoczęła się od cierpkich słów na temat naszej dyscypliny i porządków na zespole, że tu nie Irak i jak nie będzie poprawy z dyscypliną, to nam się iracki piasek z butów na dobre wysypie. Może były nawet takie zakusy, żeby go z nich na serio wysypać, bo nawet „inspekcja” od porządków po oddziale przeszła, ale było jedno „ale”... Po szorstkich słowach i chwili ciszy „góra” musiała się ocknąć i spojrzeć trzeźwo na obecny stan kadry, tej nadającej się do boju. W obieg poszła lista dla chętnych na kolejny wyjazd, który ma być już za trzy miesiące. Licząc na nasze zrozumienie i powagę sytuacji, mile widziani wszyscy, co właśnie wrócili z Iraku i Afganistanu. Na szczęście oba zespoły zostały właśnie wzmocnione nowymi chłopakami z kursu podstawowego,

co pozwoliło jednostce utrzymać gotowość, bo w biurach tłok, ale na zespołach podczas naszego wyjazdu świeciło pustkami. Większość „starego GROM-u” nie znosiła MON-u i zaczęła sobie świetnie radzić na rynku cywilnym, a tam szybko dochodziło do zamiany ról: beton nie wytrzymywał konkurencji.

No nic, ojczyzna w potrzebie, trzeba jechać, a ekipa zebrała się mocna. Obsadę stanowisk pozostawiono dowódcy naszego wyjazdowego komponentu. Został nim dowódca snajperów i to pod jego egidą zaczęło się pospolite ruszenie. Wyzdrowiał i powrócił do sił Strażak; po kontuzji, której nabawił się podczas desantu na tamę, prawie nie było śladu, znalazł się więc na etacie, twardy i niezawodny facet. Michał został mianowany jednym z dowódców sekcji, a ja momentalnie znalazłem się pod jego skrzydłami. Zgarnął też do siebie z zespołu snajpera Janka, z którym zresztą właśnie wróciłem, i niezawodnego Tytana. Tylut, jak zwykle, ochoczo zgodził się na propozycję wyjazdu. Zwerbował do nas Ousiego z zespołu wodnego, z którym razem przeszliśmy selekcję i kurs podstawowy.

Po krótkim treningu zmontowana na szybko sekcja ludzi o podobnych umiejętnościach zaczęła działać bardzo sprawnie i stała się jak jedna pięść. Wszyscy poza Jankiem ukończyliśmy ten sam kurs podstawowy, znaleźliśmy się jak łyse konie, każdy z nas zaliczył już misję, a niektórzy – ja, Tylut i Tytan – nawet po dwie. Baza pod budowę zespołu była więc solidna. Poza tym nie byliśmy już młodzikami; mieliśmy za sobą wiele robót, a każdy z nas miał swoją wartość. Na przykład Tytan: kawał chłopca, były policyjny antyterrorysta, silny jak tur. Potrafił wyciągnąć z samochodu pasażera niemal razem z fotelem, jeśli była taka potrzeba, na co dzień prezentował niewzruszony spokój, pasujący idealnie do funkcji nawigatora, którą pełnił na poprzednim wyjeździe. Podziwiałem jego opanowanie podczas kontaktu ogniowego z przeciwnikiem – kule świstały, a on był w stanie skupić się nad mapą i wskazywać na bieżąco kierowcy, którą ma jechać, by wydostać się z prawdziwego bagna.

Zgrywanie sekcji i całego zespołu to podstawowy cel, jaki przed nami stoi. Przed poprzednim wyjazdem, gdy sporo czasu spędziliśmy na wodzie, instruktorami były chłopaki z „Wody” – teraz to na naszych barkach spoczywało zaplanowanie szkolenia i przygotowanie się do kolejnego wyjazdu. Trudno nazywać się instruktorem w grupie osób z takim samym doświadczeniem. Po prostu ktoś musi być odpowiedzialny za przygotowanie zajęć, wybranie odpowiednich obiektów, a sama taktyka poza jej szkieletem powstaje podczas burzy mózgów. Założenia taktyczne nie mogą pozostać bez zmian, bo to, co się sprawdza w starciu z miejscowym światkiem przestępczym i wcześniejszymi sytuacjami antyterrorystycznymi, nie do końca zdaje egzamin w walce z terrorystami i bojownikami tam w Iraku. Każdą nowinkę, każde nowe doświadczenie trzeba natychmiast wdrożyć w szkolenie i wykorzystać podczas kolejnego działania. Tu nie ma czasu na kwity i czekanie pod drzwiami, aż urzędnik zakończy pracę własną i będzie mieć czas dla petenta, by łaskawie przystawić pieczętkę zezwalającą na wykorzystanie doświadczenia. Praktykę, którą na żywym organizmie zdobyliśmy w Iraku, automatycznie przekazaliśmy jako szkoleniowcy tym, którzy jeszcze tam nie walczyli. Nasze doświadczenie i analiza wykonanych robót posłużyły jako plan szkolenia. Antyterrorystyczne podejście do walki na bliskich odległościach przeszło sporą ewolucję. W naszej robocie do każdej operacji trzeba się przygotowywać osobno, za każdym razem pod konkretne zadanie – nie ma dwóch takich samych. Ogólne założenia taktyczne oczywiście pozostają, ale już podział specjalizacji w sekcjach, podział pracy na konkretne sekcje, strefy odpowiedzialności muszą być bardzo płynne. Szkolono nas tak, żebyśmy stali się uniwersalni (lubię to angielskie słowo *flexible*); teraz musieliśmy stać się jeszcze bardziej elastyczni – tego wymagał od nas przeciwnik i wojna, a nie tylko krajowe zagrożenia terrorystyczne, które zresztą jest znikome.

Oczywiście nie mogliśmy zapomnieć o swoim podwórku. Nasze działania poza granicami Polski nie zaskarbiały ojczyźnie wyłącznie

przyjaciół, w związku z tym szkolenie – poza tym nastawionym na działanie w Iraku – musiało pokrywać się z realnymi zagrożeniami. Jednostka przez cały ten okres trzymała gotowość bojową, ci w kraju wcale więc nie odpoczywali – ale taka to robota, nikt nie marudził.

Jednym z głównych zadań GROM-u jest odbijanie zakładników w kraju i zagranicą. Czasami myślę, że tylko czarci zmysł podpowiada terrorystom, gdzie powinni uderzyć z zamiarem doprowadzenia do sytuacji zakładniczej. Autobus, samolot, prom... na morzu, lądzie, w powietrzu, a i pod ziemią, operator GROM-u musi być zawsze gotowy do działania. Właśnie tak – pod ziemią też, w końcu mamy jedyne w kraju warszawskie metro. Można o nim powiedzieć tak, jak kiedyś rozpisywano się o GROM-ie – że jest dobrem narodowym, bo jest jedyne: jedna linia metra, jeden GROM, czyli mamy wspólny mianownik. By móc swobodnie trenować odbijanie zakładników uwięzionych w wagonikach metra, trzeba działać w godzinach nocnych. Nasze ćwiczenia, co oczywiste, nie mogą sparaliżować tak ważnej dla funkcjonowania miasta infrastruktury. Taki trening nie może się odbywać bez pasażerów, ale i tu radzimy sobie wyśmienicie. Dawną tradycją w GROM-ie, zapoczątkowaną jeszcze w czasach pana generała Petelickiego, było wykorzystywanie do podgrywki, czyli zaangażowanie w rolaх terrorystów i zakładników, pozostałych żołnierzy i pracowników cywilnych jednostek. Taki wspólny trening był jednocześnie świetnym sposobem na bliższe poznanie się i integrację w firmie. Starsi pracownicy mieli wpojone przez generała oczywiste zasady: cała jednostka pracuje na szturm, a dzięki temu szturm może pracować na dobro Polski – i oczywiście jednostki. Nowi niestety nie przeszli zmiany mentalnej, bez której nie dało się w GROM-ie normalnie pracować, dalej tkwili w przekonaniu o wyższości stopnia wojskowego i stanowiska, twierdzili, że bez kwitu nic nie można załatwić i w ogóle, że nie da się, bo nie, bo MON! Starali się wnieść do naszej firmy przysłowiowy beton z całą jego twardością – a my musieliśmy być *flexible*, ta cecha była niezbędna, żeby przeżyć.

Warszawskie metro pracuje od godziny piątej rano do północy; tłok, ścisk, wrzawa przez niemalże cały dzień. Teraz panuje dziwna cisza, nieliczni pasażerowie wybiegają z podziemnych schodów. Mamy tylko pięć godzin na trening. Na dzisiejszą noc przewidziano generalny szturm, który jest podsumowaniem naszych nocnych ćwiczeń. Jak zawsze zbieramy się przed wejściem na jedną ze stacji nieco wcześniej. Nie ma jeszcze dwunastej, czekamy na wyjście ostatnich pasażerów, śpieszących się do łóżek. Nasz autobus z zasłoniętymi szybami stanął z boku, w pobliżu potężnych wentylatorów, które sennie mruczą, wymieniając powietrze w podziemnych tunelach. Śliczne, nowo pomalowane ściany lśnią czystością; fajny mamy ten kraj, aż miło popatrzeć. Jeszcze chwila luzu, rozmowy milkną, można na chwilę przymknąć oko. Ale nie, nie tym razem – ktoś nie da nam spokojnie czekać na robotę. Koleś w kapturze skrada się koło naszego autobusu, rozgląda nerwowo, upewniając się, czy na pewno już wszyscy wyszli. Przemknął sprytnie, wręcz taktycznie, przez trawnik, i stanął od zaciemnionej strony kolektora. Oparł o ścianę mały plecaczek, a po chwili wyciągnął kilka puszek sprayu i nerwowo wstrząsał jedną z nich, pieprzony malarz. Obserwujemy tę scenę cierpliwie, w ciszy, ale nie, dość tego. To my się po świecie uganiamy za terrorystami i bandytami, walczymy o ład i porządek, a tu nam pod oknami koleś szkaradnie przemalowuje stolicę? O, nie! Drzwi w autobusie tylko lekko syknęły i wysypało się z niego kilku zakapturzonych prawych obywateli w czarnych kombinezonach. Taktyczny sprint za malarzem nie był konieczny – świntuch stanął osłupiały, że taka moc jak jakiś GROM spadła na niego z nieba. Niemrawo przeproszał, że już nie będzie i w ogóle, to jego pierwszy raz, a ten plecak to on znalazł, to nie jego, i że chce na policję, i mamó, mamó... Ale policji, jak wiadomo, nie ma tam, gdzie jest potrzebna, a zresztą kto by tam chciał chodzić na policję z jajcami pomalowanymi od kolan po sam pępek... Ktoś szepnął, rysując ostatni szlaczek, że Święta Wielkanocne już niedługo, będzie więc jak znalazł.

Łobuzowanie ma zawsze swoje konsekwencje. Kiedy ostatnim razem nielegalnie tłukłem szyby w autobusie marki Jelcz, kultowym już „ogórku”, słono mnie to kosztowało. Poszła wtedy nie tylko ta duża przednia, ale też kilka mniejszych szyb, tych, co się tak ładnie sypią w drobny mak. Jak coś robisz, to zawsze miej z tyłu głowy myśl, że ktoś cię obserwuje. A najlepiej po prostu nie niszczyć. I faktycznie, ktoś nas wtedy widział, bo po kilku dniach zjawił się u ojca kolegi rzekomy właściciel „ogórka” i już oczami wyobraźni widziałem siebie w raciborskim poprawczaku. Na szczęście nie zrobił wielkiej afery. Złożył propozycję nie do odrzucenia: musimy wstawić szyby i naprawić instalację elektryczną, bo ponoć także ją żeśmy zdewastowali, albo czeka nas policja i wspomniana powyżej instytucja penitencjarna. Kosztowało mnie to wtedy wiele skrzynek zerwanych czereśni, nadgodzin pracy na budowie – wolnego w tamte wakacje nie miałem w ogóle. Musiałem pójść po rozum go głowy i dorobiłem się go tyle, że teraz, gdy jestem w GROM-ie, płacą mi nie tylko za wybijanie szyb w autobusach, ale i w pociągach, samochodach, a teraz przyszła kolej na metro – ale dużo pracy i wysiłku mnie to kosztowało. Teraz nawet do szyb strzelam, i to nie z procy, a ze strzelby, a jak trzeba, to i ładunek się założy – takiej roboty się dorobiłem.

Metro to niesamowita konstrukcja, dosłownie podziemne miasteczko. Włodarze miasta i wszyscy ci, którzy pozwalają nam tu ćwiczyć, twardo stąpają po ziemi, słusznie wierząc, że i pod nią musi być siła, która potrafi walczyć w takich właśnie warunkach. Przewodnik kolejny raz oprowadza nas po peronie, służbowych zakamarkach, sterowni; trafiamy nawet do kolektora, który przed chwilą uratowaliśmy przed zmianą barwy przewidzianej przez specjalistę od zagospodarowania przestrzennego miasta. Rozłożyliśmy się poza peronami; każdy trening traktujemy tak samo poważnie. Podczas szturmów nie ma stop-klatki jak na filmie, działasz od A do Z, nie ma zmiłuj ani „przepraszam”. Zasady dopasowania i umiejscowienia sprzętu to abecadło operatora GROM-u – nic nie

może się majtać albo co gorsza wypaść podczas biegu, a w tej robocie sprint to często klucz do sukcesu.



Podczas treningu na jednej ze stacji metra: „Jesteśmy z Polski, przyszliśmy was uratować”

Zwiastunem nadjeżdżającego składu jest silny podmuch, ciśnienie powietrza wzrasta... ale swoje ciśnienie tętnicze musimy trzymać w cuglach. Czekamy cierpliwi, ale gotowi. Skład już zaraz wjedzie... mam jeszcze kilka sekund na ulubioną w takiej chwili modlitwę. W głowie brzmi wiersz, za którego recytację, a raczej rapowanie, wygrałem powiatowy konkurs recytatorski z okazji odbywającej się w tamtym czasie olimpiady w Barcelonie. Czułem się po tym konkursie bardzo oszukany. Pani polonistka przed występem rzuciła ot tak, że jak wygram, to mi na koniec roku postawi szóstkę z polskiego. Dziś myślę, że moja znajomość ortografii starczała

ledwo na trójczyne, ale słowo to słowo, prawda? Z takiej zawodowej szkoły, jaką było Rafako, z tego, co wiem, nikt nigdy nic na olimpiadzie – a tym bardziej na konkursie recytatorskim – nie wygrał, a tu proszę, taka niespodzianka! Teraz mam prawdziwą nagrodę w postaci tych kilku zdań, które traktuję jak modlitwę dającą mi dodatkowego kopa do działania:

100 m

*Każdy mięsień się zwinął w kłębek jak sprężyna
I na cięciwie ciała niecierpliwie drży,
Motor serca już w uszach walić mi zaczyna,
Gotowe! Starter, strzelać! Raz – dwa – trzy!
Ach – stopy już poderwał alarmowy sygnał,
Klin powietrza się w gardło aż do bólu wbił,
Galop ruchu mnie poniosł, oddech z piersi wygnał
I z wszystkich żył pompuje coraz więcej sił.
Burza kroków mych teraz zniszczy cię, rozgniecie,
Milionem razy zgnębi, nim dojdiesz do stu –
Przestrzeni nienawistna rozpięta na mecie
Białym pasmem, co krzyczy, że to już jest tu.
Ostatnim jeszcze susem dopaść cię drapieźnie,
Z taśmą na piersiach poczuć się lekkim jak puch,
I z uśmiechem cię w sercu pomieścić jak bieżnię,
Jak treść twą tajemniczą, nieustanny ruch.*

Kazimierz Wierzyński

Kolejka zatrzymała się w odpowiednim miejscu, „motor serca”, „susem dopaść cię drapieźnie”... W jednej chwili zza filarów peronu wybiegła wataha ciemnych sprinterów, by jak kolarski peleton jednocześnie wbić się na metę. W dłoniach ściskają karabinki szturmowe, pistolety, strzelby gładkolufowe, młoty i tarcze. Po chwili, jak na sygnał, padają strzały, zapracowały shotguny i kruszą

hartowane szkło, uderzenia młotów dopełniają zniszczenia. Ze sprawnością zwinnych drapieźników wybijamy grube szyby i wdzieramy się do wagonów, by wyrwać z nich uwieczonych zakładników. Wiemy doskonale, jak to robić, wprawionej w ruch maszyny nie da się zatrzymać, nie ma takiej siły. To już nie czas i miejsce na kompromis i dyplomację, jesteśmy rozpędzeni jak sprinter w wierszu Wierzyńskiego, „galop ruchu mnie poniosł”... Szkło sypie się na peron i do wagonów, pociski tną powietrze. Cel rozpoznany: palec automatycznie zapracował na spuście, by doścignąć pociskiem zagrożenie, pach, pach. W naszej strefie czysto, mamy kontrolę... spływają kolejne meldunki. Jak ważne są buty i ich podeszwy, nie tylko w sprincie na sto metrów, ale i w trakcie naszej roboty, przekonaliśmy się już podczas kursu podstawowego, ćwicząc na śliskich powierzchniach. Chwalił nas sobie jako klientów jeden z handlarzy, przywożący z Niemiec hurtem buty Adidas GSG-9. Było to jedyne słuszne w tamtym czasie obuwie. Odpowiedni but umożliwia natychmiastowe zatrzymanie się w miejscu po sprincie, pozwala też poruszać się stabilnie po śliskiej podłodze i szkłe. I te buty takie były, a poza tym dobrze się w nich grało w piłkę.

Szturm to nasza robota, w trakcie walki czujemy się jak ryby w wodzie; to dla nas naturalne środowisko. Ważnym elementem szkolenia jest jednak też podgrywka i choćby nie wiem ile razy ją trenować, to zawsze wychodzą jakieś cuda. Strach, ciekawość, chęć przechytrzenia szturmowców jest wśród osób podgrywających scenariusz taktyczny powszechna: „Niby teraz szturmowcy dadzą nam popalić? Tak łatwo się nie damy” i takie tam. Nie wiem, skąd im te pomysły przychodzą do głowy. Może to zwykła ciekawość – bo w końcu ciągle wyjeżdżają na poligony, szkolą się i ćwiczą, ale ci z biur i magazynów chcieliby się przekonać, czy coś potrafimy, a może spróbować rzucić nam wyzwanie? Do tej pory na nas, tak w robocie, jak i tym bardziej na treningu, mocnych nie było – i nie ma w tym stwierdzeniu żadnej zarozumiałości. Chcielibyście, żeby walczył o was ktoś, kto w siebie nie wierzy? Mamy szacunek do

przeciwnika, ale działamy tak, by zwyciężyć – a receptą na wiarę w siebie są nasze treningi, powtarzane regularnie niczym mantra.

Podgrywka to wcielenie się w role terrorystów i zakładników – tych ostatnich jest zazwyczaj sporo, bo, jak to w zatłoczonym metrze, w wagoniku jedzie zwykle kilkadziesiąt osób. Terrorystów zazwyczaj mamy kilku, ale potrafią napsuć krwi. No, czasami trafi się ktoś podejrzany i ten – to fakt – ma przechlapane. Podsumowując role, najlepiej zawsze było być terrorystą, to spoko robota. Na początku taki może się porządzić – ma władzę, pokrzyczy, postraszy, poznęca się nad zakładnikami. Podczas szturmego go odstrzelają i jego ciało leży do końca teatrzyku nieruszany. Zakładnik, jak to zakładnik, ma przechlapane, taki jego los. Najpierw stres porwania, potem terrorysta się nad nim pastwi; a jak się w robocie nie lubią, to można trochę podokuczać, dajmy na to, kadrowcowi kazać klęczeć, a tym z finansów stać na jednej nodze z nosem przyklejonym do okna; tylko nikomu z logistyki nikt krzywdy nie robi. Prawie każdy ma w sobie coś z małego sadysty, a w takiej sytuacji folgowanie ukrytym instynktom jest usprawiedliwione, bo robimy wszystko bardzo realistycznie. Jedni więc mają ubaw, inni faktycznie czekają na GROM jak na wybawcę.

Szturm to nie tylko samo zlikwidowanie terrorystów i uwolnienie zakładników, ale też cała procedura związana z ewakuacją. Następnie trzeba zabezpieczyć broń przeciwników, sprawdzić obiekt pod kątem ukrytych materiałów wybuchowych, przeszukać ciała terrorystów i zabezpieczyć cały rejon działania – to też nasza działka. Trzeba mieć pieczę nad całością, zanim przyjdą ci od kwitów i będą się mądrzyć jak święci w piśmie, że można było lepiej, szybciej, że dlaczego tak i srać. Działamy więc sprawnie, tak, by zakładnik był cały i kwity w porządku. Terrorysty sprawdzeni jeszcze raz, czy aby na bank odstrzeleni na amen. No i na amen odstrzeleni, u nas pan Bóg kul nie nosi – on jest od tego, by rozliczyć duszę z ziemskich spraw. Zakładnicy muszą jak najszybciej wyjść na peron. Tam następuje ich wstępne przeszukanie. Następnie

ustawiamy ich jak w przedszkolnej zabawie jednego z drugim, „jedzie pociąg z daleka” i w drogę...

A ten typ co kombinuje? Przeszukuję jednego z zakładników – każdy z nich w pierwszej fazie szturm jest traktowany jak osoba podejrzana. Nigdy nie ma pewności, czy wśród zakładników nie schował się zuch terrorysta lub czy czasem zakładnik w trakcie incydentu nie doznał syndromu sztokholmskiego i nie przeszedł na ciemną stronę mocy. Może zdarzyć się i tak, że terroryści schowali nieszczęśnikowi jakieś gówno w postaci materiałów wybuchowych pod ubraniem i teraz biedak zmienił się w tykającą bombę – trzeba go odizolować od pozostałych i przy odrobinie szczęścia rozbroić. Tu akurat łaska boska jest wskazana. Mój przeszukiwany podejrzany, co za niespodzianka, schował w nogawce za skarpetą pistolet, a za paskiem od spodni ukrył maskę, taką, jaką nosili pozostali terroryści. Patrzę na jego gębę i nie wierzę. Nasz ukochany nowy „spadochroniarz” logistyk mi się trafił, a to heca. Chłop nasłuchiwał się opowieści, jak to szturm traktuje podgrywkę podczas treningu, i jako terrorysta narobił w gacie i chciał się schować wśród zakładników – no to ma bal. Sęk w tym, że jako terrorysta po odstrzeleniu leżałby sobie teraz na ziemi z mocniej zaciśniętymi na nadgarstkach kajdankami, ale nikt by go nie ruszał, nie ma na to czasu – kiedy jest robota do zrobienia, nie będę się cackał z zasrańcem. Jako niepewny, a raczej właśnie pewny, schowany wśród zakładników terrorysta, ma ze mną do przećwiczenia całą procedurę.

Krzyczę głośno, że ma broń, i odrzucam ją, łapię kolesia za nogawkę od spodni i ciągnę przez połowę peronu, z dala od pozostałych, leżących jeszcze na ziemi zakładników. Trzeba go odciągnąć jak najdalej i dokładnie sprawdzić, czy czasem nie ma na sobie materiałów wybuchowych – a jeśli ma, to momentalnie strzał w łeb i czysto. Ale materiałów nie ma, koszulka poszła w górę – też czysty, tak jak przeszorowana przez niego posadzka. Ściągam mu buty, a czarną taśmą ściśle okręcam mu głowę, zaklejając oczy, by nie podglądał, bo kombinator z niego, jak to logistycy. Sprawdzam dokładnie każdy skrawek jego ciała: jedna noga, druga, krocze,

korpus, ręce. Po sprawdzeniu delikwenta stawia się w pionie, po czym ma czekać w możliwie najmniej dogodnej pozycji – tak, by przez cały czas zastanawiał się, jak tu przetrwać kolejną minutę i sekundę, zamiast myśleć o cwanych numerach.

Nastał czas na ewakuację. Biorę go tak, że idzie prawie jak baletnica – na samych paluszkach, i to w skarpetkach – po rozbitym szkle. Szkolimy się tak, jakby była to prawdziwa walka, więc i trening dla podgrywki musi być naturalnie odczuwalny. Przekazuję go w odpowiednie ręce; tam naszego wystraszonego terrorystę czeka kolejna lekcja pokory, a potem, z tego, co wiem, będzie jeszcze służbowy opierdol, że nie działał zgodnie ze scenariuszem założonym przez szefa całego ćwiczenia.

To było naprawdę dobre szkolenie – trening jak najbardziej realny: każda z możliwych szyb wybita, dodatkowy element zaskoczenia przetrenowany. Wspólne zajęcia skutkowały zawsze tym, że logistycy i reszta „kadruni” zaczynała patrzeć na naszą pracę z większym zrozumieniem. Już nie musiałem odpowiadać na pytania w dziale zaopatrzenia, po co nam tyle plastikowych kajdanków, na cholere nam gumy i czemu tyle czarnej taśmy schodzi. Jedną z najbardziej pożądanых przez nas dziwnych rzeczy były klamerki do włosów – oj, sporo ich szło, dopóki nie wymyśliłem prostszej metody, wymieniając zasłużoną dla ojczyzny klamerkę na... jeszcze wam kiedyś opowiem.

Nastały lepsze czasy, wzrosła dobra wola, by zaopatrywać nas w sprzęt taktyczny – do burzy technologicznej jeszcze było daleko, ale coś drgnęło. Wymyślanie i testowanie nowych kamizelek taktycznych stało się codziennością w naszej pracy. Głowiliśmy się, jak, co i gdzie umieścić, przyczepić, doszyć, by zapewnić sobie wygodę i skuteczność w działaniu, a nie zadowalać się sztuką dla sztuki, jak to wojsko miało w zwyczaju – przy składaniu zamówień nikt nie myślał o spersonalizowaniu sprzętu dla żołnierza, bo po co? Sztuka jest sztuka, rozkaz – wykonać.

Te rzeczy nie działały się same – trafili na siebie odpowiedni ludzie, a i czas był idealny, by w podejściu do indywidualnego sprzętu

taktycznego nastąpił skok cywilizacyjny. Właściciel firmy Janysport, miłośnik gór, a zarazem fachman znający się na igle, nitce i szyciu, podał nam pomocną dłoń. Paweł po każdej swojej wyprawie modyfikował sprzęt do tego stopnia, że inni z zazdrością patrzyli na jego ekwipunek. Gdy zaczął go produkować, z chęcią kupowano jego dopracowane w każdym calu plecaki na górskie wyprawy. Zbieg okoliczności sprawił, że w 1998 roku poznał świeżo mianowanego oficera o ksywie Miras, który służył w tamtym czasie w Pułku Specjalnym w Lublińcu i na potrzeby komandosów zaczął szyc pierwszy drobny sprzęt taktyczny. Miras zaś kolegował się z naszym Foką, który przyszedł do firmy z Lublińca w tym samym roku co ja; potem trafiłem do tej samej co on sekcji. A że mogliśmy już wtedy głośno mówić o naszych potrzebach sprzętowych, Foka zaproponował, by poprzez Mirasa podjąć współpracę z Pawłem.

Burzy mózgów było przy tej robocie od cholery; każdy miał do dodania coś od siebie, Kaśka, Foka i my wszyscy podpowiadaliśmy, co, gdzie i jak, ale pieczę nad całością w końcu objął Łysy, który po każdym teście przekazywał nasze pomysły wprost do szwalni Janysportu. Rola Łysego była bardzo ważna, dbał o każdy szczegół, nadzorował każdy milimetr szycia. Paweł, jako praktyk górskich wypraw, miał umysł otwarty na nasze pomysły i doświadczenie w produkcji sprzętu, ale nie zawsze da się tak rach-ciach zrobić to, co komuś siedzi w głowie, i nie do końca można połączyć górskie doświadczenie ze sprzętem taktycznym. Pierwsze trzy prototypowe kamizelki dały nam dobry punkt wyjścia do kolejnych modyfikacji. Widzieliśmy, jak to wygląda u innych, ale nie mieliśmy ani jednego egzemplarza, który można byłoby skopiować, więc jedynie nasza pamięć i doświadczenie stały się podstawą przy projektowaniu pierwszego sprzętu modułowego. Wtedy jeszcze system MOLLE[3] nie był rozpowszechniony, a Janysport już wprowadził go jako świetny patent mocowania sprzętu, z tą różnicą, że u jankesów paski były szerokości 2,5 cm, a u Pawła – 2 cm, by więc sprzęt był kompatybilny z amerykańskim, poprosiliśmy, żeby zmienił szerokość w swoich produktach na standardowe amerykańskie

2,5 cm, a dokładnie jeden cal (2,54 cm). Podobnie było z ładownicami na magazynki – te nasze już w natowskim standardzie były na amunicję o kalibrze 5,56 mm, a nasza armia używała wciąż AK-47 o kalibrze 7,62 mm, więc i tu trzeba było znaleźć kompromis w szerokości kieszeni. Nasze kuwejckie doświadczenia nakazywały, by kamizelka była wyczepna, tak jak to w standardzie miał SEALsowski sprzęt używany podczas abordażu. Jednym pociągnięciem uchwyty można było się uwolnić od kamizelki taktycznej – to rozwiązanie ratowało życie po wpadnięciu do wody. I tu Paweł wykazał się inwencją twórczą. Najpierw wyczepne były same ramiona; potem, na zasadzie pętli i taśm, przez które przechodziła żyłka – dokładnie taka, jak do kosiarek – powstał docelowy model. Takie to były nasze sprzętowe początki. Robota zrodziła w nas wynalazców. Naszym pomysłem wynikającym z potrzeb było, by w jednym komplecie były dwie kamizelki: pierwsza typowo taktyczna, druga lekka, siatkowa, ale z kieszenią na płytę. Była to absolutna nowość nawet dla jankesów. Ta kamizelka, można śmiało powiedzieć, była protoplastą plate carrierów. Darek z logistyki, który spędził z nami poprzednią misję w Iraku, stał się naszym sprzymierzeńcem. Do Janysportu zaczęły spływać indywidualne zamówienia; właściciel małej firemki miał co robić i świetnie się ze swojej misji wywiązywał. A on sam wspomina to tak:

Nie było wtedy Cordury w kamuflażu wz. 93. Najbardziej podobna była CCE (Camouflage Central Europe). Potem szukaliśmy jednego pasującego koloru. Coyote jeszcze nie był popularny, padło więc na oliwkowy. Dobieraliśmy z łysym odcień tak, by w dzień był jasny, o zmierzchu ciemny. Musiał też spełniać warunek niewyróżniania się w IRR. Technologia noktowizji była jeszcze w fazie rozwoju (jeśli dobrze pamiętam, była to 2–3 generacja, ale mogę się mylić). Nie było polskiej normy obronnej na tkaniny i widzialność IRR. Firma miała już nowoczesne noktowizory. Materiały dobierane były w miejscu pozbawionym

dostępu do światła, a dokładnie... wieczorem w kiblu, z czego się śmieję do tej pory. Od Kaśki wiedziałem, że jankesi zainteresowali się tymi kamizelkami i jeden taki komplet przejęli i zabrali do siebie.

Wszystko oczywiście owiane było tajemnicą i tylko czasami fani marki zastanawiali się, patrząc na publikowane w mediach zdjęcia, czy przypadkiem Janysport nie ma czegoś wspólnego z naszym sprzętem. Pierwszą kamizelkę nazwano MOSS (Modułowe Oporządzenie Sił Specjalnych), trochę też w celu oddania honoru Mirasowi, bo bez jego znajomości z Pawłem tej sprzętowej karuzeli w takim wydaniu by nie było; po latach, gdy Miras dołączył do Firmy, mógł w głębi duszy mieć satysfakcję, że jeszcze poza murami miał pośredni wpływ na rozwój sprzętowy swej przyszłej jednostki – poznał ze sobą odpowiednich ludzi, którzy wybitnie się do tego przyczynili. Pierwsze kamizelki produkowano w kamuflażu francuskim; dopiero kolejne zyskały kolor zielony.

Chłopaków z Marsa nie trzeba było namawiać do wykazania inicjatywy; nasi logistycy, finansowcy i inni zaczęli z czasem rozumieć, że nasze działanie to walka o życie, a od drobnego szczegółu i niezawodności sprzętu w dużym stopniu zależy nie tylko powodzenie operacji, lecz także nasze życie. Rozwój techniczny, który nastąpił wraz z rozpoczęciem wojny w Zatoce Perskiej i Afganistanie, nie pozwalał stać w miejscu i cieszyć się, że ma się wskaźnik laserowy, bo inni nie mają, i jest się kosmitą z Marsa. My podpatrywaliśmy operatorów z Zachodu, działając z nimi ramię w ramię, ale też myśleliśmy samodzielnie, co można od siebie dodać. A żołnierze polskich jednostek mieli prawo chcieć nam dorównać. Kałach, ładownica na cztery magazynki, saperka przytroczona do paska i maska przeciwgazowa na misję w Iraku nie wystarczały, bo ta misja okazała się najzwyczajniejszą wojną – tylko politycy robili z nas „misjonarzy”, bawiąc się grą słów i mając społeczeństwo.



Ekipa pałacowych ubrana w nowe kamizelki MOSS – na zdjęciu między innymi Żuku z Kaśką

Oczywiście, poza udowadnianiem, że w kraju nadal potrafimy działać, ćwiczyliśmy też na poligonie, gdzie amunicji nikt nam nie liczył, mogliśmy więc doszlifować świeżo przywiezioną z Iraku wiedzę. A skoro już okazaliśmy się „tacy wspaniali”, to na to dobro narodowe zechciała zerknąć Komisja Senacka, która nawiedziła nas w czwartek, 19 lutego 2004 roku. Nasz pokaz, jak zawsze, patrzącym z zewnątrz wydawał się pewnie jednym wielkim zamieszaniem – tak naprawdę tylko my wiemy, co się dzieje w tym wirze pobocznych eksplozji, mających odwrócić uwagę; to nie to, co pokazy nacierającej tyraliery czołgów i Air Show. Mimo to wszyscy klaskali i poklepywali nas po plecach, znawcy zagadnienia... No, ale nie po to nas mają, by się na naszej robocie znać. Inna sprawa, co ludzie zasiadający we wszelkich komisjach i podkomisjach różnych służb

wiedzą o wojsku i szeroko rozumianym bezpieczeństwie. Ministrem zdrowia zazwyczaj zostaje lekarz, ministrem sprawiedliwości zazwyczaj ktoś z wykształceniem prawniczym, ale ministrem obrony narodowej może zostać każdy, od psychiatry po jego pacjenta włącznie, a najmilej widziani są historycy. Może właśnie dlatego część naszej armii wygląda jak z innej epoki...

Co wiedzieli o GROM-ie generałowie, a i pewnie politycy urzędujący w trakcie mojej wojskowej kariery, może przybliżyć ta historyjka. Kazano nam przygotować przed wyjazdem pokaz dla wyżej wspomnianej komisji. Był on zarazem ćwiczeniem certyfikującym nas przed wyjazdem. Zjechali się na to przedstawienie: minister, wiceministrowie, członkowie komisji i generałowie w różnokolorowych beretach, noszący je niekiedy na bardzo egzotyczną modłę. Wyróżniają się oczywiście ci w czerwonych, mądrzący się nieustannie, co i jak robią GROM-owcy. Taki generał komandos wygląda na wysportowanego zucha, beret ma kozacko ułożony, pewnie więc orientuje się nieco lepiej od innych tuptających krok w krok za ministrem i służących mu na każdym kroku czynem, radą i żartem.

Pan minister obrony narodowej Jerzy Szmajdziński (z wykształcenia elektronik i ekonomista) dał nam się poznać jako normalny, powściągliwy człowiek, interesujący się życiem i problemami żołnierza, także tego stojącego najniżej w dowodzeniu. Spotkaliśmy się z panem ministrem już kilkakrotnie wcześniej; widok znanych twarzy skłonił go, by po pokazie podejść do nas, gdy na chwilę uwolnił się od wianuszka lampasów. Staliśmy z Tylutem, ubrani w nasze nowe kombinezony spadochronowe, które świetnie sprawdzają się jako kombinezony taktyczne, kiedy zbliżył się, żeby zamienić kilka słów z weteranami z Iraku, a zarazem szykującymi się na kolejną „misję”. Kilka słów, co i jak, typowa grzecznościowa rozmowa, kilka opinii i spostrzeżeń ukierunkowanych na sprzęt i wsparcie z powietrza, jakim dysponują Amerykanie podczas naszych operacji, i tłumaczenie, że takich działań w dzisiejszych czasach praktycznie się nie da przeprowadzić bez śmigłowców

i całego elektronicznego wsparcia, jeżeli więc mamy być nadal skutecznymi, to musimy działać razem z Amerykanami.

Jeden z generałów, patrzący z zazdrością na tę luźną pogawędkę, toczoną w dodatku przy piwie, nie wytrzymał i podszedł, by zaznaczyć, że generał to wie lepiej – i to taki generał, któremu szeregowy stojący z ręką w kieszeni w towarzystwie ministra i jego samego, nie przeszkadza. Trochę zzieleniałem, jaki szeregowy, na co ta jego uszczypliwość w kwestii ręki w kieszeni? No, fakt – nasze kombinezony nie miały pagonów; zresztą, gdyby nawet miały, to pagonów by na nich i tak nie uświadczył (wiadomo – wycierają się pod sprzętem taktycznym... żartuję, u nas ich po prostu nie używaliśmy). Pan generał był pewny, że rozmawia z szeregowymi żołnierzami GROM-u – i miał poniekąd rację, ale był również święcie przekonany, że ci dwaj ponadtrzydziestoletni brodac faceci też są w stopniu szeregowca. Taki oto obraz tego, kim jesteśmy, a i pewnie co robimy, mieli generałowie i stawiam w ciemno butelkę Jacka Daniel'sa, że niestety w większości przypadków tak jest nadal. Zresztą ten sam generał nieco później poinstruował naszego dowódcę w Iraku, by czasem GROM nie operował w jego strefie, bo jego chłopcy wystrzelają nas jak kaczki. Mieliśmy z tego niezły ubaw, bo nasza wizyta w polskiej bazie odbyła się właśnie po jednej z nocnych operacji tam przeprowadzonych, o czym pan generał nie miał zielonego pojęcia – widocznie bardziej interesowały go kaczki.

Certyfikacja klepnięta, plecaki spakowane, skrzynie na paletach, broń obsłużona – możemy lecieć. No, nie tak od razu, najpierw trzeba dojechać. Żeby nam było z Warszawy bliżej do Bagdadu, musimy udać się w dziewięciogodzinną podróż autobusem do Wrocławia; po kolejnych sześciu godzinach wita nas żar kuwejckiej spiekoty. Z Iraku wróciłem 12 grudnia 2003 roku, by ponownie wylecieć nad Eufrat i Tygrys 20 marca 2004 roku na kolejne siedem miesięcy. Tylko już zaczynam się gubić, czy ja wyjeżdżam do Iraku, czy tam wracam...

3 *Modular Lightweight Load-bearing Equipment*, MOLLE (ang.) – modułowy system przenoszenia oporządzenia osobistego.

2

PAŁACOWI

W 2003 i 2004 roku kumulacja GROM-u w Iraku była całkiem spora, działaliśmy na dwa, a nawet na trzy fronty. W trakcie naszej zmiany, kiedy byliśmy w Camp Pozzi, po trzech miesiącach dojechała kolejna ekipa naszych. Chłopaki zostały zakwaterowane w pałacu Saddama (Radwaniya Palace Complex) górującym nad całą okolicą, toteż z miejsca ochrzciliśmy ich mianem pałacowych. Wszystko na wysoki połysk, marmury i basen na głównym tarasie – Saddam potrafił się urządzać. W nowych kamizelkach taktycznych chłopaki idealnie wpasowały się w pałacowe standardy. Trzy miesiące później wysłano na północ do Mosulu kolejną grupę, złożoną z nowo przybyłych chłopaków z „Wody” – naszego wodnego zespołu bojowego z kilkoma od nas, z zespołu „A”. Zresztą zawsze było to w standardzie – dzięki takim przetasowaniom oba zespoły miały te same procedury, co dawało nam możliwość wymiany doświadczeń.

Ekipa z pałacu przez pierwsze trzy miesiące pracowała z United States Army Special Forces – czyli, potocznie mówiąc, z żołnierzami dumnie noszącymi zielone berety. Amerykańska armia ma pięć grup specjalnych. Pałacowi w tamtym czasie działali z trzecią grupą, której terytorium to Afryka, i z piątą, której strefą odpowiedzialności jest Bliski Wschód. Mieliśmy już spore doświadczenie we współpracy z Zielonymi Beretami, bo 10. grupa, przeznaczona do działań w Europie, cyklicznie odwiedzała nas w Polsce i organizowaliśmy wspólne poligony. Już wtedy wiedzieliśmy, że jesteśmy w stanie współpracować – podobne procedury, ta sama broń, do której Amerykanie przywozili niezliczone ilości amunicji. Nigdy nie narzekaliśmy w firmie na jej brak, ale to, co Amerykanie mieli w kontenerach, przekraczało nasze moce przerobowe na strzelnicy i podczas zajęć taktycznych. Poza bronią przywozili ze sobą także amerykańskie wozy; już podczas pierwszego wspólnego

treningu w Polsce poznaliśmy pojazdy typu HMMWV i całą resztę wojskowego szpeju rodem zza oceanu. Co ważne, nasza łączność i sekcja operacyjna nadawały na tych samych falach. Poza tym także dowództwo prezentowało zbliżoną mentalność. Mając za sobą bojowe doświadczenia z Zatoki Perskiej i Iraku, miesiące współpracy z Navy SEALs, byliśmy dla Zielonych Beretów równorzędnymi partnerami – a zresztą, może trochę nieskromnie to zabrzmie, ale to był ten czas, kiedy to innym zależało na współpracy z nami. Przekonaliśmy się o tym nieco później, kiedy to do naszych drzwi zapukał reaktywowany właśnie Task Unit Raider, należący do amerykańskich Marines. Wracając do Zielonych Beretów i ich wyszkolenia: to byli prawdziwi twardziele, którzy chcąc służyć w grupie specjalnej, musieli przejść przez selekcję i kilkietapowe szkolenie podstawowe w Centrum Szkolenia Sił Specjalnych im. Johna F. Kennedy’ego w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Potem, zgodnie z wymaganiami, musieli ukończyć szereg szkoleń specjalistycznych. Zielony beret jest symbolem nawiązującym do tradycji alianckich komandosów z okresu II wojny światowej. No i chyba każdy żołnierz tej formacji, z którym miałem do czynienia, marzył o Delta Force – to dla nich taki Święty Graal.



**Pałac Saddama górował nad bazą ulokowaną w okolicy lotniska.
My z dołu zerkaliśmy z zazdrością na panujący u pałacowych
przepych (to oczywiście żart)**

Moje osobiste doświadczenia z żołnierzami w zielonych beretach również były dobre. Któregoś wieczoru po całodniowym treningu dostałem zaszczytu – dostałem taki właśnie beret. Zastanawiałem się za co. Jednego dnia bez wytchnienia ćwiczyliśmy miejską taktykę między budynkami pamiętającymi niemieckie koszary, potem zabraliśmy się do radzieckich instalacji. Następnie przyszła pora na wspólne treningi z Amerykanami. Dowódcy cisnęli nas na maksa, do tego stopnia, że naprawdę wtedy dawaliśmy z siebie wszystko, zupełnie tak, jakby była to prawdziwa robota, nie poligon. Podgrywka nie dawała się wykurzyć, a snajper nie pozwalał swobodnie działać – był cholernie skuteczny, choć uzbrojony jedynie

w pociski z farby i porcelany. W ciągu dnia nasze sekcje wymieszały się – po pewnym czasie działaliśmy już jak jeden organizm.

W takich chwilach micha schodzi na dalszy plan; nie ma stop-klatki, zjemy jak skończymy – tak przecież byłoby na wojnie. Było upalne sierpniowe popołudnie; ktokolwiek z nas miał wodę, dzielił każdy łyk na pół. Ja akurat miałem zapas, bo w ostatniej chwili do pustej kieszeni na plecach w kamizelce taktycznej wrzuciłem całą butelkę. Jeśli podzielisz się z kolegą, to może za chwilę się odwdzięczy i zlikwiduje zagrożenie, które akurat ma cię na celowniku. Każdy pił po łyku – robimy tę robotę razem, giną w niej egoiści. Skończyliśmy dzień... chciałbym napisać, że spoceni, ale już chyba nawet nie miałem czym się pocić, a nasze mundury całe były w plamach od soli. Gotowane ziemniaki i bitki wołowe powitaliśmy jak zbawienie. A jak smakował kompot z truskawek! Mmmmm, szaleństwo smaków. Z rozkoszą oblizywało się spierzchnięte usta, choć pora obiadu zbiegła się z kolacją. Wtedy jeszcze nikt z nas nie spodziewał się, że z tych ćwiczeń na poligonie zaliczymy kiedyś sprawdzian nad Eufratem. I właśnie tamtego wieczora dostałem niesamowity prezent – mam nadzieję, że nie za ten łyk wody, ale za dobrze wykonaną wspólną robotę i ochronę dupy kolegi, żeby mu jej snajper nie odstrzelił.



Pamiętkowe zdjęcie z US Army Special Forces (Zielone Berety, Green Berets) podczas wspólnego poligonu

Treningi z 10. grupą wspominam z uśmiechem. Amerykanie nigdy nie dali nam do zrozumienia, że mamy gorszy sprzęt i śmieszne jak na wojskowe standardy samochody; co więcej, dzielili się z nami wszystkim, co mieli. Pozwalali strzelać ze swojej broni i uczyli jej obsługi, co przełożyło się na nasze wyszkolenie w Iraku. Nie musieliśmy już uczyć się podstawowych rzeczy, mogliśmy od pierwszego dnia inwazji walczyć i właśnie to było wyznacznikiem poziomu GROM-u, a nie certyfikaty wydawane przez komisje.

Poza tym całym poligonowym trudem są też weselsze – i miłsze żołnierskiemu sercu – wspomnienia. Po całym tygodniu roboty odkażenie i opłukanie gardła z poligonowego kurzu było wręcz konieczne. W okolicach Bolesławca budowano wtedy nowy odcinek autostrady, a faceci z wyrzeźbionymi bicepsami kójarzyli się miejscowym raczej z ciężką pracą przy budowie nowej drogi niż

z wojskiem. Jak to na budowie, mocno roznegliżowani goście wyglądali naprawdę zacnie – mięśnie mieli prawie takie jak my. Operator koparki często musi schodzić do kolegów i łapać za łopatę; ten z walca też nie ma łatwej roboty, bo sprzęt stary, a kierownica nie ma nawet wspomagania, chłopaki pracują więc naprawdę ciężko. A skąd tu tylu Amerykanów? No, jak to skąd? Przygotowaliśmy się i na takie pytania. Przecież oni mają największą sieć autostrad na świecie, wcześniej pomagali budować je Niemcom, a teraz pomagają nam. Tak tworzyła się legenda na miejscowej dyskotece. Na ogół byliśmy niestety na przegranej pozycji, bo operator łopaty, nie oszukujmy się, nie ma dużego brania. Żeby podnieść standard, kolega wymyślił, że będzie architektem. Z zawodu inżynier pola walki, uznał, że w bajerze poradzi sobie z technicznym językiem. Po chwili rozmowy miła blondynka grzecznym głosem zapytała, na jakim to programie do projektowania pan architekt pracuje, budując autostradę, bo ona właśnie skończyła trzeci rok architektury i bardzo się cieszy, że może pogadać z kimś o konkretach. Kolegę zamurowało, ale blondyneczka nie odpuszcza i zasypuje go lawiną fachowych pytań. Na szczęście sytuacje awaryjne to nasza specjalność: „Muzyka jest zbyt głośna, nie słyszę, co mówisz, zatańczymy?”.



Pałacowi w akcji

Czasami na dyskoteki wparowywaliśmy w sześćdziesięciu chłopa, sekcjami. Niestety na nas sześciu w sekcji przypadła statystycznie jedna dziewczyna na parkiecie; pod tym względem los nigdy nie był dla nas łaskawy. Na nasze nieszczęście w tym czasie w okolicy nie odbywały praktyk tabuny pielęgniarek, by każdy operator mógł mieć partnerkę do tańca. A tu sensacja! Didżej ogłasza, że dziś sobota i będzie striptiz! No to mamy bal, testosteron się rozlał, nawet Amerykanie zrozumieli, jakie show nas czeka. Wychodzą na środek sali dwie zgrabne, młode, śliczne, cudowne dziewczyny w towarzystwie ochroniarza – a raczej szpetnego alfonsa, bo tak wyglądał w tym swoim sweterku w romby; do tego szpanersko się rozpychał i natychmiast rozkazał zrobić miejsce na pokaz, jak w wojsku. Jesteśmy wszechstronnie przeszkoleni i na kulturze się znamy, robimy więc taktyczny okrąg, czyli obronę okrężną; będzie pokaz, a na pokazach wojsko się zna. Dziewczyny trochę się

powyginały, pomachały nam przed nosami boa ściągniętymi z szyi i... na tym koniec. Poszły sobie.

– Co to było?! – protestujemy.

Po kolejnym tańcu w samczych sekcjach wracają wreszcie długo wyczekiwane tancerki. Tym razem są odważniejsze: zdjęły sweterki, odkrywając lśniące, gładkie staniki, po których przebiegają refleksy świetlne, odbite od zamontowanej nad nami kuli. Rozpalają zmysły. Ale znowu musimy obejść się smakiem – zwiały nawet nie wiem kiedy. Rozmarzyliśmy się, ale alfons tak srogo zerka, że czar prysł. Wracają i znowu zmysłowy taniec podnosi ciśnienie, ale nie tylko nam – po chwili zdenerwowany alfons czujnie przywołuje dziewczyny, które szybko schodzą ze sceny. Jednak obrona okrężna zrobiła swoje: alfons, pociągnięty za kołnierz, wyleciał za drzwi i już nie przeszkadza. Żuku porwał jedną pannę na barana, a ta już macha stanikiem jak szalikiem na stadionie piłkarskim; nagie piersi wręcz krzyczą „Polska gola!”. Druga siedzi na moich ramionach, trzymając za ręce wysokiego jankesa, i tak płąsamy we trójkę walczyka. Tylko dzięki wysokiej kulturze osobistej – to znana cecha budowlańców autostrad – panny wróciły do szatni po zakończonym spotkaniu, oczywiście, prezentując światu swoje wdzięki w trakcie kilkukrotnej wymiany koszulek na te budowlane, bo i u nas niejeden zapalał chęcią pokazania klaty. Potem didżej ogłaszał jeszcze, że znalazca niebieskich koronek dostanie darmowego drinka... ale majtki znalazła dopiero straż graniczna w bagażniku jednego z amerykańskich samochodów na granicy polsko-niemieckiej.

Takie mieliśmy wspólne doświadczenia i wesołe wspomnienia z dawnych już lat. Że co...? A o czym mają rozmawiać i co wspominać młodzi mężczyźni na wojnie, jeśli nie przelotne chwile zabawy i spotkania z roztańczonymi dziewczynami? O wojnie rozmawia się w kraju nad Wisłą w towarzystwie Jacka D., i to szeptem, żeby dziewczyny nie słyszały.

2.1 – Stary

Jeżeli można powiedzieć o kimś, że ma szczęście, to o Starym. Z drugiej strony – prawdziwe szczęście miał ten, kto go poznał, szkolił się z nim, przyjaźnił, sąsiadował. Lata dziewięćdziesiąte to był dla mojego pokolenia czas poszukiwania własnej drogi w nowej, już niesocjalistycznej rzeczywistości. My, Polacy, mamy to we krwi, że niezależnie od epoki ciągnie nas do munduru – takie serca, taka historia; nie musimy, ale chcemy. „A może by tak zostać policjantem?”, myślał Stary, gdy był jeszcze młody. Wzrost odpowiedni, sprawność fizyczna ponadprzeciętna, szybki, zwinny, a co najważniejsze – zdecydowany, bo Stary nigdy się nie wahał. To prawdziwe szczęście mieć kogoś takiego za plecami w boju. No cóż, marzenia można mieć, ale nasz kraj nie ułatwia ich realizacji – nie znam nikogo, kto miałby z górki i tak po prostu dostał się tam, gdzie chciał. System miesza w życiorysach tak zabawnie, że książki można pisać; myślę, że całkiem sporo GROM-owych losów to gotowe scenariusze filmowe.

Pierwsze szlify Stary zdobył w 18. Bielskim Batalionie Desantowo-Szturmowym. Takie były wymogi, by przyszy policyjny antyterrorysta miał w CV doświadczenie z wojsk powietrznodesantowych. Zasadnicza służba wojskowa stała się przepustką do wymarzonej jednostki antyterrorystycznej, a zarazem zaszczepiła w Starym pasję, którą rozwijał przez kolejne lata swojej wojskowej kariery – było nią spadochroniarstwo. W 1. Warszawskiej Brygadzie Zmotoryzowanej, która wchodziła w skład Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w latach dziewięćdziesiątych. zaczęto tworzyć

pododdziały szturmowe, zwane inaczej manewrowymi: kompanię ratownictwa techniczno-chemicznego, kompanię rozpoznania terrorystycznego, pirotechnicznego i do likwidacji zagrożeń bombowych, a nawet batalion ochrony placówek. W jej szeregi werbowano młodych i sprawnych chłopaków, w 1996 roku trafił tam więc i Stary.

W tamtym czasie w nadwiślańskich rządził bardzo charyzmatyczny major Cis, który starał się wprowadzać „nowe”. Opracowywał nowatorskie techniki strzelania z pistoletu i strzelby, zmieniał podejście do taktyki... ale przede wszystkim pan major był znany z niestandardowego podejścia do podwładnych. Niektórzy bardzo je sobie cenili, ale nie można powiedzieć, że miał wyłącznie sympatyków. Tym, którzy chcieli i nie ściemniali, pozwalał się rozwijać: wysyłał na kursy wspinaczki, ratownictwa górskiego. Stary zaliczał się do tej grupy. Najbardziej spodobało mu się na kursie instruktora spadochronowego. To był dobry czas dla ambitnych, młodych ludzi, gotowych do pracy u podstaw.

Z czasem, niestety, jednostki nadwiślańskie rozwiązano, część chłopaków przeszła do nas, gdzie czekała ich selekcja lub robota poza zespołami szturmowymi; resztę w 2000 roku przejął BOR. Przyszedł do nas także major Cis; nie był już młodzikiem, ale honor nie pozwolił mu dołączyć do GROM-u bez selekcji, więc – nie patrząc na PESEL i zajmowane stanowisko dowódcy plutonu ochrony – selekcję przeszedł, czym zyskał u nas ogromny szacunek. Bardzo polubiłem tego faceta, choć zdarzało się, że wieszał na nas psy, wściekał się i rzucał przekleństwami. Robił to zawsze w taki sposób, że w duszy człowiek się z tego jego zachowania śmiał – wiadomo było, że jeśli jesteś pracowity i chcesz się dostać na szturm, Cis będzie po twojej stronie. Co więcej, regulaminy i głupekowate przepisy miał gdzieś, był ponad to.



Stary na bojowo z plecakiem medycznym, który zamortyzował jego skok na dach

Gdy byłem jeszcze przed kursem podstawowym i odbębniałem cyklicznie służbę wartowniczą na jednostce, tak samo jak inni czekający na kurs, zdarzało się, że major, będąc na służbie jako oficer dyżurny, dzwonił do mnie na wartownię i rozkazywał: „Panie Naval! Tych, co nie mają selekcji i nie biegają, pan wystawia na wartę, reszta melduje się na boisku i gramy w piłkę”. Rozkaz, panie majorze. W grze nigdy nie było limitu czasowego – grało się do upadłego, a jeśli akurat major przegrywał, to do zwycięskiego gola. W uszach do dziś brzmią mi jego krzyki: „Panie Naval! Jak jeszcze

raz mnie pan kopniesz, to jak ja panu zapierdolę...”. Nigdy mnie na szczęście nie dogonił. Kiedy graliśmy w jednej drużynie, nie daj Boże było przegrać, a jeśli ktoś nie podał mu piłki, gdy ten był na czystej pozycji do strzelenia gola, od razu straszył dodatkową wartą, regulaminem i sądem wojennym. Mając takiego przebojowego dowódcę, Stary w 1997 roku szarpnął się z kilkoma chłopakami na selekcję, którą przeszedł za pierwszym razem, i wiosną 1998 roku trafił do Firmy.

Tutaj Stary rozwinął skrzydła, i to dosłownie. Będąc już instruktorem spadochroniarstwa, trafił na podatny grunt – spotkał ludzi o podobnym podejściu do tego sposobu przerzutu, a i sportu. To oni w GROM-ie zaczęli w skokach HALO i HAHO określać standardy dostarczania żołnierzy i sprzętu desantem z dużej wysokości. Na właściwym kursie podstawowym nie brakowało mi zaciekłych sparingów, ale wspólnego ćwiczenia ze Starym, jego stylu bycia, tekstów – tak, bo trzeba przyznać, że prawdziwy z niego krasomówca, który w wyrażaniu emocji i potrzeb nie ograniczał się do pospolicie używanych przekleństw, ale klął w taki sposób, że ten, kogo nazwał matołem, uważał się za szczęśliwca. Gdy podczas kursu spadochronowego szybko – a raczej bardzo szybko, bo po trzecim skoku AFF (Accelerated Free Fall) – uwolniłem się w swobodnym opadaniu MFF (Military Free Fall), Stary wziął mnie ze sobą do samolotu, by skoczyć razem ze mną i sprawdzić, co wyrabiam w powietrzu. Miałem pietra. Wyszedłem spod ręki Sławka, który poświęcił mi na ziemi sporo czasu – był to cierpliwy i cholernie metodyczny instruktor, a że miałem doświadczenie i dobrą szkołę desantową z Lublińca, no i byłem pojętym uczniem, w mig złapałem płaską (podstawowa sylwetka podczas swobodnego opadania). Znalazłem się w samolocie ze Starym; znamy się jak łyse konie, ale tu nie ma zmiłuj, musi na mnie zerknąć, zanim pozwoli mi na dalszy rozwój. Można mieć prawdziwego cykora nawet przed kumplem. Wpajano nam to zresztą od pierwszego dnia: możesz być fajnym kolegą, ale jeżeli nie nadajesz się do tej roboty, to jej robić nie będziesz, za wysoka stawka.



Złapać płaską, a później to już luz

READY! SET! GO! – wyrwało mnie z rozmyślań. Poszedłem na wolne saltem w przód i już się bawię w obłokach. Cały stres spowodowany obecnością Starego zniknął – po prostu to lubię, chłonę każdą sekundę swobodnego opadania. Stary nakazuje mi obrócić się w prawo o 360 stopni – jestem, w lewo – jestem. Teraz symulacja otwarcia spadochronu. Podpieram się lewą ręką, prawa idzie na biodro, symulując wyrzucenie pilocika; zrobione, i nawet utrzymałem się na wysokości razem ze Starym. Kontrola wysokości, cholera, widzę, że mu się oczy cieszą... Wysokość tysiąc pięćset, obrót i odlatujemy od siebie, tysiąc trzysta, pilocik, czasa, ściągnięcie slidera, lądowanie pod wiatr, ziemia. Przy piątym skoku Stary pozwolił mi na całkowitą samodzielność – całe niebo należało do mnie. Przecinam chmury, lecąc na Małysza, z lewa na prawo i z powrotem, tysiąc trzysta, pilocik, czasa... Stoimy w grupie przed kolejnym wylotem, Stary dzieli nas, by określić zadania na kolejny skok zgodnie z umiejętnościami. Brzmiało to mniej więcej tak:

– Słuchać mnie, kurwa, bo dwa razy nie będę powtarzał, zamknąć ryje. Tu stają debile, z wami pogadam na końcu.

Mówi to praktycznie bez żadnych emocji, bez złości. Idę na swoje miejsce.

– Teraz słuchają mnie matoly. Naval, przechodź tutaj. Skaczecie w parach i próbujecie utrzymać się na tej samej wysokości, rozejście na tysiąc pięćset, otwarcie na tysiąc trzysta, matoly zrozumiały? Teraz koziki...

Tych zawsze opierdalał najbardziej. Choć na niebie wyczyniali już akrobatyczne cuda, dla Starego ich formacje nigdy nie były zadowalające. Spadochroniarstwo to piękny sport, ale i ciężka robota, w której nie ma miejsca na pomyłki ani na rutynę.

Każda nasza robota – no, prawie każda, jeśli brakowało nam czasu – była poprzedzona treningiem; w naszym żargonie to „próbne nurkowanie”. Stary, jako fachura od wysokościówki, odpowiedzialny jest za założenie na śmigłowcu SH-60 seahawk szybkiej liny do desantu na cel znajdujący się na południe od Bagdadu. Seahawk to wspaniała maszyna, wyposażona w odpowiedni wysięgnik umożliwiający montaż liny – wielkiej filozofii tu nie ma, w przeciwieństwie do montażu na naszych sokołach. Treningi zjazdów ze śmigłowca po linie w ciągu dnia i po zmroku poszły sprawnie. Tę technikę desantowania ze śmigłowca trenowaliśmy tak często, że wydawałoby się, że nic już nie może chłopaków zaskoczyć. Robota była gruba, z wykorzystaniem sporych sił i wsparcia innych jednostek. Założenie było takie, że jedna z ekip wylądowała wcześniej i robiła krótki domarsz, by zaatakować obiekt z parteru. Ekipa Starego miała przeprowadzić desant na dach i zdominować obiekt od góry, żebyśmy mogli jak najszybciej zabezpieczyć całość. Stary umówił się z pilotami, że na chwilę przed startem przyniesie i zamontuje linę. Kiedy po nią poszedł, okazało się, że mechanik pokładowy już ją zamontował, sprawdził więc tylko mocowanie i sklarowanie liny w śmigłowcu; jest OK. Padła komenda: pakować się do śmigłowców.

Stary, jako pierwszy zjeżdżający, wchodzi na pokład ostatni i siada na skraju z nogami zwieszonymi na zewnątrz, lina ląduje na jego kolanach. Taki lot nie jest niczym przyjemnym – nogi i dupsko drętwieją; jedyny plus w gorącą noc jest taki, że troszkę wieje, a chłopaki w środku śmigłowca gotują się w ukropie. W radiu słychać komendy: ekipa dedykowana do szturmu z ziemi wylądowała i zbliża się do obiektu, ekipa Starego, czas oczekiwania jedna minuta... Śmigłowiec, lecący dotąd z ogromną prędkością, wręcz staje dęba w miejscu, łopaty wirników szaleją z wysiłku – ale ta maszyna wytrzymuje takie przeciążenia.

Na sygnał mechanika Stary zrzuca z kolan dziesięciometrową linę; widzi, że zakręca i wraca do śmigłowca, ale czuje też, że siedzi na niej udem – powinna się rozwinąć przy wyskakiwaniu ze śmigła. W zwisie nad celem nie ma czasu na mędrkowanie, trzeba działać sprawnie, by śmigłowiec mógł jak najszybciej odlecieć, Stary wyslizguje się więc na zewnątrz. Mocno ściska linę pomiędzy stopami i trzyma ją w dłoniach, zsuwając się dynamicznie w dół; poza całym sprzętem taktycznym ma na sobie dodatkową amunicję i plecak medyczny, waży z tym wszystkim około stu trzydziestu kilogramów. Po kilku metrach zjazdu lina zawija się, robi „ucho” i wraca do śmigłowca. „Co za cholera?”, łomocze w głowie Starego, dlaczego lina nie wypadła razem z nim? Zjeżdża do samego przewieszenia na samych rękach, myśląc, że pod wpływem ciężaru koniec liny wypadnie ze śmigłowca i zjedzie na dach, ale nic takiego się nie dzieje. Widzi dach budynku, ale nogi ma na wysokości dobudówki gdzieś ze dwa metry nad podłożem. Błagalnym wzrokiem patrzy do góry, może ktoś tam, do kurwy nędzy, zatrybi i wykopie linę z jebanego pokładu? Ale nie! Nad nim zawisło tymczasem kolejnych dwóch chłopaków. Szybka kalkulacja: każdy z nich waży grubo ponad sto kilogramów; jeśli czwarty wejdzie na linę, obciążenie śmigłowca po tej stronie wyniesie dobrze ponad pięćset kilogramów, a sama wyciągarka ma też swoją określoną wytrzymałość.

Nie miał wyjścia – puścił się i zeskoczył na dach. W tej samej chwili na linie zawisł czwarty chętny do zjazdu. Tymczasem mechanik pokładowy cofnął się o krok i zszedł z torby transportowej na linę, nieświadom całej sytuacji i tego, co zrobił. Jeszcze przed wylotem mechanik wziął cienki metrowy zielony sznurek amerykański i troskliwie przywiązał koniec liny do torby transportowej – żeby się worek na linę nie zgubił. Było ciemno, nikt więc nie widział, że lina jest uwiązana. W momencie skoku Starego śmigłowiec niestety poszedł jeszcze o metr do góry – w rezultacie czas skoku wydłużył się na tyle, że Stary miał chwilę, by przygotować się do lądowania; zrobił to tak, jak go wyszkolono, a potem przez wiele lat wymagał bezwzględnie od innych, żeby stosowali tę technikę: stopy i kolana razem i kołyska w bok podczas upadku. Plecak medyczny przeważał go, przejmując siłę upadku – skończyło się na cholernym bólu kostek i naciągnięciu wszystkich możliwych ścięgien stawów i przestrzeni międzykręgowych. Adrenalina pozwoliła mu jeszcze wyczyścić wraz z sekcją przybudówkę i pierwszy poziom. Miał cholernego farta, bo skok był z wysoka. Na szczęście na dachu nie było drutów do wieszania prania ani innych gratów.

Poza wyszkoleniem zawsze jednak potrzebne jest szczęście – a Stary je miał. Robota zakończyła się sukcesem, ale i porządną opuchlizną kostki, ogólnym bólem wszystkiego i dwutygodniowym zwolnieniem. Wrócił, ale już nie jako „pałacowy” – przyjechał do Camp Pozzi, by działać dalej z SEAL Team 7.

Ekipa pałacowych, podobnie jak my, miała całe spektrum robót, od wspomnianych DA po ochronę VIP-ów. Janusz Zemke, Bronisław Komorowski (późniejszy prezydent RP), Marek Belka i inni politycy mogli się czuć bezpiecznie na irackiej ziemi. Ciekaw jestem, czy w tamtej chwili mieli refleksję co do swych politycznych posunięć związanych z naszą jednostką, bo nie dało się ukryć, że mają do czynienia z innym żołnierzem, z inną jakością – nawet jeśli jeszcze niedawno mieszano nas z błotem, teraz politycy musieli przyznać rację Petelickiemu i uznać słuszność jego strategii tworzenia

i szkolenia GROM-u. W strefie konfliktu zbrojnego chciałoby się jednak mieć ochronę złożoną z takich właśnie żołnierzy, nawet jeśli niespecjalnie potrafią maszerować podczas defilad...



Przy ochranianiu VIP-a zawsze znajdzie się chwila na luźną rozmowę – tu z Januszem Zemke, sekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, rozmawia Kaśka w towarzystwie chłopaków

2.2 – Cygan

– Mamo – zawołał przez zamknięte drzwi ze ściśniętym gardłem Zyguś – mamo, przyszło wezwanie do wojska i ja tam w nim już zostanę na zawodowego, do PGR-u nie wrócę.

Tymi słowami ze łzami w oczach Zyguś pożegnał mamę i biedę panującą w tamtych czasach na PGR-owskich osiedlach Lubelszczyzny. Dowództwo Centralnego Ośrodka Szkolenia Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSWiA JW 1492 było zadowolone z takiego żołnierza. Zyguś wracał z medalem z każdego zawodów biegowych, na jakie został wysłany, jeździł więc z jednych prosto na drugie. W tym czasie ukończył szkołę podoficerską i został awansowany na kaprala. W ośrodku bardzo chciano mieć tego nie tylko świetnego zawodnika, ale i pracowitego żołnierza. Komendant był jednak porządnym człowiekiem i padła propozycja, że tak wysportowany chłopak może przydać się bardziej w jednostce specjalnej. Te słowa nie dawały Zygusiowi spokoju i padło na specjalsów.

Miał się stawić w Warszawie, przy ulicy Podchorążych, ale tam o świeżo mianowanym kapralu nikt nic nie wiedział, jak to w wojsku – kazali czekać. No to Zyguś czekał. Siadł na plecaku gdzieś pod ścianą i nawet się nie obejrzał, jak minęło dwanaście godzin.

– Panie kapralu – wyrwało go z letargu – ktoś z JW 2305 po pana przyjechał.

Przed bramą czekał polonez z wielkim, nie, z wręcz ogromnym gościem o tak olbrzymich dłoniach, że ręka przeciętnego faceta wyglądała przy nich jak drobna dłoń dziecka. Janek przedstawił się

po żołniersku i zabrał kaprała do jednostki specjalnej. Był to rok 1995.

Rzeczywiście była to specjalna jednostka – to, co ujrzał za bramą, na której widniał jeszcze ślad po niedawno zdjętej radzieckiej gwiazdzie, przeraziło go. Cygan był z PGR-ów, gdzie dziadostwo było powszechne, ale to, co zobaczył w jednostce, naprawdę go zmroziło – jeden wielki syf. Spora część terenu koszar była zarosnięta dziko rosnącymi krzakami, gdzieś stały stare, zawałające się baraki, jakieś chlewnie, w których został nieuprzątnięty gnój, a w budynkach wrogo hulał wiatr.

Dopełnieniem tej specjalnej jednostki byli żołnierze zasadniczej służby, których młody kaprał dostał pod swoją komendę. Jednych sam odwoził do ancla, innych odbierał. Często zdarzało się tak, że trzeba było wsiąść do nysy i jeździć po okolicznych knajpach, zbierając tych, co sami na czas nie wrócili z lewizny. Ten „kwiat rycerstwa” stanowili żołnierze zasadniczej służby wojskowej – w Firmie byli oni oddelegowani wyłącznie do odbywania służby wartowniczej i prac pomocniczych, często nie dostawali nawet do ręki broni. Warunki zakwaterowania nie spełniały żadnych norm. Jeden z baraków zawalił się samoczynnie, i to nie z powodu głośno dudniącej muzyki disco polo. Grzyb na ścianach i zapach wilgoci był normą. Kapitan, którego Cygan wspomina jako dobrego chłopca, by poradzić sobie z żołnierzami, co niektórych pętał liną (dosłownie!) – i to nie jest wymyślona opowieść, tylko sytuacja z życia wzięta.

Wszystko to działo się w tym samym czasie, kiedy formował się GROM. Generał Petelicki i dowództwo mieli inne sprawy na głowie. Gdy w jednostce odbywały się jakieś pokazy, nakazywano zasłaniać w barakach wszystkie okna szarymi wojskowymi kocami. Wszyscy mieli zakaz patrzenia na to, jak szturmowcy się szkolą i wykonują ćwiczenia, czego i ja jeszcze doświadczyłem. Można zadać sobie pytanie, skąd wzięło się w GROM-ie takie wojsko? Dobór żołnierzy służby zasadniczej był „na sztukę”, system nakazywał odsłużyć swoje i do cywila, jednostka skupiała się na szkoleniu zawodowców. Ale jak już trafił się ktoś porządny, to dostawał szansę, a że Cygan

był właśnie takim żołnierzem, toteż ją dostał. Zaproponowano mu, aby został przewodnikiem psa. Patologiczna sytuacja w jednostce zaczęła się zmieniać, a ochronę mieli stanowić, a nawet całkowicie przejąć zawodowi żołnierze. Na sześciomiesięczny kurs przewodnika psa Cygan został oddelegowany jeszcze z jednostki, a wraz z jego pozytywnym zakończeniem został zwolniony do cywila z poleceniem: czekać.



Cygan w czapeczce SEAL Team 7

Wrócił do PGR-u, do mamy. Pracy nie było i tak na czekaniu mijał dzień za dniem. Pewnego dnia o czwartej nad ranem zaczął dobijać się do drzwi listonosz z telegramem i już cały PGR wiedział, że Zyguś ma się stawić do zawodowej służby wojskowej w Warszawie. Był to październik 1995 roku. Na śniadanie było co zjeść, ale już na bilet dla syna mama musiała pożyczyć od znajomych. Pięćdziesiąt złotych

uzbierane drobniakami musiało starczyć na pociąg. Starczyło jeszcze na bułkę z parówką, by przeżyć kilka pierwszych dni, ale nie było szaleństwa. Pierwsza wypłata, dodatek mundurowy, trafiła po miesiącu na stół matki.

– Mamo, to wszystko jest dla ciebie – tymi słowami Zyguś pożegnał się z rodzinnym domem, trzymając się postanowienia, że do PGR-u już nie wróci.

Warto być dobrym żołnierzem, pracowitym człowiekiem. Cygana trenującego na bieżni przyuważył szef szkolenia – Diabeł. Cygan bardzo często ćwiczył, biegał – nie dało się tego nie zauważyć, wyróżniał się na tle pozostałych żołnierzy. Diabeł dowiedział się u komendanta ochrony, co to za chłopak, a że opinię miał bardzo pozytywną, to Diabeł zaprosił Cygana i jeszcze kilku dobrych chłopaków na selekcję. Przeszkodą było to, że jako przewodnik radził sobie świetnie, kręcili więc nosem, bo nikt nie chciał pozbywać się takiego żołnierza z komendy ochrony, ale szturm to jednak priorytet. Właśnie tak poznałem Cygana – na selekcji w Bieszczadach w 1998 roku. Był jednym z nielicznych, którzy ukończyli ją bez żadnej wielkiej przygody, choć tak, było ciężko. O tym nie ma co opowiadać, ale są inne, dziwniejsze historie z jego udziałem, które same cisną się na usta.

Na placu Szembeka w Warszawie znajdował się przyjazny bazar, zawsze można tu było znaleźć świeże warzywa, dobrą wędlinę i mięso prosto ze wsi. Panował tu swojski małomiasteczkowy gwar i inny klimat, zupełnie jak nie w stolicy. Właśnie tu po robocie przyjechało trzech wspaniałych: Janek, wysoki na dwa metry, a w barach jak dąb, ale poczciwy, spokojny facet, Cygan o dobre dwadzieścia centymetrów niższy i Roki, taki niepozorny, niższy chłopak, ale ponadprzeciętnie wysportowany. Ekipa trochę dziwnie dobrana, idealne filmowe trio. W trakcie zakupów zostali zaczepieni przez ochronę, że niby ktoś coś, i poproszeni na stróżówkę. Tam padł werdykt, że to oni. Minęła chwila, zbiegło się kilku kolesi z ochrony, a potem już policja. Założono im kajdanki (Jankowi nie bez problemów), po czym oznajmiono, że mają przewalone. Bez

zbytniego gadania zostali zawiezieni na komisariat, nikt nie słuchał tłumaczenia, że tylko kupili szynkę. Ktoś jeszcze ważniejszy zdecydował, że zabierają ich na Grenadierów. „Macie przejebane, napadliście na człowieka” – oznajmił krótko policjant. Że co? Że kiedy? Nie udało im się nawet dowiedzieć, kiedy niby mieli zrobić ten napad.

Na Grenadierów zrobiono ekspresowe okazanie. Do ich trójki dołączyło siedmiu żołnierzy w mundurach, oni zaś stali w cywilach, bez paska w spodniach i sznurówek. Trudno było się pomylić rzekomemu napadniętemu, tym bardziej że chwilę przed okazaniem mógł sobie obejrzyć chłopaków w celi. Janka wskazał jako pierwszego – z pewnością mózg operacji. Potem Roki, do Cygana pan nie był przekonany, zastanawiał się i poprosił więc by ten coś powiedział.

– No dobra, ale co mam powiedzieć? – zapytał Cygan.

– Zamknij ryja.

– No dobra. Zamknij ryja – odparł Cygan.

– O tak, ten też – zapadł werdykt.

Chłopaków przejęła żandarmeria wojskowa i konwojowała ich jak groźnych przestępców pod bronią i w kamizelkach kuloodpornych na ulicę Podchorążych. Na drugi dzień z samego rana przewieziono ich na przesłuchanie do prokuratury. Żaden nie podejrzewał, że mogą ich zamknąć, byli przekonani o swojej niewinności i o tym, że zaszła jakaś dziwna pomyłka. Podczas przesłuchania dowiedzieli się, że są oskarżeni o napad, przedstawiono poszkodowanego, który ich rozpoznał, wskazano miejsce i datę. Prokurator był bardzo pewny siebie... do chwili uszczegółowienia zeznań i daty, bo wszyscy mieli dziwne alibi. Mianowicie w dniu napadu cała trójka znajdowała się 70 mil morskich od wybrzeża Polski, na platformie wiertniczej, biorąc udział w szkoleniu poligonowym. Świadek z kolei twierdził, że w tym dniu owo groźne trio napadło go w Warszawie, widział w nich swoich oprawców. Co więcej, zeznał, że kiedy chłopaki go zaatakowały, miały na sobie wyjściowe mundury, które zostały przywiezione do prokuratury na okazanie.

Prokurator w trakcie przesłuchania trochę zdębiał i zapytał Cygana wprost:

– Co wy tu w ogóle robicie z takim alibi?

Ktoś gdzieś knuł coś grubego. Cała trojka dostała trzymiesięczny areszt tymczasowy. Wykaz z rozkazu wyjazdu, ich pobyt na platformie poparty relacjami kilkudziesięciu świadków był zbyt słabym dowodem, by ich zwolnić. Przypadek...?

W tym czasie w jednostce GROM pruto sejf szefa i starano się udowodniać generałowi Petelickiemu, że nie panuje nad swoimi ludźmi. Chłopaków wypuszczono po dwudziestu ośmiu dniach, rzekomo z braku dowodów. Sami musieli udowodniać przed sądem swą niewinność. To nie były miłe chwile. Doświadczenie to zostało wplecione w cykl szkolenia z zachowania się podczas pojmania i przebywania w niewoli. Po latach Cygan jako nasz „więzienny weteran”, mający doświadczenie w odsiadce, bo poznał to uczucie, gdy dostaje się „mandzur”, współpracował ze strażą więzienną. Chichotem losu było to, że spotkał tych samych funkcjonariuszy, którzy go w tamtym czasie zamykali.

Cygana po prostu nie dało się nie lubić – to człowiek ze złotym sercem, ale miał też gen wojownika. Po kursie podstawowym trafił na wodny oddział bojowy. Brał udział w ofensywie na Irak i działaniach na platformie KAAOT w porcie Umm Kasr. Wrócił do kraju punktualnie na narodziny swojej córeczki. Jego szafka w campie w Iraku wyróżniała się tym, że były do niej przyklejone zdjęcia ciężowego USG żony, a nie gołych lasek, jak w stereotypowym wystroju żołnierskich pokoi. Po powrocie spędził z rodziną trzy miesiące. I naprawdę nie znam takiego twardziela, który by bez żalu rozstawał się z małym dzieckiem i żoną, ale co robić, kiedy ojczyzna tego wymaga? Po kolejnych siedmiu miesiącach wracasz już nie do noworodka, a do córki, do Klaudynki, która stoi w progu i wita tatusia ze stokrotką w rączy. Czasu, choćbyś chciał, nie zatrzymasz a straconych chwil nie odzyskasz. To jest cena naszej pasji, czy wysoka?

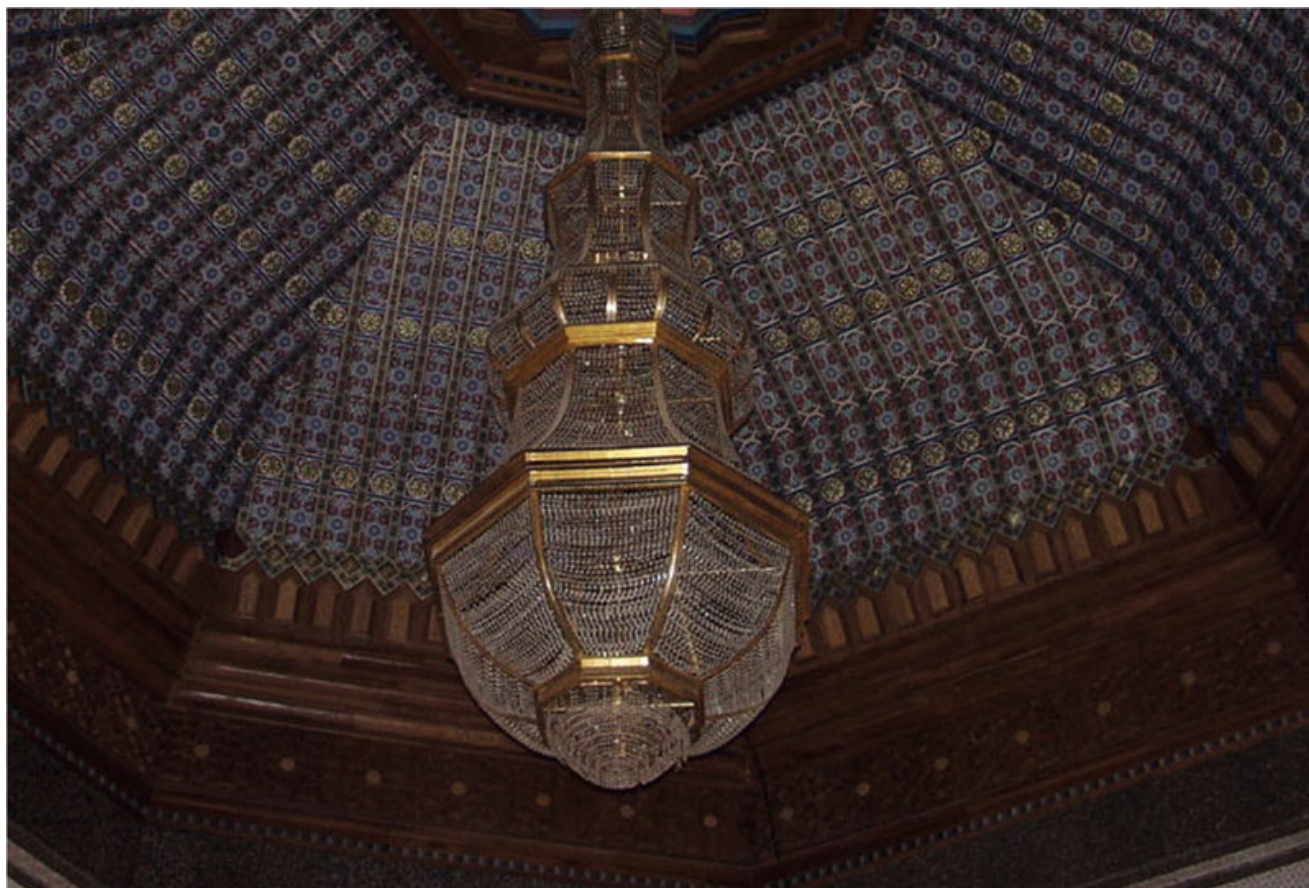
W Iraku nie mieliśmy dużo czasu, aby myśleć o tym, co w domu, jak rosną dzieci i czy żony dają sobie radę, nie, przecież dają... Przed wylotem do Bagdadu do zespołu A, który był odpowiedzialny za wyjazd, dołączono trzech chłopaków z „Wody”. Cygan trafił do sekcji dowodzonej przez Kaśkę. Tak wspomina pierwsze dni w pałacu:

Zaraz po przyjeździe Amerykanie poprosili nas, byśmy pokazali, jakim sprzętem dysponujemy, co nie było w naszym środowisku niczym dziwnym – często inne jednostki prezentowały nam swoje uzbrojenie. Rozłożyliśmy więc wszystko, co mieliśmy, dosłownie wszystko. Przyszli amerykańscy specjale, oglądają sprzęt wyłomowy, drabiny, broń, zerkają, widać, że trochę z zazdrością, na nasze nowe kamizelki taktyczne – już nie mamy się czego wstydzić. Jeden z nich wyłowił wśród uzbrojenia silikonową pochewkę, ogląda ją z zainteresowaniem i pyta: a to do czego? Żuku nie wytrzymał i szczerze mu odpowiedział, że jak to, nie wie, do czego służy sztuczna cipka? Gość dopiero wtedy załapał, co trzyma w ręce. Było sporo śmiechu i deklaracji chęci wypożyczania sprzętu w trakcie pilnej potrzeby.

Pałac Saddama nie został ograbiony z mebli, tak więc komfort mieszkania był wysoki, w pałacowym standardzie, no, brakowało może karocy, ale po jednej z robót i ona się znalazła.

Już od dawna planowano szeroko zakrojoną operację, w której celami mieli być synowie Saddama – Udaj i cztery lata młodszy Kusaj. Kiedy Amerykanie z doborowej 101. Dywizji Powietrznej przypuścili szturm na jedną z wytypowanych willi, my zostaliśmy uziemieni w pałacu z powodu niesamowicie intensywnej burzy piaskowej – świat był w tamtym dniu dosłownie brunatny. Szybko zmieniono decyzję co do naszego przerzutu i w miejsce działań dojechaliśmy na kołach, pędząc HMW przez pustynne tereny. Co chwilę przez łączność radiową były podawane komunikaty o postępach 101., która toczyła zacieklą walkę. Bitwa o kompleks trwała około godziny, akurat tyle, ile potrzebowaliśmy na dotarcie pod obiekt. Przyjechaliśmy w idealnym momencie, by

wejść do kompleksu. 101. zrobiła taką rozpierduchę, że mogliśmy już w zasadzie tylko posprzątać i zabezpieczyć obiekt. Znaleźliśmy też idealne doposażenie naszego pałacu – w garażu stało żółte porsche 911, o dziwo, nawet nie draśnięte, idealnie pasujące do panującej wokoło aury. Niestety kilka kaskaderskich jotek na pobliskim lotnisku musiało nam wystarczyć. Jak to bywa z karetami i bogactwem – są ulotne, a my musimy twardo stąpać po ziemi.



Przepychu Saddamowskiego pałacu nie da się opisać – ten okazały żyrandol mówi sam za siebie



**Jedna z robót chłopaków zakończyła się niesamowitym
znaleziskiem. W domu wskazanym jako była siedziba któregoś
z synów Saddama znaleziono żółte cacko – porsche 911. Niestety
system nie przewidywał możliwości zabrania go do kraju jako
trofeum wojenne – a szkoda. Kolor 911 idealnie zgrał się
z szalejącą w tamtym dniu pustynną burzą**

2.3 – Bisu

Przedmowa w środku książki? A czemu nie? Żeby opowiedzieć wam tę historię, musiałem się nieźle nawalić z moim dowódcą, a jednocześnie dobrym kolegą i niesamowicie połapanym facetem. Jego historia związana z Firmą świetnie pokazuje, że GROM to zupełnie nowa jakość w porównaniu z Ludowym Wojskiem Polskim, gdzie całej masy rzeczy „się nie dało”. W GROM-ie dało się wszystko. Na ile? Ano na tyle, że dzięki Firmie można było naprawdę rozwinąć skrzydła. Chłopak jeszcze nie z Marsa, a z warszawskiej Starówki, choć urodzony w Tarcynie pod Warszawą, swoją wojskową karierę rozpoczął od dwuletniej służby zasadniczej w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju. W GROM-ie przeszedł tak ogromną zmianę mentalną, rozwijając się i kształcąc, że osiągnął sukces, o jakim można usłyszeć nie w Polsce, a w Ameryce, bo tam jest wszystko możliwe. Amerykańscy instruktorzy szkolili nas i mieli na nas ogromny wpływ. To oni zaszczepili nam to motto: wszystko jest możliwe, tylko trzeba cierpliwie, rzetelnie pracować – od pucybuta do milionera, a w naszym przypadku od kanoniera do dowódcy Jednostki Wojskowej GROM.

– Bisu, gdzie jesteś? – brzęczy w słuchawce lekko zdyszany głos dowódcy szturmu.

– Jak to gdzie? Na zewnątrz, trzymam gości na krótko przez okno.

– To zostaw ich komuś innemu i dawaj na piętro, zakładamy tu C2 i trzeba raporty wysłać.

Jak to „komuś”? Przecież nikogo innego nie ma, jestem sam. Obszedłem budynek, nawołuję: „Orzeł, Orzeł”, bez odzewu. Obchodzę z drugiej strony – też nikogo. No dobra, wchodzę do

środku. W przedsionku nikogo. Idę dalej, sam sobie czyszczę przepierzenie drzwi, wchodzę do salonu, a tam nadal stoi tych trzech gości z wysoko uniesionymi rączkami, których jeszcze chwilę temu trzymałem przez okno. Trochę podobni do tych ze zdjęć operacyjnych, ale mocno wystraszeni, wydawałoby się, że nie stanowią żadnego zagrożenia. Nawoływanie „Orzeł, Orzeł” pozostało bez odpowiedzi. „Alfa, tu Bisu... jestem na parterze, w budynku, ale nikogo tu nie ma, gdzie jesteście?”. „Tu Alfa... to ty tam zostałeś? Jesteśmy za płotem, po sąsiedzku, dawaj do nas, bo tu jest nasz obiekt!”. „Alfa, tu Bisu, sprawdziłem koordynaty i to śmigłowiec poleciał na zły budynek, a wy pewnie za nim poszliście, wracajcie”. Alfa był jednak nieprzejednany, zresztą nie było czasu na radiową przepychankę – trzeba było działać, odszukać swoich, żeby przez przypadek nie zostać wziętym w jasyr.

Wojna i operacje bojowe podczas niej to chaos, nad którym my, żołnierze jednostek specjalnych, musimy zapanować. Pierwszym krokiem jest dobry plan. Trzeba jednak pamiętać, że każdy plan jest dobry, wręcz idealny, do momentu wyruszenia z bazy, a poza jej murami trzeba działać tak, jak przeciwnik pozwala, bo nie da się domyślić, jak się zachowa. Nie można też przewidzieć wszystkich możliwych pomyłek i błędów, dlatego trzeba być elastycznym, nie trzymać się sztywno założeń planu; działanie poza nim to tak zwana sytuacja awaryjna i takie też ćwiczymy.

Chwilę temu dwa potężne MH 53 Pave Low z przyziemienia wysadziły po obu stronach ulicy dwa zespoły uderzeniowe, jeden z GROM-u, drugi z 5. Grupy Sił Specjalnych US Army. Śmigłowce wylądowały tak, że po otwarciu tylnej rampy szturmowcy obu zespołów znaleźli się dosłownie na wprost swoich celów, oddaleni około stu metrów od budynków. Celami byli ludzie odpowiedzialni za opłacanie terrorystów, którzy dokonywali zamachów na siły koalicyjne. Znajdowali się w dwóch budynkach usytuowanych naprzeciwko siebie, niczym dwie pieczenie skwierczące na jednym

ogniu. W chwili gdy zespoły dotarły na miejsce, nad dachami pojawiły się dwa śmigłowce MH 60 Seahawk i na każdy budynek nastąpił desant z wykorzystaniem grubej liny. Celem szturm było jak najszybsze opanowanie budynków z dwóch stron ulicy jednocześnie, żeby nie dać ludziom przebywającym w środku czasu na zniszczenie dokumentów znajdujących się w ich posiadaniu i na przygotowanie się do walki. A przede wszystkim, by tamci nie zdążyli wysadzić się w powietrze, bo i taka ewentualność była brana pod uwagę – a gdyby to zrobili, mógłby wraz z nimi zginąć niejeden porządny człowiek. Były to wielkie wille, każda z nich ogrodzona ponadtrzymetrowym murem.

Po wejściu na posesję szturm z rozpędu zdominował parter, ale śmigłowiec, który miał dokonać desantu na obiekt atakowany przez Task Unit Thunder, ominął właściwy budynek i wysadził ekipę o jeden dach za daleko. Dowódca szturm uznał za oczywiste, że to my pomyliliśmy wille. Wśród huku śmigłowcowych łopat, pędu wiatru i kurzu, który podniósł się z ziemi, dowódca rozkazał stawiać drabiny na mur i zaatakować sąsiednią willę, co też szturm wykonał w mgnieniu oka. Mgnienie to było tak szybkie, że zostawiono w rogu posesji dowódcę komórki C2, który ze spokojem trzymał swój sektor. Po zapaleniu światła okazało się, że w pokoju stoi trzech mężczyzn z rękoma uniesionymi do góry. Bisu czekał więc cierpliwie na znak, że może zmienić pozycję lub wejść do środka i nadać komunikaty, ale nie było sygnału – ani klepnięcia w ramię, ani informacji podanej drogą radiową. Bisu jednak cierpliwość miał wyrobioną, przetestowaną jeszcze za Petela. A było to tak.

Bilet do wojska przyszedł zgodnie z terminem – pozostała korespondencja krajowa kulała, ale akurat ten dokument dla tysięcy poborowych Poczta Polska dostarczała zawsze o czasie. Rozkaz brzmiał: w dniu tym i tym stawić się w Centrum Szkolenia Młodszych Specjalistów WOPK w m. Bemowo Piskie, spoczniej. Nie było wielkiego zdziwienia, że właśnie tam. Piotr był świeżo upieczonym technikiem elektronikiem i żadne tłumaczenia na komisji wojskowej nie mogły zmienić podjętej wobec niego decyzji.

Młody karateka, sprawny fizycznie na pięć, prężył pierś i chciał koniecznie wstąpić na ochotnika do Czerwonych Beretów. Jak grochem o ścianę. Technik w wojskach raketowych będzie jak znalazł. Sztuka jest sztuka, nieważne, czego chcesz i do czego masz serce, ważne, jaki rejon, bo rejonizacja, spoczniej, odmaszerować.

Po szkoleniu specjalistycznym z kanoniera awansowano go na bombardiera i rozpoczęła się służba. Najpierw 5. Dywizjon Raketowy Obrony Powietrznej w Słupnie, potem 69. Dywizjon Raketowy w Dębinie. Służba faktycznie okazała się bardzo ciekawa, nawet fali specjalnie nie było, więcej miał dyżurów bojowych niż typowego koszarowego życia... tylko ten sprzęt! W całości nadający się wyłącznie do muzeum. Wszystko działało na lampach elektronowych. Nikt ze starej kadry nawet nie słyszał o układach scalonych, o których młody elektronik uczył się już w technikum. Po wyjściu z wojska, za bramą, jak nakazywał zwyczaj, odrobił 24 pompki, po jednej za każdy miesiąc w mundurze, przyrzekając sobie w międzyczasie, że nigdy więcej z tym, co nazywano potocznie MON-em, nie będzie miał nic wspólnego. Wojsko nie miało nic do zaoferowania; poza wspomnieniami z przepustek był to jałowy czas, bez szans, żeby się czegoś uczyć, jakoś rozwijać.



Bisu – płk Piotr Gąstał, dowódca Jednostki Wojskowej GROM od 28 lipca 2011 do 8 września 2016 roku

W cywilu powitała go szara rzeczywistość: co tu ze sobą zrobić? Ale było jeszcze karate. Wywalczył miejsce w kadrze, trafił pod skrzydła świetnych trenerów. Niebawem pojawiła się możliwość wyjazdu na obóz na Litwie, który zapowiadał się naprawdę świetnie – żał było nie pojechać. Codzienny trening, jak to u karateków, to szlifowanie technik, ale i mocne przygotowanie fizyczne, poparte kondycyjnym, trzeba więc było wybiegać mnóstwo kilometrów, i to w ostrym tempie. Ośrodek otaczały piękne lasy, ale w tamtym czasie nie było w nich bezpiecznie. W pobliżu przebiegała granica litewsko-białoruska, był rok 1991 i dopiero kształtowała się nowa mapa Europy. Dobiegające z oddali strzały raczej nie miały nic wspólnego z polowaniem na grubego zwierza, a dźwięk kałasznikowa był dobrze znany każdemu rezerwiście; tymczasem

w mediach huczało o strzelaninach pomiędzy litewskimi pogranicznikami a kimś tam...

Wieczorem, po kolacji, przyszła pora na pogawędki. Ktoś zażartował, że za płotem mają wojnę. Piotrkowi zebrało się na wspominki z wojska: mentalne zacofanie kadry, sprzęt o wartości muzealnej – słowem nigdy więcej, wystarczy mu na całe życie. Nawet o złych wspomnieniach opowiadał z pasją i zwrócił tym na siebie uwagę ładnej dziewczyny, która podeszła bliżej i półgłosem zaczęła rozmowę: „Wojsko może się kojarzyć całkowicie z czymś innym, nawet fajnym”. Z czymś innym? A niby z czym? Piotrek przez dwa lata nie widział niczego poza starymi lampami w systemie raketowym, wymieniał nawet z kolegami po cichu wątpliwości, czy te ich, a raczej ruskie rakiety mogą w ogóle wystartować.

Dziewczyna zaczęła snuć własną opowieść – im głębsza zapadała noc, tym bardziej jej słowa kojarzyły się Piotrowi z amerykańskim filmem. Może jednak nie kłamała, po co miałyby to robić? Twierdziła zresztą, że takie doświadczenia zdobyła nie w polskim wojsku, tylko w Ameryce, podczas szkolenia z jakąś jednostką specjalną. Latała tam śmigłowcem, szkolono ją, jak w locie strzelać z karabinu do naziemnych celów, a potem z tego samego śmigłowca zjeżdżała na linie; dostała najnowocześniejszą broń i świetnie dopasowane ciuchy. Uczono operacyjnego prowadzenia pojazdów; spędziła mnóstwo godzin na strzelnicy i nikt nie liczył amunicji. Strzelała z obrotu, w ruchu, zza zasłon i robiła mnóstwo innych dziwnych rzeczy. Opowiadała, takie rzeczy, że chłopak, choć po wojsku, nie miał zielonego pojęcia, o czym ona właściwie mówi: że co? Że jak? Niemożliwe. I to jeszcze my, Polacy, tam, w Ameryce, z Amerykanami? Akurat... Postukał się na dobranoc w czoło, ale ta opowieść zrobiła na nim duże wrażenie.

Tej nocy ciężko mu było zasnąć, i to wcale nie tylko z powodu dobiegającego z lasu echa wystrzałów z kałasznikowa. Pytanie, czy w relacji dziewczyny mogło tkwić ziarno prawdy, nurtowało go nadal po powrocie do Polski, i to do tego stopnia, że w końcu

opowiedział całą historię swojemu trenerowi. Był nim sam Leszek Drewniak, dyplomowany trener karate i judo, który właśnie w tamtym czasie uczestniczył w tworzeniu GROM-u (Grupy Reagowania Operacyjno-Manewrowego), o czym jednak Piotr nie wiedział. Drewniak zapytał go wprost: „Znasz angielski, jesteś po zasadniczej służbie wojskowej, w rezerwie, czy chcesz dołączyć do takiej tworzonej całkowicie od zera jednostki?”. Diabeł nie zdradzał za wiele: skoki spadochronowe, dużo strzelania, walka wręcz... Dla Piotra był ogromnym autorytetem – jak mu nie zaufać? Propozycja brzmiała naprawdę kusząco. Diabeł umówił go z – wówczas jeszcze pułkownikiem – Petelickim i dał tylko jedno przykazanie: „Musisz bardzo chcieć i nigdy się nie poddawać”. O co mu chodziło z tym chceniem?

Wyznaczono mu termin, więc Piotr, w wyglansowanych butach i nowym garniturze, kupionym na Stadionie Dziesięciolecia, udał się na rozmowę o pracę. Spotkanie miało się odbyć bardzo wcześnie rano w jednostce wojskowej przy ulicy Podchorążych. W budynku wskazano Piotrowi krzesło na korytarzu, prosząc, by zaczekał. Czekał więc. Minęła godzina. Wstał, żeby rozprostować nogi i upewnić się, czy czasem o nim nie zapomniano. Nie, nie zapomniano – ma czekać, ale jeśli nie chce, może sobie pójść. Nie no, poczeka. Minęła druga godzina, trzecia, piąta... nawet jakoś szybko to zleciało. „Panie Piotrze”, dobiegł go miły głos z sekretariatu, „jednak dziś szef już pana nie zdąży przyjąć, proszę przyjść jutro tak samo wcześnie rano”.

Następnego dnia Piotr przyszedł znowu. Nikt z nas nie żyje w próżni, każdy ma jakąś pracę, obowiązki; trzeba się zwolnić u szefa, przełożyć inne spotkania. Tak właśnie człowiek zaczyna poświęcać się dla jednej sprawy – rezygnując z innych rzeczy; czasami trzeba wręcz się komuś narazić, żeby zrealizować swój cel, a może nawet kiedyś osiągnąć dzięki temu posunięciu sukces; ale przecież w momencie, gdy zaczynamy się starać, tego nie wiemy. Wtedy wydaje nam się, że wszystko idzie jak po grudzie. W trakcie walki los często bywa niełaskawy, ale ciężki trening i życiowe

doświadczenie mogą nas dobrze do niej przygotować. Dopiero po fakcie jest czas na ocenę, czy było warto; no, ale nam się zwykle spieszy.

Tego wszystkiego kapral, specjalista broni raketowej, odgniatając sobie siedzenie na twardym krześle, nie mógł wiedzieć. Przesiedział na nim cały kolejny dzień. Trzeciego dnia – już tylko trzy godziny. Czwartego przyniósł ze sobą kanapki, wodę i cierpliwie czekał dalej. W głowie rozbrzmiewała mu wskazówka od Diabła: „Musisz bardzo chcieć”. A chciał, więc czekał, nie zniechęcając się. Takie czekanie to dobra okazja, żeby się zmierzyć z samym sobą, nauka pokory i cierpliwości, nawet jeśli wypełniona też złością na cały świat. „Co ja tu robię? Po co mi to wszystko?” – targa człowiekiem wściekłość na system, na ludzi, na samego siebie, bo jednak nadal siedzi na tym pieprzonym krześle, zadając sobie pytanie, jak długo jeszcze.

W piątek, po kolejnych kilku godzinach, otworzyły się drzwi gabinetu; z odrętwienia wyrwały Piotra słowa: „Pan pułkownik na pana czeka, proszę wejść”. W tym dniu otworzyły się dla niego nie tylko drzwi do gabinetu pułkownika Petelickiego, ale też szansa na zupełnie inne, nowe życie, nową jakość: na GROM. W tym czasie Petelicki miał już prawie skompletowaną pierwszą ekipę żołnierzy na szkolenie z Amerykanami; szukał już tylko chłopaków dobrze mówiących po angielsku. Przepytał więc dwudziestotrzyletniego kaprała: skąd jest, z jakiego domu i rodziny, czym się do tej pory zajmował, kogo zna, co wie i jak sobie radzi z angielskim. No i najważniejsze: czy chce. Od tego dnia życie nabrało tempa – i nie wiadomo kiedy minęło dwadzieścia pięć lat...

Ale wróćmy do naszego bohatera, pozostawionego samemu sobie na parterze willi gdzieś w Iraku. Bisu sprawdzał koordynaty pozycji zaraz po wylądowaniu: wszystko się zgadzało. I potem jeszcze raz, już przed samą bramą, kiedy szturm udrażniał punkt wejścia. Teraz znów patrzy na mapę – według niego wszystko gra, jest tu, gdzie powinien być, więc to pewnie pilot śmigłowca pomylił dach. Tymczasem robota trwa i nie ma czasu na przepychanki, trzeba słuchać się dowódcy, potem będzie czas na omówienie tego pasztetu.

Za pomocą kilku arabskich słów, pomagając sobie gestami, zawiadomił trzymanych na muszce jeńców, że skoczy tylko do budynku obok po resztę paki i zaraz wraca, więc niech się stąd nigdzie przypadkiem nie ruszają, OK? „OK, OK”.

Wyjście na zewnątrz w takiej chwili nie jest proste: cała ulica trzymana jest przydzielonymi sektorami odpowiedzialności, a na wojnie najpierw się strzela, potem pyta, gdy więc ktoś pojawia się nie wiadomo skąd, i to z bronią w ręku, to można dostać w łeb bez pytania – w końcu w nocy wszystkie koty są czarne. „Eagle, Eagle”, woła; nikt nie odpowiada, ale Piotr – wiadomo, człowiek nader cierpliwy – nie wychyla się, tylko woła jeszcze głośniej: „Eagle, Eagle”, dając jednocześnie znaki światłem, że idzie swój. Tym razem doczekał się odpowiedzi, nie trzeba było czekać pięciu godzin. Wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie, ale zanim zdążył się odezwać, zaczęły się pretensje, że się zawieruszył w wojennej zadymie... Wreszcie dano mu dojść do słowa, nakreślił sytuację, z której bezsprzecznie wynikało, że to pilot śmigłowca dokonał desantu o jeden dach za daleko, tymczasem cel znajduje się za płotem i trzeba tam wrócić – może zatrzymani jednak jeszcze czekają. Padła komenda: „W tył, na lewo”, i krok po kroku, pomieszczenie po pomieszczeniu, zespół wrócił, by opanować znów tę samą willę co na początku. Tym razem była to już jednak sucha dziura – przez otwarte drzwi i okna hulał tylko wicher; zatrzymani wcześniej domownicy ulotnili się. Tak to już jest, że często przypadek rozdaje karty ludzkiego żywota.

Po wielkiej życiowej wolcie w 1991 roku kariera Piotra potoczyła się iście ekspresowo. Pierwszym jego zadaniem było pomagać tym, którzy byli już po selekcji, a teraz szkolili ich amerykańscy instruktorzy. W tamtym czasie zasób angielskich słów przeciętnego Polaka ograniczał się do słów „OK”, „coca-cola” i „marlboro”, za to wszyscy obowiązkowo znaleźmy piosenkę *Пусть всегда будем солнце* i bez lektora śmialiśmy się z bajki *Wilk i zając*: „Nu, pagadi!”. Młody, sprawny chłopak z dobrym angielskim był cennym nabytkiem – tłumaczył więc kolegom zawilgoci taktyki. Jak podejść

pod drzwi i dlaczego ważne jest, by stanąć przy futrynie tą nogą, a nie tamtą, co z sektorami i po co tak, na co to, a przecież można by inaczej...

Amerykańscy instruktorzy tłumaczyli wszystko cierpliwie, godzinami i po wielekroć w koło Macieju – cierpliwość w tej robocie jest na wagę złota. Petel chciał, żeby w jednostce wszyscy byli wyszkoleni, Piotr nie tylko więc tłumaczył, ale i sam brał udział w treningu, jak inni tłumacze (i tłumaczki, bo spotkał tu koleżankę z obozu karate; jednak nie kłamała w swoich opowieściach!). I tak nastąpił ciąg szkoleń w kraju i zagranicą: Delta Force, SAS, SBS, 10th Special Forces Group, Kompania Charlie... i jeszcze raz.



Mitsubishi pajero jako nasz odkryty wóz bojowy

Wreszcie przyszedł czas i na to, na co zawsze się czeka najbardziej, bo nie trening, ale prawdziwe współdziałanie świadczy

o wartości bojowej jednostki. Współpraca z 10th Special Forces Group rozpoczęła się w 1994 roku na Haiti. Wspólne treningi i poligony nie poszły na marne: polscy żołnierze okazali się pilnymi uczniami, którzy dobrze odrobili pracę domową. Na Haiti, w bardzo nieprzyjaznym regionie, nie odbiegali taktycznie ani proceduralnie od standardów sił specjalnych armii Stanów Zjednoczonych. GROM bardzo łatwo wszedł do współdziałania, mając te same procedury, ten sam model planowania operacji i taktykę. Chichot historii sprawił, że pierwsze bojowe współdziałanie z 10. Grupą, dedykowaną do walki na obszarze Europy, odbyło się podczas zimnej wojny. Współpraca przyniosła obu stronom wiele zaskoczeń – część chłopaków z Zielonych Beretów znała sporo polskich słów, a niektórzy nawet mówili całymi zdaniami; zaledwie kilka lat wcześniej uczyli się naszego języka, by w razie wojny móc łatwiej operować w naszym kraju... a teraz, proszę, sojusznicy. Co więcej, na pewno nie przypuszczali, że kiedyś otrzymają za wspólne działanie wysokie odznaczenia Rzeczypospolitej Polskiej.



Mocna ekipa – na tyle mocna, że Mi-17 legł u stóp

Haiti się skończyło, ale o naszej jednostce Amerykanie już nie zapomnieli; zbyt dużą wartość stanowiła dla nowego sojusznika jakość osiągnięta w GROM-ie. Tacy żołnierze jak Piotrek mają za sobą imponujący szlak bojowy, obejmujący niemal wszystkie kraje, w których na przestrzeni lat stawiał stopę żołnierz GROM-u: od Haiti, poprzez Jugosławię, Kosowo, aż po Irak, najważniejszy w bojowej karierze, ponieważ tam panowały już warunki stricte wojenne. Oczywiście, tamte wcześniejsze operacje również były ogromnie istotne, bo dzięki nim jednostka nabierała doświadczenia, ale to właśnie tu, w Iraku, nie pozostawała w tyle za innymi jednostkami specjalnymi – ba, była właśnie tą, z którą inne chciały pracować. Była to współpraca owocna dla obu stron. Kto dziś nie słyszał o bitwie w Mogadiszu – jednej z najważniejszych znanych operacji miejskich podczas wojny domowej w Somalii w 1993 roku?

Operatorzy Delta Force i ich wsparcie w postaci 160th SOAR (Special Operations Aviation Regiment) ćwiczili później i na naszych poligonach razem z GROM-em to, co przerabiali kiedyś w Somalii. Nasze obiekty nadawały się do takich rajdów. Operacje miejskie tego typu należą do najtrudniejszych, a działać trzeba i na innych frontach. Rozwożenie koców miejscowej ludności, udzielanie pomocy medycznej potrzebującym, jak i inne, zdawałoby się błahę sprawę rozwijają w człowieku cierpliwość niezbędną podczas operacji o kryptonimie „0”. Cierpliwość cechowała Piotra od samego początku – i to pewnie dzięki niej przeszedł cały szlak bojowy, od pucybuta do szefa, by w końcu w 2011 roku zostać dowódcą Jednostki Wojskowej GROM.



Bisu w towarzystwie jeszcze wtedy pułkownika Michaela Repassa, który swoją karierę wojskową rozpoczął na Akademii Wojskowej w West Point. Następnie przepracował ponad 30 lat jako oficer sił specjalnych. Dowodził na każdym poziomie, od kapitana do generała dywizji. Był dowódcą 5th i 10th Special Forces Group oraz dowodził batalionem w 1. Grupie Sił Specjalnych w Japonii. Pełnił funkcję dowódcy sił specjalnych US Army Special Forces Command. Tu, w Iraku, był przez dwie zmiany dowódcą 10. Grupy Sił Specjalnych, w której skład wchodził Połączony Zadaniowy Zespół Bojowy Sił Specjalnych (CJSOTF) – Półwysep Arabski

3

**NIE TYLKO CHŁOPAKI Z MARSJA –
DZIEWCZYNINY TEŻ**

Kompleksowe przygotowanie GROM-u do operacji w Iraku potwierdziły kolejne wspólne działania. GROM miał jeszcze dodatkowy atut. O Navy SEALs krążyło wiele legend, kręcono filmy – choćby ten o G.I. Jane, którą zagrała Demi Moore. Nie wiem, czemu SEALsi nie chcieli z nami oglądać filmu o dzielnej dziewczynie, która na równi z nimi przechodzi ich morderczy trening. I jak przyszło co do czego, to od nas musieli „pożyczać” do roboty G.I. Jane – i to nie filmową, a prawdziwą, cholernie skuteczną.

Tworząc GROM, pan pułkownik Petelicki nie rezygnował z kobiet – już na starcie towarzyszyły mu one w mundurach. Co prawda na początku nie miały zadań bojowych, ale zawsze były i pułkownik nakazywał im się szkolić. Te, którym takie zadania przypadły, przyszły do Firmy w 1999 roku. Ewolucja GROM-u i to, jaki Petel miał pomysł na Firmę, potwierdza, że był wizjonerem, który idealnie przewidywał potrzeby kadrowe przyszłych konfliktów zbrojnych. W 1999 roku, gdy sześć dziewczyn weszło w towarzystwie komendanta kursu do świetlicy naszego koszarowego budynku przy Podchorążych, powitały je pomruki oznaczające głównie: „Co wy tu, kurwa, robicie bez ukończonej selekcji?”.

Nikt wtedy nie myślał, że za parę lat te dziewczyny staną się doskonałymi żołnierzami do wykonywania zadań zgodnych z powiedzeniem „gdzie diabeł nie może, tam babę pośle” – no, może nie do końca, ale były dedykowane do takich akcji, których my byśmy nie zrobili. Do każdej pięcioosobowej sekcji została przyłączona jedna z dziewczyn, „ta szósta”, i tak rozpoczęło się wspólne szkolenie. Z naszego męskiego punktu widzenia nie miało ono zbytnio sensu, bo były słabsze fizycznie i tak dalej. Wtedy jeszcze nie dorośliśmy do współdziałania z kobietami na naszym

męskim podwórku. Petel myślał inaczej – otwierał drogę do zawodowej kariery wojskowej ślusarzom, rolnikom, architektom, policjantom... i kobietom też.

Ja widzę to dzisiaj tak: gdyby GROM składał się z samych żołnierzy wyuczonych na wojskowych uczelniach, to oni wszyscy mieliby ten sam obraz rzeczywistości. To samo wykształcenie, to samo środowisko daje w zasadzie ten sam punkt widzenia. Zgodnie z tym, czego zostali nauczeni, widzieliby tylko jedno słuszne rozwiązanie, nikt nie wychodziłby przed szereg. Petel, jako oficer wywiadu, wiedział jednak, że chcąc być skutecznym i zwyciężać, trzeba działać niekonwencjonalnie i patrzeć szerzej – a żeby to się mogło udać, potrzebował ludzi z różnych środowisk. Dawał więc szansę na szkolenie każdemu, nie patrząc na jego wyuczony zawód. Zgodnie z tą logiką, do tej roboty nadaje się każdy o ponadprzeciętnych cechach, niezależnie od wzrostu, profesji i wykształcenia. Taki dobór kadry w Firmie zdecydowanie zmienił sposób patrzenia na pewne zagadnienia. Wyszliśmy z tunelu; nasza perspektywa rozszerzyła się do 180 stopni. Jednak podczas niekonwencjonalnych zadań, do których byliśmy szkoleni, trzeba patrzeć jeszcze szerzej. Jak szeroko? Rozwiązanie okazało się bardzo proste: wystarczyło zatrudnić i przeszkolić kobiety, by osiągnąć widzenie w zakresie 360 stopni, ale w tamtym czasie wiedział o tym zapewne tylko pan generał.

Dziewczyny nie miały z nami łatwo – nie było dla nich taryfy ulgowej. One jednak tego nie oczekiwały i tylko wtedy, kiedy naprawdę już nie dawały rady, brało się je za dupsko i podsadzało na parapet. Nie da się przeskoczyć warunków fizycznych – sport ma to do siebie, że w dyscyplinach jest podział na kategorie męskie i żeńskie, biologii czy fizyki też nie oszukasz. Żadna z pań nie będzie się mierzyć na dystansie 100 metrów z Usainem Boltem czy w klatce MMA z Mamedem Khalidovem, ale te o ponadprzeciętnej sile z przeciętnymi facetami mają już wszelkie szanse. Natomiast, jak pisałem, działania specjalne mają to do siebie, że poza siłą potrzebne są: spryt, myślenie, intuicja, profesjonalizm – i tego już

dziewczynom nie można było odmówić. Zresztą, wracając do sportu, były wśród nich wręcz wybitnie zawodniczki z osiągnięciami na szczeblu europejskim, a nawet światowym. Wicemistrzyni Europy w zapasach w stylu wolnym niejednego samca alfa przydusiła do piaszczystego podłoża podczas siłowych przepychanek na plaży półwyspu Westerplatte.



Gdzie diabeł nie może, tam...

Jest też coś takiego jak typowo męski i typowo kobiecy punkt widzenia. Więc w tym naszym męskim, zamkniętym do tej pory świecie wojowników do jeszcze lepszego i skuteczniejszego działania niezbędny okazał się pierwiastek kobiecy. Pan generał przewidział to już w 1999 roku, zatrudniając i dając szansę szkolenia się na równi z nami „tej szóstej” w sekcji.

3.1 – Szósta w sekcji

Diabeł miał rękę do ludzi – niejedna osoba prowadzona przez tego wybitnego trenera, a potem szefa szkolenia w GROM-ie okazała się bardzo dobrym zawodnikiem, a potem żołnierzem. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ekipa rekrutująca, na czele z Diabłem, szefem pionu szkolenia, uderzyła do Centrum Szkolenia Policji w Legionowie. Zbiegło się to w czasie z zakończeniem w CSP pierwszego półrocznego kursu podstawowego dedykowanego kobietom. Panie dostały tego dnia dyplomy i awanse do stopnia starszego posterunkowego – a raczej starszej posterunkowej (wiecie, poprawność polityczna).

Kate to śliczna dziewczyna o kruczoczarnych włosach. To jednak nie miało żadnego znaczenia dla jej zawodowej drogi, która – tu was pewnie nie zaskoczę – nie była usłana różami. Po uzyskaniu tytułu magistra na Wydziale Wychowania Fizycznego w Gdańsku nie czuła bluesa ani powołania do zawodu nauczyciela, nie zamierzała uganiać się za dziećmi na boisku szkolnym. Zdecydowała się więc na drugi kierunek, politologię, a dokładnie – międzynarodowe stosunki polityczne i gospodarcze. Kate uznała to za bardziej interesujące – a przynajmniej w tamtej chwili tak jej się wydawało. Jednak dusza rwała się do innych celów, szukała więc powołania dalej. Nowy kierunek rzuciła na drugim roku – przesiadywanie w ławce podczas zajęć z dyplomacji przestało ją bawić. Co robić, jak odnaleźć w życiu cel i sens? A może zostać policjantką?

W kadrach na komisariacie potraktowali ją szorstko: dowiedziała się, że kobiet nie potrzebowali, nie potrzebują i potrzebować nie będą, a takich wygadanych, z wyższym wykształceniem, to już

kategorycznie nie. Kate jednak, na przekór systemowi, tak się zaparła, że nie popuściła przez wiele miesięcy. Chodziła na komendę co miesiąc, za każdym razem gadała z kimś innym, ale wciąż słyszała to samo: „nie, bo nie”, „nie” i „nie”... aż wreszcie padło „tak”. Rozpoczął się właśnie nabór dla stu kobiet, które miano przeszkolić na policjantki w CSP w Legionowie.

Dziewczyny zakwaterowano w tak zwanym Wersalu i rozpoczął się policyjny kurs marzeń. Nie był dla niej łatwy – nie ze względu na wygórowane wymagania, ale na panującą na kursie mentalność. Nagle wpadła w towarzystwo, któremu się nie chce. Okazało się, że większość kursantek jest tu raczej z nadania niż z chęci, o pasji już nie ma nawet co wspominać. I to włącznie z sugestiami, żeby nie zdawała wuefu, bo zawyża poziom: jak wszystkie obleją, to przecież ich nie wywalą, jak nie zaliczy więc razem z nimi, to i tak zda. Dla niej to rozumowanie było nie do przyjęcia. Zdały wszystkie. Po całym cyrku z mianowaniem, po wzniosłych przemowach o nadziei, jaką pokłada w nich państwo jako przyszłych stróżach prawa, wziął ją na stronę instruktor taktyk i technik interwencji: „Są tu panowie, którzy szukają sprawnych dziewczyn z charakterem. Jest was tu setka, ale ja mogę z czystym sumieniem polecić tylko ciebie”. Kate nawet się nie zastanawiała.

Przeszli do gabinetu, gdzie czekali już na nią „łowcy głów”, czyli Diabeł i Majka. Mieli w sobie jakąś siłę przyciągania – rozmawiali z nią normalnie, jak równy z równym. W niczym nie przypominało to dobrze jej już znanego policyjnego stylu. Zadawali pytania o cele w życiu, o marzenia, pasje i zainteresowania, ewentualną chęć założenia rodziny. Odpowiedź znaleźli w jej oczach, które momentalnie się zaiskrzyły. Nie planowała zostać mamą. „Marzenia i pasje zrealizuję tam, gdzie mnie zabierzecie, wchodzę w to!” – oznajmiła. Sprawdzian fizyczny, na którym już nie trzeba było udawać, że się nie potrafi, zdawała w grupie innych zaproszonych do jednostki dziewczyn. Zdała, mogła więc zostać tą szóstą i szkolić się w Firmie. Aż przyszedł czas na zweryfikowanie tego wyszkolenia.

Ze względu na niestabilną sytuację taktyczną w Mosulu, drugim po stolicy największym mieście w Iraku, oddalonym od Bagdadu około 350 kilometrów na północny zachód, wysłano tam Team Navy SEALs z Drago i Chrisem Kyle'em na czele. Z GROM-u jako pierwsza do Mosulu została wysłana „mocna” ekipa rekonesansowa w postaci logistyka, łącznościowca i właśnie Kate. Wiecie, baba z wozu, koniom lżej, tak na początku myśleliśmy o dziewczynach: skoro już były, to trzeba było je jakoś zagospodarować, a do przygotowania miejsca dla głównych sił dziewczyna się na pewno jakoś przyda. W odróżnieniu do amerykańskiej armii, my dopiero raczkowaliśmy, jeśli chodzi o sposób postrzegania w wojsku kobiet. Za to żal było się rozstawać z Jarkiem, który jako łącznościowiec o falach radiowych i ich propagacji w naszym irackim środowisku wiedział wszystko. No, prawie wszystko. Jakoś tak się zresztą w wojsku utarło – i wiele razy się to zresztą potwierdziło – że jeżeli coś nie działa, to właśnie łączność, choć zawsze podczas sprawdzania była na pięć. Najzabawniejsze było to, że jeśli komuś na robocie siadło radio, to zazwyczaj było to radio dowódcy, a winny był nikt inny, jak tylko łącznościowiec. I już nie pamiętam, czy Jarek jechał do Mosulu za karę, czy w nagrodę. Ale łączność z Mosulem była zawsze na pięć.

Wracając do kobiecego wątku... Ostatnie takie prawdziwe żołnierki oglądało się w filmie *Rzeczpospolita babska*, no i miło patrzyło się na Lidkę i Marusię, jak zalotnie wojowały z czterema pancernymi i głaskały Szarika. A w rzeczywistości nasze polskie bohaterki miały za sobą chlubny szlak bojowy. Niech ktoś ujmie zasług legendarnej Kamie, która podczas II wojny światowej, po przejściu z Szarych Szeregów do oddziału specjalnego Kedywu Komendy Głównej AK, wzięła udział w likwidacji (1 października 1943 roku) SS-Rottenführera Ernsta Weffelsa, komendanta oddziału kobiecego Pawiaka, a potem czynnie uczestniczyła w rozpoznaniu i bezpośrednich akcjach, w tym tej najsłynniejszej, likwidującej kata stolicy Franza Kutscherę. Za to właśnie należy się prawdziwy szacunek pani Marii Stypułkowskiej-Chojeckiej ps. Kama i całemu pokoleniu odważnych dziewczyn walczących podczas II wojny

światowej. Ludowe Wojsko Polskie potrzebowało kobiet tylko jako pielęgniarek, lekarzy weterynarii i asystentek generałów w mundurze; nie wgłębiałem się, czy przez lata kobiety pełniły jakieś inne funkcje, jeśli tak, to warto i o nich napisać książkę.



„Łączność na pięć” – do tego zawsze dążył Jarek. Bez odpowiedniego wsparcia naszych łącznościowców, logistyków, medyków nasze działania byłoby niemożliwe. Jarek niestety zmarł kilka lat po odejściu na emeryturę

Kto by pomyślał, że przyjdzie czas, kiedy laska z kruczoczarnymi włosami związanymi w kucyk będzie pędzić HMW przez ulice Mosulu czy Bagdadu, obsługując 240-stkę. To naprawdę był niecodzienny widok. Za to w US Army stałe spotykało się kobiety, i to na przeróżnych stanowiskach. Wykonywały robotę na równi z facetami – tak, wiem, nie było ich może w *special forces*, ale

poczekajcie. Kate wraz z dwoma chłopakami trafiła do Mosulu miesiąc przed przyjazdem głównej ekipy. Ten zespół zastąpił nas w grudniu, a że w Mosulu nastąpiły bardzo niebezpieczne czasy, to ich już zmiana nie trafiła do pałacu, za to wysłano ich na północ.

Zgodnie z morską tradycją – bo Navy SEALs to marynarze – kobiety przynosiły pecha, ponieważ rozpraszały załogę, a to powodowało gniew morza, które mściło się, zsyłając zdradliwe warunki. Nie były więc zbyt miło widziane w typowo męskich rolach, a nawet na pokładzie. Dziewczyny w łączności, transporcie, serwujące kawę, herbatę – to ja rozumiem, wszystko OK, ale z bronią w ręku? Eeee, to nie film, nawet ten amerykański. Po dojeździe całej ekipy, w której była kolejna kobieta, zadania z czasem się skryształizowały. Panie miały niewiele do roboty – służba operacyjna w centrum dowodzenia, *night watch* i uczestnictwo w regularnym szkoleniu. Na początku jeszcze zdarzało się, że były angażowane jako obserwatorki snajperów albo do obsługi granatnika, gdy już brakło męskiej ręki, ale szau w robocie dla ambitnych dziewczyn nie było. Nadszedł jednak taki dzień, dla którego warto być cierpliwym, pracować nad sobą i czekać.

Lakoniczny rozkaz nakazywał Kate natychmiastowy powrót do Bagdadu – tyle pieśni, wykonać. W Camp Pozzi czekano na nią z niecierpliwością, ale i trochę z niedowierzaniem. GROM w swoim szeregu miał dziewczyny, które przeszły szkolenie podstawowe, znały zasady taktycznego poruszania się; co więcej, nie trzeba ich było niańczyć podczas operacji, a w chwili zagrożenia potrafiły zadbać nie tylko o siebie, ale też wspomóc działanie zespołu.

Sytuacja operacyjna przedstawiała się następująco. W zielonej strefie pracowała sobie taka niepozorna pani – pracowała tam jeszcze za czasów Saddama, świetnie знаła język angielski, potrafiła się płynnie poruszać w wojskowym i dyplomatycznym środowisku, ogólnie mówiąc, bardzo pracowita kobieta. Wydawałoby się, że to idealna osoba do współpracy na linii nowo powstający rząd – wojska

koalicji. Obyta ze starym reżimem, wie, co w trawie piszczy, przydatna i tu, i tam, ale... No właśnie, ale.



Kate podczas przejazdu HMW w roli bocznego strzelca karabinu maszynowego M240

Z czasem zaczęło wyciekać zbyt wiele spraw, informacji... i to ważnych informacji. Co więcej, przeprowadzono już kilkanaście egzekucji, w których ginęły osoby współpracujące z wojskami koalicji. Pani stała się bardzo istotna i dla służb; zaczęła być obserwowana, podsłuchiwana, i znowu ale... Służby radziły sobie świetnie do momentu, gdy gra toczyła się w granicach świata mężczyzn – wiadomo, jak to jest w muzułmańskiej kulturze. Nie wiedzieli więc, co działo się za zasłoną dzielącą je od mężczyzn. Amerykanie nie mogli pozwolić wtyczce działać zbyt długo, ale też chcieli dotrzeć do źródła – dowiedzieć się, komu i jak pani

przekazuje niejawne informacje. Słowem, nasi sojusznicy potrzebowali kobiety, która dotarłaby tam, gdzie mężczyzna nie może – ale takiej żołnierki u siebie nie mieli. Kate doczekała się swojego Świętego Graala. Została ubrana w idealnie dobrane ciuchy, w przeciwieństwie do naszych, polskich, niewymagające przeróbki. Dostała sprzęt specjalistyczny, też doskonale dopasowany do potrzeb zadania. Amerykanie otoczyli ją niesamowitą opieką, nie tylko sprzętową, ale i mentalną; podczas tej operacji była dla nich równorzędnym partnerem. Za panią chodzono już od dawna, angażując mnóstwo osób i środków. Dużym zagrożeniem dla powodzenia operacji była świadomość, że druga strona czuwa nad bezpieczeństwem swojej bardzo cennej wtyczki, a w przypadku wykrycia czy choćby podejrzenia, że jest obserwowana, nie zawahają się sami jej zlikwidować.

Kate z łatwością weszła w sytuację – nigdy nie mogła zbyt blisko zbliżyć się do wtyczki, ale, ubrana w tradycyjny iracki strój, była w pobliżu. Ta gra w kotka i myszkę trwała około tygodnia. Krytyczny moment nastąpił w chwili stuprocentowego potwierdzenia kontaktu pani z bardzo niebezpiecznymi ludźmi, gdy zarazem groźba wykrycia jej obserwatorów stała się bardzo realna. Kate dostała rozkaz natychmiastowego zatrzymania kobiety z przyzwoleniem na użycie siły w razie potrzeby, co też błyskawicznie wykonała, i to tak stanowczo, że zatrzymana, przyciśnięta do ściany, na moment zemdląca. To akurat wyszło na dobre całej operacji, bo bez zbędnego zamieszania przeniesiono ją do samochodu i natychmiast ruszyli w szaleńczym tempie w stronę bazy. W tym samym czasie inna ekipa zawinęła w podobny sposób podejrzanego typu. Jak tu jechać, któredy gnać, jeśli się nie wie, czy któryś z zaparkowanych w wąskiej uliczce samochodów nie jest śmiertelną pułapką? Autobus, taki bez szyb, wyjechał właśnie z głównej ulicy i stanął w poprzek drogi i tylko refleks kierowcy pozwolił mu uniknąć zderzenia z tym gratem. Ludzie zaczęli jakoś dziwnie zniknąć z chodników, kierowca zaryzykował więc i wjechał na trawnik, a z niego na drogę pod prąd, prosto pod pędzące z przeciwka auta,

a następnie na właściwą już drogę, prowadzącą do bramy wjazdowej bazy. Zaraz wytoczyło się na nią wielu zaalarmowanych żołnierzy Marine Corps, należących do QRF całej operacji, którzy zrobili czysty przejazd pędzącej osobowej pancerce. Można się konkretnie spocić podczas takiej jazdy, nawet jeśli działa klima.

Po robocie Kate wyglądała jak miss mokrego podkoszulka, ale nikt nie zachwycał się jej urodą, tylko podziwiano jej profesjonalizm. Kate „oddano” nam po jakimś tygodniu; jedynie jej zaczerwienione z niewyspania oczy świadczyły o tym, że ostatnie dni spędziła raczej na świeżym powietrzu niż jako sekretarka w centrum operacyjnym. Nikt nie pytał, gdzie była i co robiła, bo to przecież baba, co ona tam może, my mieliśmy w tym czasie własne roboty. Zdziwiło nas tylko to, że nagle Amerykanie zmienili swój stosunek do naszych dziewczyn i zaczęli odnosić się do nich z szacunkiem. Nam zajęło to trochę więcej czasu... ale dziś już nikt nie zarzuci im braku umiejętności i wiedzy, a przede wszystkim nikt nie powie, że kobiety nie przydają się na wojnie. Generał Petelicki w 1999 roku wiedział, co robi, a od czasów Iraku rzadko ktoś wątpi w słuszność jego wizji.

Wracając jeszcze na chwilę do marynarskiego przysłowia, to ma ono drugą część, mówiącą o tym, że kobiety miały moc uspokajania morza... ale jak, to już sprawdźcie sobie sami.

3.2 – Mosul D-REAR

W Mosulu chłopaki nie miały lekkiej roboty – praktycznie co noc, podobnie jak i w naszej bazie, ogłaszano zaciemnienie – cholera, jakby to wojna była. Taka prewencja, by nie ułatwiać celowania przeciwnikowi w zamieszkane obiekty podczas ataków raketowych, które teraz zdarzały się tu w zasadzie każdej nocy. Położenie bazy przy samym lotnisku, jej wielkość i bliskość rzeki Tygrys – wszystko to utrudniało jej zabezpieczenie, a zza rzeki można było strzelać bezkarnie, i to nie tylko raketami, ale i z moździerzy. Obecna baza była wcześniej lotniskiem wojskowym, strategicznym obiektem irackich sił powietrznych, nosiła nawet szumną nazwę „Super-Base”. Lotnisko zostało przebudowane w latach siedemdziesiątych w wyniku doświadczeń z wojen arabsko-izraelskich. Teraz, w 2003 roku, podczas operacji „Iraqi Freedom”, stało się bazą dla US Army. Mosul to miasto o bardzo dużej powierzchni, niskiej zabudowie i historycznie tak doświadczone, że już chyba widziało wszystko, co możliwe – mało która wojna w regionie je ominęła. Uważający się tu za rdzenną ludność Asyryjczycy są zarazem jednym z najstarszych narodów, które przyjęły chrześcijaństwo. Choć teraz w większości mieszkają tu muzułmanie, to jeszcze w XX wieku, czyli za Saddama, żyli tu na równych prawach muzułmanie, chrześcijanie, Kurdowie, a nawet Żydzi – prawdziwy miks. I w tym miksie musieli działać i odnaleźć się nasi wspólnie z Navy SEALs. Dostyc często wybuchały tu powstania; podczas takiej wojennej zawieruchy każdy chce coś ugrać, aż w końcu dochodzi także do powstań antykoalicyjnych, a tu konkretnie antyamerykańskich. Wiele osób ginęło w zamachach ulicznych – tutaj nawet częściej niż w Bagdadzie. W Europie

mieliśmy kocioł bałkański – i chyba nie przesadzę z porównaniem, jeśli powiem, że takim kotłem w Iraku był właśnie Mosul. Nie trafiłem do Mosulu, ale opowiedziano mi o jednej z dziwniejszych akcji (reszta w większości była podobna do tych naszych).

Po lądowaniu w szczerym polu, a dokładniej na pustyni w środku nocy, kiedy opadł kurz wzniecony przez startujące śmigłowce, nastąpiła cisza. Jedyne obiekty w okolicy znajdowały się dobre pięćset metrów na wschód; wyglądał niemal identycznie jak ten, który przedstawiono zespołom bojowym na odprawie. Z ustaleń wywiadu wynikało, co dokumentowały jednoznacznie zdjęcia lotnicze i potwierdzało źródło, że obiektem był duży dom, wyposażony w rampę; obok stały magazyny, a na terenie poruszali się jawnie uzbrojeni bojownicy – jak nic idziemy na otwartą walkę, wspominał Grzesiek, mój dowódca sekcji z Kuwejt, a teraz dowódca tutejszej paki.



Można się było natknąć na sporo ciężkiego sprzętu, i to bardzo dobrze znanemu polskiemu żołnierzowi. Czołg T-55 w latach siedemdziesiątych był polskim hitem eksportowym, wysyłanym zwłaszcza na Bliski Wschód. Równie często trafiało się na nasze BWP-1, które miał w swoim wyposażeniu Irak

Nie wiesz, co się za chwilę wydarzy, i zaczynasz działać tak, jak walczone podczas pierwszej wojny światowej, bo podejście do obiektu jest dość dalekie, a śmigłowce narobiły rabanu, na bank wiedzą więc, że w okolicy jest wojsko. Rozstawiasz po wojskowemu ekipę:

- karabiny maszynowe na skrzydła, jak w piechocie,
- pierwsza sekcja: zająć pozycje na lewym skrzydle – odbiór, pobiegli...
- druga sekcja: zająć pozycję na prawym skrzydle – odbiór...
- pierwsza sekcja: naprzód, druga sekcja: ubezpieczać – odbiór...

Jak nic pierwsza wojna światowa i klasyczny atak piechoty. Zostało czterysta metrów na totalnie płaskim terenie. Zastanawiasz się, czy na pewno na skrzydłach są karabiny maszynowe i ubezpieczają. Zarys obiektu w noktowizorze, jeszcze przed chwilą

niewielki, rośnie i nabiera kształtów. Idziemy do boju cyklicznie, skokami. I nagle stajesz centralnie przed tym domem, który okazuje się... dużym namiotem. Cholera. Wyciągasz scyzoryk i tniesz plandekę. Wchodzisz do środka; nadlatują śmigłowce, dookoła pełno uzbrojonego po zęby wojska, a tam, w środku, zdziwiony gościu macha rękami i nawet tłumacza nie trzeba, żeby zrozumieć, że krzyczy: „Co jest, kurwa? Tu jest sklep!”.



Patrol prawie jak sielanka, ale sielanki nie było

Mission complete.

Zwykle jednak nie były to wesołe przygody, tylko ciężka orka w bardzo niestabilnym rejonie, zamienionym w wielkie militarne złomowisko z masą porzuconego wojskowego sprzętu. Po upadku armii Saddama, kto tylko chciał, mógł wynieść z wojskowych magazynów, czego tylko zapragnął. W wielu rejonach śpieszono się

z grabieżą koszar przed nadejściem wojsk koalicji. Podczas operacji DA odnajdowano spore ilości takiego zagrabionego uzbrojenia, które często było już zardzewiałe, ale nadal nadawało się do użycia. Mosul i jego okolica były chyba najmniej przyjaznym miejscem na całej mapie Iraku, co zresztą potwierdziło się w kolejnych latach.



Ilości znajdowanego wojskowego sprzętu w okolicach Mosulu czasami przekraczały ludzkie pojęcie. Na pierwszym planie ręczny granatnik przeciwpancerny RPG-7



**Walający się sprzęt można było pozostawić samemu sobie, zwłaszcza że większość i tak nie nadawała się do użytku, ale
znalezioną amunicję trzeba było zniszczyć**

4

CAMP POZZI

Budzę się w namiocie, na dworze szarówka i jeszcze bym pospał, ale w kącie ktoś tak niemiłosiernie chrapie, że nie sposób się nie rozbudzić. Wychodzę na dwór popatrzeć na piaszczyste wydmy i sprawdzić, gdzie to nas przywiało, bo w tej kuwejckiej bazie jeszcze nie byłem. Kuwejt ma to do siebie, że już o poranku jest zawsze gorąco – a tu miłe zaskoczenie, jest przyjemnie, nawet zbytnio nie czuje się w powietrzu wilgoci. Czyżby przez te kilka miesięcy aż tak zmienił się klimat?

Chyba jednak nie: kiedy o ósmej rano idę razem z pałacowymi na śniadanie, wszystko już jest po staremu – choć to połowa marca, wilgotna koszula klei się do ciała. Staję w kolejce po jajecznicę – cholera, stęskniłem się za tutejszymi smakami, a w szczególności za jajecznicą przygotowywaną na miejscu przez wojskowego kucharza. Choćbym nie wiem ile eksperymentował w domu z patelnią, to kucharz na difaku, czyli w wojskowej stołówce, zawsze robi lepszą. Życzę sobie taką, jak zawsze: z dwóch jajek plus *all vegetables except jalapeño*, czyli trochę smażonego bekonu, surowe ogórki, pomidor, cebulka, chleb tostowy i jest zestaw śniadaniowy nr 1, pycha. Chłopaki następnego dnia wracają do kraju, dzień mija nam więc na wspomnieniach i wymianie doświadczeń. Przede wszystkim interesuje nas to, co nas czeka, czyli jaki pakiet celów nam zostawili (mówią, że jest rozwojowo...), no i ciekawi nas, jak się mają nasze psiaki, Romek i Tadek, pozostawione im w spadku trzy miesiące temu. Czekają nie tylko psy, ale również nasz przyjaciel Drago – polsko-amerykański Navy SEALs. Jest niezastąpiony – i mam nadzieję, że też niezniszczalny, bo robi swoje w takim stylu, że już nikt sobie nie wyobraża Camp Pozzi bez niego. Drago to nie jedyny Polak w amerykańskim mundurze – w trakcie poprzedniej misji spotykaliśmy naszych w wielu bazach. Podczas pobytu chłopaków

w pałacu wspierał ich inny Polak, Sebastian, świetny łącznościowiec z US Army, i też się z nim po przyjacielsku żyło. Ciekaw jestem, czy w Rudzie Śląskiej ktoś wie, że chłopak z ich miasta ukończył prestiżową Akademię Wojskową Stanów Zjednoczonych w West Point. Seba co prawda nigdy nie planował zostać żołnierzem, trochę pomógł mu w tym system. Studia w USA są bardzo drogie, a wojsko daje alternatywę dla uczenia się. Plan był dosyć prosty i popularny wśród amerykańskiej młodzieży: zostać w wojsku przez dwa lata, a potem zacząć studia w cywilu z pomocą stypendium wojskowego, które dostaje się po dwóch latach służby. Plan się zmienił, bo dowódca, widząc w Sebastianie dobrego żołnierza, zasugerował mu, by poszedł do Akademii Wojskowej w West Point. Sebastian zdecydował, że spróbuje.

Dostanie się na tę uczelnię nie jest łatwe. W 1996 roku złożył dokumenty i po rocznym szkoleniu w United States Preparatory Academy został przyjęty do West Point. Co więcej, po studiach nie osiadł na laurach, tylko dostał się do 5th Special Forces Group. Podczas drugiego wyjazdu do Iraku w 2003 roku zetknął się po raz pierwszy z żołnierzami z Grom-u. W jego wspomnieniach wygląda to tak: „W porównaniu do wojska amerykańskiego GROM nie miał wyszukanego sprzętu, szczególnie jeśli chodzi o transport i *fire support area*. Natomiast byli to wysoce wyszkoleni i niesamowicie zmotywowani żołnierze. Jak tylko zaczęliśmy współpracę i GROM mógł wykorzystywać nasze środki transportu, ich osiągnięcia przeszły nasze najśmielsze oczekiwania. Praca z nimi była dla mnie niepowtarzalnym przeżyciem”. Sebastian jest do dziś wspominany nie tylko jako profesjonalista, lecz także jako dobry kolega, bo chłopaki wspólnie odwaliły kawał dobrej roboty, a to cementuje przyjaźń na lata.



Tadek i Romek – nasze psy – od razu nas poznały i miło powitały



Sebastian z Żukiem. Z Rudy Śląskiej poprzez Chicago, West Point do Iraku i wspólnych działań z GROM-em

W tej chwili w Pozzi przebywa 7 Team Navy SEALs i to z nimi przypadnie nam działać. Przybijamy z chłopakami piątki na pożegnanie; jeden dzień to za mało, by się ze sobą nagadać, ale wieść niesie, że niektórzy odwiedzą nas w campie już w wakacje. Loty do Bagdadu odbywają się nadal tylko po zmroku – dostajemy informację, że lotnisko często znajduje się pod ostrzałem raketowym; nikt nie straszy, ale wspominam swój ostatni lot, a w szczególności lądowanie, i to nie było przyjemne przyziemienie. Po godzinie i czterdziestu pięciu minutach lotu, z zegarkiem w rękę, samolot zaczął nagle pikować, a taśmy mocujące sprzęt zagrały dobrze znaną, trzeszcząco-jękliwą nutę. Dobrze, że jest się czego trzymać, bo czuję, jak odfruwam – pasy bezpieczeństwa to niegłupi wynalazek... szkoda tylko, że nie ma ich przy moim fotelu. Nagle

samolot wyrównał lot i miękko, wręcz gładko wylądował – czuję się jak w jednym z filmów o wojnie w Wietnamie. *Gooooood morning...?* W naszej wersji wykrzyczałbym radiowym głosem: *Gooooood evening, Bagdad.*

Romek z Tadkiem kręcą się, wesoło merdając ogonami. Jest i Drago i jego szczery uśmiech – nie ma lepszego powitania. Dostaje w prezencie obiecany słoik ogórków kiszonych roboty mojej mamy – przytulił go troskliwie jak Kubuś Puchatek garnuszek z miodzikiem i pobiegł schować do swej chatynki. Zaczynamy wyciągać sprzęt i osobiste graty; momentalnie pojawiają się SEALsi i pomagają przy paletach z rozpakowaniem naszych zielonych skrzyń.

Ot, proza pierwszych godzin w bazie, nie ma czasu odsapnąć po długiej podróży, zresztą ta atmosfera jest niesamowita. Niezależnie od stopnia, wieku i statusu wszyscy równo sobie pomagamy z rozładowaniem skrzyń i toreb, ciężka fizyczna praca świetnie łączy i buduje braterstwo – to nie żaden wstyd nosić skrzynie. Czekamy na podział miejsc do zakwaterowania, bo na razie nie wiadomo, gdzie kto ma rzucić swoje skarby. Ważna to sprawa dla wojaka, to miejsce będzie naszym domem przez następnych kilka miesięcy. Michał poszedł na odprawę dowódców z moim przykazaniem, żeby jak lew walczył o „chałupkę” – betonowy domek w rogu campu, otoczony z dwóch stron dodatkowym murem; może to nie bunkier, ale w miarę bezpieczne miejsce podczas nocnych ostrzałów. Niestety, było losowanie i los obdarował nas namiotem w centralnym miejscu campu – no, już lepiej trafić nie można było, WTF. Niby standard OK, jest klimatyzacja, w środku chłopaki pobudowały z wiórowych płyt pokoiki, a przed namiotem jest fajna drewniana weranda z pałacowymi fotelami... ale pozostał też dziwny zapach. Coś jakby załatywało ropą naftową. Szybko udało się nam ustalić przyczynę ropopochodnych oparów. Chłopaki przygruchały sobie na stacji benzynowej dwie przemile żołnierki. Ich robotą było tankowanie czołgów i całej reszty mechanicznego sprzętu, który podjeżdżał pod ich ogromną cysternę. A że nasi poza wojaczką byli bardzo zapaleni do nauki angielskiego, to zapraszali

dziewczyny, by te udzielały im korepetycji. Nie tracili zatem czasu i w wolnych chwilach szlifowali język, i to w praktyce... tylko te ich perfumy z oktanową nutą jeszcze nie wywietrzały. No, ale to przecież wojna, a nauka na wojnie zawsze niesie za sobą jakieś ryzyko.



W Camp Pozzi czekał też Drago, gotowy na kolejne wspólne roboty

Nasz namiot to cudo wojskowej logistyki, ale nie ma się co oszukiwać: podczas ostrzału moździerzowego, raketowego i całego lecącego z nieba żelastwa nie będziemy tu bohaterami. Schron, który zrobiliśmy podczas poprzedniej tury, stoi godnie, zabezpieczony dodatkowo nowymi workami z piasku, w środku krzesła i ławeczka; nie ma pajęczyn, czyli był używany. Pokój odziedziczyłem po Żuku, praktycznie mogę wchodzić na gotowe. Łóżko uniesione na skrzynkach po amunicji, na tyle wysoko, że pod

nim lądują moje zielone skrzynki; jest biurko, regał na książki, na którym stoi kilka paczek z amunicją i kartka z życzeniami powodzenia. Żuku zostawił nie tylko świetnie urządzone lokum, ale i swój podpis na ścianie przy samym wejściu do pokoju, więc i mój ląduje poniżej. Naval zakwaterowany.



**Taki to już żołnierski los, raz w okopie, innym razem w bunkrze,
a obecnie w namiocie, w imię zasady: „Gdzie skrzynka ze sprzętem
i broń, tam dom twój”**

Po poprzedniej zmianie zostało faktycznie sporo otwartych robót – możemy właściwie z marszu zacząć działać. Wojna nie zna takiego terminu jak zmiana kontyngentu i nie rezerwuje czasu na urządzenie się wojska w bazie po przerzucie. Naszym priorytetem jest teraz przestrzelanie broni, zapoznanie się z pojazdami i – co najważniejsze – szybkie zgranie się z SEALsami. Niby mamy te same

procedury, podobną taktykę i jako jednostki pracowaliśmy ze sobą dosłownie ramię w ramię, zawsze jest jednak jeszcze czynnik ludzki: trzeba się po prostu poznać podczas wspólnego treningu.

Jak bardzo już byliśmy pewni siebie nawzajem, pokazuje data naszej pierwszej roboty – już piątego dnia po wylocie z kraju mieliśmy za sobą wspólne planowanie, trening, przestrzelanie broni, odprawę i tylko złe warunki atmosferyczne odsunęły w czasie pierwszą operację. Cały następny dzień również spędziliśmy na treningu, szykowaniu sprzętu i jeździe nowymi hummerami. Camp Pozzi bardzo się zmienił – mamy normalne prysznice, jest kontener medyczny, porozstawiano hesco bastiony, które mają ograniczyć skutki ataków mózdzierzowych. Na siłowni też pojawiło się trochę nowego sprzętu, a i my dowieźliśmy tym razem własne sztangi i ciężary. Camp Pozzi ma dobrego gospodarza, ale nie to mnie najbardziej zaskoczyło, bo to, że baza się rozwinie i unowocześni, było pewne. Ale na dzisiejszą operację do naszej dyspozycji zostały oddane nowe hummery, zrobione konkretnie pod naszą robotę. Specjalnie dla nas.



**Przestrzelanie broni jest priorytetem przed wyjazdem na robotę.
Na pierwszym planie Ousi w roli gunnera**

Minęło dobre pół roku, odkąd walczyłem nie tylko na mieście, ale i tu, w warsztacie, bo trzeba było przygotować samochody do naszych potrzeb. Przyjechała do nas wtedy jakaś ekipa wojskowych inżynierów – mierzyli, fotografowali i dopytywali się, co trzeba zmienić w hummerze. No i proszę – pół roku później jest. Na masce zaczepy umożliwiające montowanie siekiery, łopaty, młota i chuligana, który jest nieodzownym sprzętem wyłomowym. Oryginalnie zamontowane dodatkowe światła drogowe na podczerwień. *Gunner* i kierowca zostali opancerzeni – *gunner* może się skryć za frontową pancerną płytą, podobne podnoszone opancerzenie ma po bokach, doczepione do obrotnicy; nie będzie już jeździł, wystawiając klatę na pokuszenie. Zamontowano oryginalne noszaki na dodatkowe skrzynki z amunicją. Kierowca siedzi za opancerzonymi drzwiami z pancerną szybą. W środku do słupków

drzwi zamontowano zmyślne obrotnice na karabin, a wszystkie nocne światła i kontrolki wyłącza się jednym przełącznikiem. Pomyślano też o desancie siedzącym na pace – burty zostały wzmocnione płytami pancernymi, na które my dodatkowo nałożyliśmy teraz koce balistyczne. Koło zapasowe trafiło na lewą burtę i stanowi dodatkową ochronę; my, oczywiście, czerpiąc z doświadczenia, montujemy oponę jako dodatkowy amortyzujący zderzak na front – chociaż sam zderzak jest solidny, zrobiony ze stali; jest i wyciągarka. Co mnie bardzo cieszy, na progach założone zostały oryginalne podesty z chropowatą powierzchnią – te, które montowałem w poprzednim sezonie, nigdy nie były tak stabilne; zawsze trzeba było je poprawiać, dokręcać, a i tak kiedyś spadłem, gdy samochód ruszał bez komendy. Ktoś się tu napracował, i to naprawdę profesjonalnie – wysłuchał naszych podpowiedzi i wykonał wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, nie było, że się nie da. Na dachu zamontowany jest reling, którego można się trzymać, stojąc na podeście. Wcześniej musiałem przewiercić dach, żeby zamontować taśmę jako uchwyt, a tu proszę – Ameryka, panie. Dozbrojono nas tak, że lepiej nas podczas jazdy nie wkurzać: poza etatową pięćdziesiątką browning na dachu, na obu burtach i drzwiach bocznych mamy oryginalne obrotnice z karabinami maszynowymi M240 kalibru 7,62 mm. Każdemu, kto się odważy w otwartej walce podnieść rękawicę, naprawdę życzę powodzenia – szybko zwątpi. Tył hummera też zyskał – zawsze było ciężko wgramolić na pakę w całym sprzęcie, teraz zamontowano niską rampę, która robi za dodatkowy stopień. Poprzykręcano od cholery zaczepów, uchwytów montażowych – nic, tylko dopieścić to cudo, dodając montażę na amunicję własnego pomysłu, rozmieścić granaty i możemy jechać w miasto.



HMMWV, czyli High Mobility Multipurpose Wheeled Vehicle, po liftingu nie tylko prezentował się okazale, lecz także stanowił doskonałe narzędzie pracy

Napatrzeć się nie mogę na tego hummera – cholera, jak to jest, że oni mogą, potrafią i komuś tam się chce? Że nikt nie używa sformułowania „strata w mieniu” podczas przerabiania sprzętu? Co więcej, parę miesięcy temu ten potężny kraj przysłał tu fachowców, którzy popatrzyli, ponotowali, porobili foty, wysłuchali użytkowników i zrobili to i jeszcze więcej. Są nawet dymy odpalane automatycznie na dachu – nie pamiętam, żeby o tym ktoś wspominał. Sami od siebie dołożyli oryginalne usprawnienia. Można

poczuć, że państwo, dla którego walczysz – w tym wypadku Ameryka – jest z tobą. Ktoś u nas kiedyś podsumował nasz polski kontyngent: „Wystrzel, zapomnij” – a te dwa słowa można by rozwinąć w grubą książkę...



HMMWV – tył z widoczną tylną rampą, siedziskiem dla gunnerów i zamontowanymi na wysięgnikach karabinami

Jeżdżę tym cackiem po bazie – czuję się zdecydowanie bardziej komfortowo niż podczas jazdy po warszawskich ulicach moją mazdą. Trzeba tylko uważać, i to nie na żarty, na wszelkie betonowe zapory i zwężenia, trzeba się wciskać dosłownie na żyłki, ale raz i drugi przejeżdżam pomiędzy zwalniczami i jest OK. Hummer przyjemnie wchodzi w zakręty, potężny silnik daje wystarczającą moc, by płynnie przyspieszyć, hamulce ostre jak brzytwa – na nie

trzeba uważać. Jest satysfakcja z przeprowadzonego treningu, można jechać w miasto.

Odprawa przed robotą to rzecz święta, to jej nieodłączna część, a w trakcie czuję czasem, jakbym miał *déjà vu*. Podobne slajdy, prawie ci sami ludzie i ten sam głos Drago, który tak płynnie przekłada informacje z jednego języka na drugi, że miło się tego słucha, genialny z niego tłumacz. Jestem kierowcą trzeciego pojazdu, na dziennym treningu przerobiliśmy wszelkie formacje ustawiania się w szyku, zawracania i sytuacje awaryjne; nie ma pytań, możemy działać.



Trochę pracy podczas adaptacji HMW do naszych potrzeb było nie tylko obowiązkiem, ale i przyjemnością

Dzisiejsza robota należy do Navy SEAL Team 7, GROM stanowi dla nich wsparcie w postaci kierowców i *security*. To taka trochę

niechciana robota, bo korci nas, by iść do boju – inaczej to smakuje, gdy się działa, a nie tylko obserwuje, statycznie trzymając sektor, lub gdy się robi za kierowcę. *Security* to jednak funkcja równie odpowiedzialna i tak samo niebezpieczna, a może nawet bardziej niż sam szturm. Ekipa operatorów wchodzi do pomieszczenia i robi swoje, osłonięta murami; ci na zewnątrz trzymają przydzielone im sektory, często na otwartej przestrzeni – samemu trzeba sobie wyszukać osłonę na miejscu i zrobić to tak, żeby mieć jednocześnie dobry wgląd w sektor odpowiedzialności. Walka w mieście podczas naszych operacji *Direct Action* (DA, akcja natychmiastowa) ma to do siebie, że dystans do przeciwnika jest mocno skrócony, czasami nawet znajdujemy się dach w dach – dosłownie tak blisko może pojawić się zagrożenie, co już zresztą przerabialiśmy. Trzymając sektor, szuka się zasłony od przodu, bo to od frontu spodziewa się zagrożenia – ale od tyłu nikt nie przechwyci lecących na oślep pocisków i odłamków z rzuconych granatów. Ze statystyk wynika, że ci na *security* zawsze więcej strzelają niż ekipa wchodząca do pomieszczeń. Ale i tak zawsze się chciało iść do boju.



Chwila przed robotą i ostatnie zerknięcie na dane wywiadowcze

Tadek i Romek, machając ogonami, odprowadzają nas do bramy wyjazdowej z campu; gasną światła, odpalam noktowizor i mkniemy w ciemności przez teren lotniska. *Security* to jednak nie tylko ochrona. Tytan w pierwszym pojeździe jest nawigatorem; to on ma dopilnować, żebyśmy trafili pod bramę celu, pod same drzwi, a po robocie musi znaleźć drogę powrotną do Pozzi. Janek z Tylutem jako gunnerzy stoją w luku wieży obrotowej, biorąc wszystko na klatę, chociaż już nie tak do końca, bo akurat im – i mnie – trafił się na robotę ten nowy model hummera, mamy więc pancierz. *Gunner* w ogóle ma przechlapane, bo właściwie cały czas stoi; niby mają tam te swoje ławeczki na taśmach i można czasami na chwilę przysiąść, ale to krótkie momenty. Dla przeciwnika gunnerzy stanowią główny cel, bo to oni mają największe działo; jak taki pocisk z broni o kalibrze 12.7 mm trafia, to poprawiać już po nim nie trzeba. Może to dziwne, a może nie, ale są tacy, którzy czują bluesa i sami się rwą

do tej funkcji – wiatr wiejący w oczy nie psuje im humoru, nawet gdy hummer zasuwa stówę autostradą. W tej pracy robienie czegokolwiek na siłę jest wręcz zakazane, już od pierwszego dnia szkolenia słyszałem: „To ty masz chcieć, nic na siłę, po co się męczyć”. I tak po dziś dzień robimy to, co lubimy i do czego się nadajemy; nikt nie ma funkcji na siłę, bo sztuka. Nieważne więc, czy dzień jest miły i słoneczny, czy akurat wieje i nastąpiła burzowa pogoda i piasek tak wali po goglach i twarzy, że potrafi pokaleczyć usta, zawsze są chętni na tę robotę; nie po to się przechodziło selekcję, by teraz siedzieć w budzie z Romkiem czy Tadkiem.



Centrum dowodzenia navigatora na pokładzie HMW – cholernie odpowiedzialna robota!

Michał z Ousim robią stricte za mobilne *security*, mają swoje sektory odpowiedzialności, ale podczas jazdy to M240 stanowi ich

główną broń; nie ma tu nikogo, kto by się tylko „wiózł”, nie angażując się w żadną robotę. Tyko czasami zdarza się, że jakiś dowódca z zastępcą z jednej czy drugiej strony chce „zaliczyć” ze swoim wojskiem DA i dostaje w pakiecie przejażdżkę *all inclusive* podczas roboty. Potrzebne nam to jak dziura w moście, ale co zrobić.

Swoją drogą, nie mogę się nadziwić, jak szybko zleciały mi te trzy miesiące w Polsce. Nie zdążyłem zrealizować wielu planów: chciałem posiedzieć nad Wisłą przy piwku, relaksując się na maksa, ale była zima, a to nie czas na piknikowanie w plenerze. Wiosny nie doczekałem, więc piwa nad rzeką tym razem nie było. Za to dwa tygodnie na nartach w okolicach Czarnej Góry pozwoliły przewietrzyć głowę. Z drugiej strony, skrócił się przez to czas spędzony w domu, z rodziną. Cholera, nawet w kinie nie byłem... Ousi nakręcił nas strasznie na narciarstwo turowe, gdzie nie liczyła się tylko ostra jazda na krechę, bo przemieszczanie się po przygodnym terenie górskim ze stromymi podejściami wymagało więcej odwagi. Ousi, fan gór, miał to szczęście, że ze swojego Skarżyska-Kamiennej mógł trafić do legendarnej jednostki w miejscowości Rząska. Po wojsku, jak to w cywilu, chcąc mieć kontakt z mundurem, przeszedł kilka kursów detektywistycznych i przetrwania, ale już testowanie na młodszej siostrze wyuczonych technik ju-jitsu nie wystarczało, a nawet i nie wypadalo starszemu bratu. Chciał czegoś więcej. Szukał swojej drogi, aż w końcu ją znalazł między nami. Bardzo lubię pracować ludźmi z pasją, a Ousi właśnie taki jest, i to nie tylko w trakcie górskich wypraw.

Zwalniamy całą kolumną i płynnie przemykamy przez *checkpoint*. Ten punkt jest jak granica, która nakazuje zmianę myślenia: czas skoncentrować się na robocie. Wyjeżdżamy jednym z bocznych, mniej uczęszczanych wyjazdów. Nasz cel położony jest na przedmieściach; chcemy okrążyć Bagdad tak, by się nie zorientowano, że mocna ekipa jedzie w nocy w stronę miasta. Zataczamy spore koło i po półgodzinnej jeździe podjeżdżamy „na cichociemno” pod obiekt. Cicho...? Kiedy jesteś kierowcą, słyszysz wszystko kilka razy głośniej, pracę silnika słysząc jak z dobrych

kolumn. Każdy zgrzyt trzeszczącego hummera wali niczym werbel; samochód jest nowy, ale skrzypi tak samo jak starsze modele. Za to ekipa Navy SEALs 7 jest bezszelestna: czekam na eksplozję otwierającą drzwi, mijają sekundy, minuty... nic, cisza. Dopiero po chwili Drago nadaje przez radio, że obiekt jest pod kontrolą, czyli SEALsi weszli po cichu, a teraz robią resztę roboty na noktowizji. Na okolicznych dachach pusto, gdzieś obok przebiegł jakiś pies, ale się spłoszył – nawet nie szczekał, zawarczał, podkulił ogon i już go nie ma. Dowódca operacji do wszystkich: „jedna minuta” – Drago nawet nie musiał niczego tłumaczyć.

Ostatni raz zerkam na dachy. Na pakę mojego HMW wsadzono, zgodnie z założeniem, zatrzymanego i kilka znalezionych kałachów. Janek daje mi znać, że są wszyscy; płynnie ruszam, hummer lekko mruczy. Co za dziwny, niemal senny krajobraz nocnego Bagdadu. Plan powrotny był taki, że najkrótszą drogą tniemy na maksymalnej prędkości przez miasto w stronę lotniska. Miejscem naszego działania jest nieciekawa okolica; ostatnio inna ekipa podczas nocnej wizyty miała tu ostrą strzelaninę. U nas spokój, a może raczej cisza przed burzą...? Ale Tytan, nasz pierwszy bojowy nawigator, wie, co robi – korzystając z niezakłóconej niczym ciszy, wracamy tą samą trasą poza miastem. Myślę, że nawet nikogo nie obudziliśmy – no, może poza domownikami... I tak, po cichu, po ciemku, bez rozgłosu i bez strzelaniny w mieście wróciliśmy do Camp Pozzi.

Człowiek, którego zatrzymaliśmy, był wysoko postawionym funkcjonariuszem w strukturach Saddamowskiego reżimu – a więc mamy sukces. Ale to nie oznacza, że będzie nam dane odespać tę noc. Już o dziesiątej zerwano nas na równe nogi i jeszcze przed śniadaniem planujemy kolejną robotę. Wojna to nieustający ciąg dynamicznych zmian; wczorajsze zatrzymanie – choć bez jednego strzału – okazało się strzałem w dziesiątkę: funkcjonariusz chce współpracować, a to pozwoli nam zatrzymać następnych. Drago opowiadał o świetnej nowo otwartej stołówce i wielkim sklepie PX w Camp Victory. Mieliśmy tam dziś pojechać na lunch i drobne zakupy, trzeba też rozejrzeć się po okolicy i pokazać tym, którzy nie

byli, jak to się tu kiedyś gwardia Saddama urządziła – ale zwiedzanie przekładamy na spokojniejsze czasy. Dzisiejsza robota należy do nas: dostaliśmy pakiet dokumentów i po burzy mózgów mamy zgodny plan co do punktu wejścia, rozejścia i tak dalej.



Bagdad po zmroku nie był bezpiecznym miejscem – czekało nas sporo pracy, by miasto mogło trochę odetchnąć od codziennych i conocnych zamachów

Z naszej szóstki tylko Michał nie był dotąd w Iraku; w tej robocie liczą się nie stopień, funkcja, a wiedza i doświadczenie, każdy z nas o tym wie i przyjmuje to za wykładnię profesjonalizmu; jednogłośnie to akceptujemy, to taka nasza demokracja w wojsku. Na kursie podstawowym nasi starsi koledzy, instruktorzy, wpoili nam to tak mocno, że nikt sobie nie wyobraża, że może być inaczej. Na robocie każdy tak samo nadstawia karku, podczas planowania

każdy ma więc takie samo prawo głosu co do scenariusza nadchodzącej operacji. Moja działka to pirotechnika – jestem breacherem, czyli osobą odpowiedzialną za zrobienie wejścia do obiektu. Niczego tu mądrzejszego od wysadzenia zamka w głównych drzwiach nie wymyślimy, chociaż można by, oczywiście, jak niektórzy preferują, dać z kopa w drzwi... albo zejść po klucz do recepcji i wstydu narobić, jak w *Psach*, jednym z moich ulubionych filmów. My jednak musimy być skuteczni, to nie kino akcji.



Za dnia można było się przekonać, co knuli po nocach

Drzwi są nieco schowane pod balkonem, ale wywiadowcy potwierdzają, że domownicy używają ich w ciągu dnia; zdjęcia ukazujące tył domu nic nie wnoszą, rosną tam wysokie palmy i jakieś krzaki. Spróbujemy najpierw wejść do środka po cichu, tak jak SEALsi wczoraj; ale tam, na miejscu, to nie od nas, a od tego, co

zastaniemy, będzie zależał dalszy rozwój sytuacji. Szykuję ładunek; ta robota polega na zegarmistrzowskiej precyzji, tu się nie można pomylić. W tej dziedzinie również nastąpił skok technologiczny. Poświęciłem sporo czasu na eksperymenty, próbując choćby sklarować dobrze magistralę, która służy do odpalenia ładunku; wymyśliłem nowatorski system mocowania zapalnika do lontu, a będąc w kraju, zbudowałem torbę transportową na ładunki. Dziś jest wielki dzień, a raczej noc: debiut mojego pirotechnicznego dzieła.



Wyjazd na robotę w wyśmienitym towarzystwie: za mną siedzi Michał, obok mam Ousiegio, a po skosie Tyluta. „Naprzód, naprzód, naprzód!”

Wieczne powietrze pachnie tu inaczej, gdy szykujesz się do szturmu. Potrafimy żartować, nie ma nerwowej atmosfery. Ale

mamy profesjonalne podejście do sprzętu i uzbrojenia – choć już starannie załadowałem pistolet USP i karabin M4, to jeszcze raz sprawdzam, delikatnie odciągając zamek w tył, czy na pewno nabój znajduje się w komorze nabojoyej. Każdy kabelek z radia jest odpowiednio podłączony, a bateria naładowana. Szkło w goglach wiecznie paruje – na to każdy ma własny sposób; nie da się iść bez nich do boju. U mnie sprawdza się przemyśle szybki płynem do naczyń – tak zabezpieczone gogle przez jakiś czas nie parują; inni uważają, że ślina jest najlepszym środkiem, bo tak nie śmierdzi chemią jak płyn. Gogle to niby szczegół, ale najpierw, gdy hummer pędzi około setki po tutejszych drogach, chronią wzrok od pyłu, bo wiatr hula we wszystkich kierunkach. Potem szturm: wysadzanie to kupa kurzu i drobne odłamki; rzucone granaty hukowe robią zamieszanie w powietrzu, o wzrok dbamy więc jak o największy skarb.



Torba EOD wzór NAVAL

Przed samym wyjazdem nastąpiła nowa świecka tradycja. Powiedzmy, że stałem najbliżej tablicy, na której zaznaczone są magnesami miejsca na pojazdach. Pora na sprawdzenie obecności poprzez głośne wyczytanie każdego, kto bierze udział w robocie – to teraz moja działka. Jakies pamiątkowe fotki, poklepywanie po plecach, i robimy. Wczoraj Navy SEALs, dziś GROM; tylko Drago i tam, i tu w tej samej roli. Uwierzcie mi, trzeba mieć zdrowie – i dobrze poukładane w głowie – by na bieżąco koordynować obie ekipy i jeszcze brać czynny udział w robocie; tu nikt nie stoi bezczynnie, każdy ma coś do zrobienia.

Sama jazda na operację to też robota; w ciągu dnia wywaliłem sporą ilość amunicji do karabinu M240, pięknie gra ten dźwięk rozpadającej się taśmy po oddanej serii, gdy jej metalowe ogniwa dzwonią, uderzając w metalowe części HMV. Potem czyszczenie,

przesmarowanie karabinu i praca na sucho z obrotnicą: kunszt inżynierii pola walki. Z obrotnicą i tym ciężkim karabinem jest tak, jak podczas walki rodem z *Gwiezdnych wojen*, gdy karabin umieszczony jest na jakimś niszczycielskim wysięgniku – tak mi się przynajmniej wydaje, a może nie? W końcu jesteśmy chłopakami z Marsa, to i sprzęt mamy kosmiczny. Nie czuć ciężaru broni, ale moc i celność zniszczenia są spore – choć może nie aż takie jak w przypadku pięćdziesiątki, gdzie operator czuje wręcz, jak opuszczający lufę pocisk dosłownie zasysa powietrze, aż wstrząsa całym hummerem.

Dobrze, że nie jedziemy na ostatnim pojeździe: podczas kontaktu z przeciwnikiem ci z tyłu, na pace ostatniego pojazdu, będą mieli co wspominać; w chwili naszej nawały ogniowej warto mieć dobre stopery w uszach. Nie prowadzę hummera, ale jakoś mnie spina podczas mijania spowalniaczy i zwężeń na terenie bazy – pamiętam, jak bardzo musiałem się wczoraj skupić, by nie zahaczyć o betonowy blok, a tu SEALsi śmigają pomiędzy nimi szybko i płynnie. Nie da się oszukać wprawy, ale spoko, za miesiąc nawet nie będę o tym myśleć. Dzisiejsza robota jest poza Bagdadem; mkniemy autostradą w granicach setki, panują błoga cisza i spokój, tylko kilka światełek na horyzoncie; można wpaść w zadumę. O rzeczywistości przypominają tylko komunikaty radiowe słyszane w słuchawce. Gdzieś tam, wysoko nad nami czuwa C-130 Hercules, a dokładniej AC-130, potocznie zwany gunshipem; na poprzedniej zmianie poznaliśmy jego skuteczność, moc i precyzję bombardowania. Mając nad sobą takiego anioła stróża, czuje się cholerną przewagę technologiczną nad przeciwnikiem. Są też z nami dwa śmigłowce z parami snajperskimi; duża siła jest po naszej stronie. Daje to ogromny komfort podczas roboty – świadomość, że nie ma takiego wroga, który by zdołał nas powstrzymać, to my jesteśmy bogami tej nocy... Choć oczywiście jest ktoś tam nad nami wszystkimi, więc o modlitwie nie można zapominać. Ale i szczęście się liczy. Drago nosi przy sobie pluszowego tygrysa i jak ktoś zaczyna cwaniakować, to mu go

pokazuje, pytając, czy wie, ile tygrysek ma roboty – ot, taki talizman. Ja mam na stopach skarpetki zdarte już na wodach Zatoki Perskiej i nie wiem, czym je zastąpię, jak już nie da się ich zacerować.

Set point, set point, set point... syknęło cicho przez radio, budząc mnie z rozważań o amuletach i talizmanach. Ktoś otarł drabiną hummera, *fuck*, jak to słycać w taką noc. Psy szczekają, świecą się latarnie; nie podoba mi się ta okolica. Naprzód! Czasami człowiek ma tak, że chętnie by wszystko zrobił sam, bo sam przecież lepiej widzi, słyszy, czuje, jest szybszy, sprawniejszy i w ogóle wie lepiej – cholerny samiec alfa... i omega. Ważna w tej robocie jest jednak pokora, Rambo by tu nie pasował – trzeba dać szansę pozostałym, nawet gdy ktoś się potknie, trzeba pamiętać, że każdy z nas był tak samo szkolony i wie, jak powstać.



Navy Seals i GROM jako jeden team

Do mnie też trzeba było mieć cierpliwość. Byłem szybki, ba, bardzo szybki, chyba najszybszy; no, tak mi się wydawało. Tak szybki, że na pierwszych zajęciach z wysokościówki, czyli zjazdu na linie, podczas treningowego szturm na wysokim budynku zjechałem piętro niżej. Sam zdobyłem sektor odpowiedzialności przydzielony mojej sekcji i dopóki nie usłyszałem komend grupy pracującej poziom wyżej, cholernie się dziwiłem, czemu jestem na tym piętrze sam. Kilka dni później, na domku z opon, byłem znów tak szybki, że mój dowódca sekcji, Bogusław, dobrych kilka lat starszy ode mnie doświadczony szturmowiec, odstrzeliwał za mnie cele w moim sektorze odpowiedzialności, bo nie zdążyłem ich zobaczyć, co zawdzięczałem tej mojej prędkości. Naszej roboty nie da się nauczyć na kursie eksternistycznym ani nie da się kogoś wyznaczyć na stanowisko rozkazem. Spróbujcie wyznaczyć rozkazem do operacji na otwartym sercu lekarza, który nie jest kardiologiem. Ale przecież jest lekarzem... no właśnie, nie ma praktyki i koniec pieśni. Są jednak ludzie niezastąpieni, nie każdy tak samo wykonuje daną pracę. Operacje na otwartym sercu przeprowadzają specjaliści o odpowiednich predyspozycjach psychofizycznych. Oczywiście, najlepiej, by mieli doświadczenie, ale na doświadczenie trzeba zapracować, trzeba dostać szansę, żeby zacząć. A żeby kiedyś przyspieszyć, na samym początku trzeba zwolnić.

Ja i moi przyjaciele z sekcji jesteśmy w Firmie szósty rok. Ta misja jest moją trzecią, ale tak naprawdę należałoby mówić o operacjach bojowych, bo to one są właściwą miarą doświadczenia. Tych mam już na koncie kilkadziesiąt. A misję można też przesiedzieć w bazie, w stopniu majora, wydając numerki na stanowisko komputerowe w świetlicy, gdzieś na etacie w komórce wychowawczej. Doświadczenia nie da się nabyć, kupić i oszukać systemu: żeby zostać operatorem, trzeba operować na otwartym sercu, w asyście całego doświadczonego zespołu.

Wracając do operacji... Drabina dobrze ustawiona, czeka już na mnie pod właściwym kątem, *security* na płotach trzyma mi sektory,

mogę działać. Przechodzę na drugą stronę i czekam na moje ubezpieczenie. Jest reszta paki; cisza, widzę tylko, jak kocurowi na trawniku kilka metrów przede mną świecą się ogromne oczy. Wchodzę pod zadaszoną wnękę. Czekają tu na mnie duże drewniane skrzydłowe drzwi, osadzone na solidnych zawiasach, potężna, kuta ze stali klamka i zamek, taki jak za dawnych lat. Przed nimi pod ścianą dostrzegam kanister na benzynę – skinąłem tylko i już widzę, jak Ousi podnosi go i zabiera na tyły; czuję, że momentalnie Tylut go zastąpił i już stoi za moimi plecami. To jest wspaniałe, że można poznać kumpla po oddechu; świadomość, że działamy w zgranej pace, nadaje sens maksymie „śmiały zwycięża”.

Pełen automatyzm: nawet się nie śpieszę i nie patrzę na ręce, one same pracują; pamięć ruchowa płynnie składa układankę w całość. Puszczony w eter słowa: *fire in the hole* po naciśnięciu radiowego tangentu burzą ciszę, ciśnienie podnosi się w żyłach, „każdy mięsień się zwija w kłębek jak sprężyna...”, płuca reagują na nagły skok ciśnienia. Już nikt nas nie zatrzyma, kontrolujemy wszystkie sektory odpowiedzialności. Działamy płynnie, wręcz podręcznikowo – cholera, my sami piszemy ten podręcznik prowadzenia operacji specjalnych. Mamy kontrolę, jest zatrzymany, wyznaczone osoby już zdążyły go skuć i przeszukać; tłumacz prowadzi z nim rozmowę, a ja szukam sobie czegoś do roboty.

Sprawdzam z Tylutem i Ousim pomieszczenie gospodarcze – ot, taki mały warsztat, z zewnątrz wydaje się niewart naszej uwagi. Ale nie ma niespodzianki – potwierdza się to, co przekazano nam na odprawie. Znaleźliśmy broń i improwizowane ładunki wybuchowe domowej roboty IED (*Improvised Explosive Device*), które w ostatnim czasie stały się tu najgroźniejszym zabójcą żołnierzy i cywili. Teraz wystarczy jeszcze dotrzeć do konstruktora i część siatki odpowiedzialna za IED w Bagdadzie będzie rozbita. Mógłbym jeszcze zrozumieć, że oni za pomocą tych ładunków atakują nas, bo nie ma co się oszukiwać, jesteśmy tu uważani za okupantów, ale te bomby tak samo często wybuchają na straganach, pomiędzy swoimi, a to już jest niewytłumaczalne dla mnie skurwysyństwo.



Znaleziony IED – ten niepozorny aluminiowy pojemnik jest gotową śmiercionośną bombą

4.1 – Które to już powstanie...

Nasz dowódca wpada do namiotu jak po ogień: „Gdzie Michał?!” i „Gdzie Michał?!”. Spokojnie, stary, co to, pali się albo jaka wojna na horyzoncie?

– Jest na pace – odpowiadam leniwie, bo właśnie wróciłem zgrzany z siłki. – Klatę robi.

Wraca Michał z nie do końca zrobioną klatą i oświadcza mi, że będę go w najbliższym czasie zastępować, a on zabiera połowę naszych snajpów i jedzie na wojnę. Najlepsze z tego wszystkiego, że nie wie tak do końca, gdzie ta wojna, ale mają rozkaz spakować sprzęt i wieczorem być w gotowości do przerzutu.

No dobra, pomagamy chłopakom się spakować, na drogę dostają parę dodatkowych konserw, kanister ze spirytusem do przemywania sprzętu optycznego i tak zaopatrzeni mogą jechać wojować. Dzieci, sieroty, starcy i szturm zostają w domu... tak przynajmniej się poczuliśmy. A sprawa wygląda następująco: Amerykanie czują w jednym z miast pismo nosem, gromadzą więc siły wokół tej miejscowości i szykują się na niezłą rozpierduchę. A że mają już doświadczenie, jak toczyć taki bój w mieście, i chcą ograniczyć do minimum straty po obu stronach, wymyślili chytry plan. Pierwsze skrzypce, a raczej pierwsze lufy tego planu, grają snajperskie karabiny, pożyczają więc też naszych chłopaków. Ładnie ubrali snajperów w amerykańskie mundury, żeby ich sami nie pomylili z bojownikami, i w drogę. Nocą zawozimy naszą awangardę na lotnisko, gdzie już czeka na nich potężny CH-53. Mam ogromny sentyment do tego śmigłowca, więc w sercu żal, że dowódca sekcji leci bez nas. „Cholera, a ja kiedyś tam nie chciałem zostać

snajperem”, śmieję się w duszy. My niby mamy się szykować – została wprowadzona natychmiastowa gotowość, bo w sporej części Iraku zaczyna wrzeć, siedzimy więc na gratach i czekamy na rozwój sytuacji. Pomyślcie, to jest dopiero stan umysłu, zazdrościć komuś wojny na wojnie... No, bitwy o miasto w obecnym wydaniu. Ale zawsze.

Śmigłowiec w nocy przerzucił snajperów do bazy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych – co oznacza, że chłopaki będą współdziałać z Marines, jednym z rodzajów amerykańskich sił zbrojnych. Na miejscu w zrujnowanym domku dostali na ośmiu chłopów jeden pokój, do połowy obdarty z tynku: coś tu musiało niedawno porządnie pieprznąć. Jedi, nasz łącznikowy, i Roberts, młody łącznościowiec z Navy SEALs, który został przydzielony do pomocy chłopakom, poszli się zorientować w sytuacji i złapali kontakt z innym łącznikowym, który już działał na miejscu ze snajperami z Navy SEALs. Ten przyszedł po pewnym czasie z jakimś trochę zakręconym oficerem – ni cholery nie było wiadomo, co to za jeden, nawet się nie przedstawił, tylko od razu zaczął dyrygować i łapać kogo popadnie do natychmiastowego boju o miasto.



Pomagamy zapakować się naszym snajperom – szturm zostaje w bazie

Wreszcie okazało się, że to jakiś narwany dowódca Zielonych Beretów, który ma pod sobą oddział walecznych Irakijczyków, gotowych do boju od zaraz. Skoro pojawili się snajperzy, w jego umyśle zrodził się błyskawiczny plan: nasi będą osłaniać szturm Irakijczyków na pobliskie obiekty, a ci ostatni, robiąc rozpoznanie bojem, zajmą tyle terenu miasta, ile się da.

– *Hold your horses, stary* – zastopował go jednak od razu trzeźwo myślący Michał.

Główna przeszkoda jest taka, że nie mamy rozpoznanego przedpola, musimy założyć stanowiska snajperskie, a najlepiej tylko jedno, bo nie mamy wystarczająco dużo odpowiedniego sprzętu. No i warto by trochę szanować ludzi, rozpoznanie bojem ćwiczyli wprawdzie Rosjanie, ale ich mnogo było podczas II wojny światowej. Jankes myślał, że chłopaki mają nie wiadomo co w swoich walizkach, a tu jeden termowizor, słaba noktowizja, jeden karabin

pięćdziesiątka, karabiny remingtona... nie bardzo było z czym szaleć tak od razu, bez przemyślenia; sama lufa karabinu snajperskiego na nowoczesnej wojnie już nie wystarcza.



Baza Korpusu Piechoty Morskiej jeszcze na obrzeżach miasta

Na całe szczęście przyszedł ktoś bardziej kompetentny, zatrzymano te plany i zaczęto układać całą robotę od początku. Sytuacja przedstawiała się następująco: trudno powiedzieć, że było to powstanie, bo całe miasto zostało zajęte przez milicję powołaną przez miejscowego duchownego, nie było tam żadnych wojsk koalicji ani regularnych irackich sił. Mieszkańcy dostali czas na opuszczenie terenu, można więc było zakładać, że zostali wyłącznie rebelianci. Ci ostatni ze swoim wodzem skupili się wokół głównego meczetu, wiedząc, że wojska koalicji nie będą atakować tego miejsca. Filozofia dzisiejszych wojen nakazuje, żebyśmy to my byli ci „cywilizowani” – system nie pozwala więc wojskom koalicji atakować miejsc kultu religijnego i zabytków. Rebelianci zaś walą

gdzie popadnie, nie uznając żadnej świętości. Opracowany plan zakładał, że jednostki zmechanizowane, ubezpieczone przez snajperów, będą wjeżdżały w miasto punktowo. Gdy napotkają przeciwnika, nastąpi kumulacja sił w tym miejscu, by oczyścić i zająć jego teren. W kolejnych punktach będą zakładane posterunki i tak sektor po sektorze mieli się posuwać według tego schematu w stronę meczetu. Bojownicy swoją główną bazę założyli właśnie tam. Mieli sztab, miejsce do odpoczynku i stamtąd robili wypady na miasto, przypuszczając ataki na siły otaczające ich z trzech stron.

Na miejscu okazało się, że poza jedną ekipą Navy SEALs nie operują tu jeszcze żadni snajperzy – w ogóle chłopaki są tu jako jedni z pierwszych i dopiero wszystko zaczyna się powoli tworzyć. Wojna nie jest poukładana, trzeba ją dopiero zaplanować, wpasowując się w zaistniałą rzeczywistość. Informacja dla chłopaków na ten moment była taka: gdzieś tam, w hotelu na rubieżach, mają swoje stanowisko snajperzy z Navy SEALs, przydzieleni do jednej ze zmechanizowanych jednostek, która już zaczęła działać w tamtym rejonie. Trzeba nawiązać z nimi kontakt i podmienić ich na stanowiskach, bo już nie tylko sikają pod siebie, co u snajperów nie jest niczym zaskakującym, lanie do butelki to norma, ale odpoczynek i trochę snu się należy.

Na miejscu nasi zostali powitani jak wybawienie: ktoś w końcu pomyślał, żeby zluzować SEALsów na stanowiskach. Szybko zostali wprowadzeni w sytuację taktyczną i wspomóceni sprzętowo. SEALsi zostawili na stanowisku swoją wypasioną lunetę obserwacyjną i nasi mogli na tym samym poziomie wykonywać robotę. Nasza luneta była za słaba, by skutecznie obserwować rejon na tak dużej odległości – co tu owijać w bawełnę, sprzętowo byliśmy nadal w dupie. Na nasze wojskowe standardy – fakt, to, co mieliśmy, było nowoczesnym sprzętem, ale podczas takiej operacji jak ta tutaj nie było się czym popisać. Mieliśmy za to coś najważniejszego, czyli wiedzę i umiejętności... no i „Polak potrafi”. Pomyślcie tylko, gdzie byśmy teraz byli, gdyby nasi dowódcy w sztabie armii nie myśleli o karierach, lecz o robocie; gdyby politycy, zamiast rozgrywkami

politycznymi, zajęli się dobrym zarządzaniem wojskiem i całym krajem. Na powiedzonkach typu „Polak potrafi” czy „Ojczyzna w potrzebie...” i naszym myśleniu, że inaczej nie wypada, ci na górze jadą na nas od wieków – bo jak inaczej, Polak potrafi, damy radę, prawda?

Hotel położony był na samej linii rozgraniczenia sił, w uliczkach stały amerykańskie bojowe wozy piechoty M2 bradley, a za budynkami kryły się czołgi. Po drugiej stronie ulicy teren był już niepewny. Stanowisko SEALsów było dobrze przygotowane; chłopaki wprowadziły z miejsca tylko parę zmian i można było robić. Z zajętej pozycji wgląd w teren był bardzo dobry, ale odległość do przeciwnika była dosyć spora; tego dnia używano głównie karabinu, który w moim odczuciu ma kopa jak armata: pięćdziesiątki PGM hécate II S1, francuskiego karabinu wyborowego o kalibrze 12,7 mm. Zasady użycia broni przekazane przez Amerykanów były dosyć proste: „Likwidować bezpośrednio zagrożenie i tych z wrogim zamiarem”. Cywile dostali dwa tygodnie temu rozkaz opuszczenia miasta, a więc poza walczącymi stronami na ulicach nie powinien się nikt pojawiać. Ale, jak to na wojnie, są tacy, którzy się z ojcowizny nie ruszą, albo po prostu nie ewakuują się, bo niby dokąd.



Włodek był jednym z dowódców sekcji na misji. Snajper, a z wykształcenia filozof, na stanowisku nie było już możliwości spierania się z nim na argumenty słowne

Chłopaki bardzo starannie obserwowali teren i notowały każdy ruch, by uniknąć niepotrzebnych strat. Początkowy dystans do przeciwnika wynosił osiemset metrów i więcej, ale w imię nie zawsze słusznej zasady, że śmiały zwycięża, bojownicy starali się podejść bliżej, by ostrzelać wojskowe pozycje z moździerzy, niszczyć czołgi i bradleye za pomocą zmyślnych ładunków wybuchowych, a przy okazji próbowali dodatkowo zabezpieczyć swoje pozycje, minując ulice. Nie byli też jednak tacy głupi, żeby robić to na pałę, każdy przeciwnik zawsze ma jakąś taktykę, a ci akurat potrafili odgryzać się ostro. Nie prowadzili frontalnych ataków, można więc było się ich spodziewać w każdym miejscu i czasie, bo to oni znali dobrze miasto i wiedzieli, jak skrycie podejść przeciwnika. Przypominam sobie rozmowę z Kajtkiem, żołnierzem podziemnej polskiej Armii Krajowej, który w trakcie Powstania Warszawskiego

walczył jako snajper. Kajtek wspominał, że odległość pomiędzy powstańcami a Niemcami wynosiła często nie więcej niż 30 metrów, dosłownie na rzut granatu, a gdy nikt nie strzelał, to się obrzucało nawzajem wyzwiskami. On, jako snajper, ze wschodniej strony barykady strzelał do Niemców do południa, bo wtedy miał słońce za plecami, a po przejściu słońca w azymucie na zachód, po południu, to Niemcy walili do nich. Walka snajperów to taka gra w kotka i myszkę, często ze zmianą ról. Tutaj dystans był o wiele większy, ale co odważniejsi rebelianci, dobrze znający miasto, lubili się wybierać na przeszpiegi bardzo blisko naszych pozycji – trzeba było zachować czujność i dobrze się maskować, jak zresztą podczas każdej skrytej walki. Pewnie, że w filmach strzelec wygląda najlepiej, gdy jest wciśnięty w stertę gruzu, ale chłopaki nie były aktorami na planie filmowym, walczyły na serio. Do takiego stanowiska trzeba niepostrzeżenie podejść, spędzić w nim kilka godzin, zazwyczaj leżąc bez ruchu, więc wiadomo, musi być wygodnie, trzeba mieć miejsce na notatki, a i obserwator musi widzieć to samo co strzelec.

W nocy snajperzy trochę zmodyfikowali stanowisko, na podstawie pięćdziesiątki świetnie nadawała się lodówka, a po kilku zabłąkanych seriach w pobliżu stanowiska obstawiono się dodatkowo kamizelkami kuloodpornymi.

Skoro świt do akcji przystąpiła kompania zmotoryzowana, czy jak ją tam zwał, i w miasto tyralierą ruszyły abramsy i bradleye. Szyby, które jeszcze ostały się w oknach, dzwoniły w rytm kręcących się gąsienic – tak mocno drżała ziemia pod ponadpięćdziesięciotonowym kolosem; nawet lodówka trzęsła się rytmicznie, rozmazując obraz w celowniku. Już po chwili ktoś z bojowników nie wytrzymał i ostrzelał czołg z kałacha; w odpowiedzi huknęła potężna armata kalibru 105 mm i tyle było z tego jego bohaterstwa. Jeśli nie masz odpowiedniego granatnika przeciwpancernego, to pchanie się na starcie z czołgami nie jest dobrym pomysłem. Ten manewr wkurzył załogę amerykańskiego abramsa. Po tym strzale snajperzy mieli sporo roboty – ziemia w tamtym miejscu się zagotowała – a bojownicy zaczęli wycofywać

się w stronę meczetu, ostrzeliwując się z wszystkiego, co mieli, we wszystkich kierunkach. Zapanował lekki chaos, ale nie może być inaczej, gdy naprzeciwko siebie ma się taką maszynę, a walczy się tym, co pod ręką. Tak właśnie wygląda walka na froncie podczas wojny asymetrycznej. Celem bitwy nie było zniszczenie miasta, do tej roboty świetnie nadawali się więc snajperzy wyuczeni w punktowym trafianiu, *Jeder Schuss ein Russ*, jak w wierszyku z filmu *CK Dezerterzy*, recytowanym podczas zajęć propagandowych. Ze swojego stanowiska strzelcy ubezpieczali poruszające się pojazdy, wywierali presję na przeciwniku, no i z dużej odległości stanowili śmiertelne zagrożenie. Przeciwnik nie mógł się czuć bezpiecznie w żadnym punkcie miasta.

Czołgi pozostały już na zajętych stanowiskach; nastąpiło trochę nerwowe wyczekiwanie. Jednak ruch przeciwnika był widziany tylko w odległości siedmiuset metrów od nowych pozycji. Dopóki snajperzy nie użyli skutecznie pięćdziesiątki, widać było przebiegających przez drogę rebeliantów; potem jednak i szaleni jeźdźcy szpanujący na motorkach z RPG w rękę zniknęli z pola widzenia. Podjęto decyzję, że czas zwinąć stanowisko i zgodnie z wcześniejszym założeniem znaleźć nowe miejsce na linii wysuniętych posterunków. Zwijali się po dwudziestu czterech godzinach spędzonych na pierwszej linii.



Obraz z lunety obserwacyjnej – napis widziany z odległości około kilometra; za kilka dni będzie znacznie bliżej

Tymczasem, zgodnie z obietnicą, zjawili się SEALsi, prawie wypoczęci, by złuzować naszych. Prawie wypoczęci, bo jak tu spać i odpoczywać, kiedy pod nosem abrams wali z za rogu odłamkowym, a i druga strona straszy, strzelając z moździerzy blisko posterunków służących niby za bezpieczne miejsce na odpoczynek. To do SEALsów znowu należało wyszukanie miejsc na nowe stanowisko. Zmęczona paka wróciła do bazy Marines, by odpocząć, dostali zgodę, by rozlokować się nieco dalej od pierwszej linii walki. W bazie było sporo wojska śpiącego po kątach, bo i Marines, którzy brali udział w całodniowej operacji, zostali złuzowani, odpoczywali więc, jak mogli – gdzie kto znalazł miejsce, tam spał, nie zważając na

toczącą się po sąsiedzku bitwę. Trzeba złapać choć trochę snu. Ale wojna to nie czas na luksusowy odpoczynek, nawet jeśli się zajmuje cały hotel.



Czas ruszyć w miasto. Czołgi abrams, niby potężne maszyny, poruszały się ostrożnie, snajperzy czuwali, by nikt do nich się nie zbliżył

Jedi wrócił z odprawy z nowymi rozkazami. Dowództwo kompanii zmechanizowanej na prawym skrzydle także bardzo prosiło o snajperskie wsparcie, a że SEALsi wrócili tymczasem na posterunek, zdecydowano, że przydzielili im się naszych. Chłopaki szybko się pozbierały i już miały wychodzić w teren, gdy przyleciała do bazy pozostała część naszych snajperów, co miało od teraz pozwolić chłopakom nawzajem się rotować. My w Pozzi byliśmy z tego powodu niepokieszeni, bo zabrano Janka i nasza sekcja skurczyła się do czterech chłopów. Tu, na miejscu, i na nas czekała robota w okolicach Bagdadu; nie zanosilo się na nudę i jej nie bylo,

działaliśmy bez chłopaków. Michał tym czasem dotarł okrężną drogą do przydzielonej kompanii, gdzie zastał ślaniającego się na nogach ze zmęczenia oficera. Ten niewiele wiedział na temat tego niespodziewanego wzmocnienia, ale ucieszył się szczerze, widząc tak długie lufy mogące wesprzeć jego wozy i chłopaków. A że zapadła już ciemna jak cholera noc – i, co oczywiste, panowało całkowite zaciemnienie – po wystawieniu jednoosobowej warty w progu pokoju położyli się spać; nad bezpieczeństwem całości linii frontu czuwali Marines. Dwa razy w nocy tylko coś mocniej przypieprzyło, po czym nastął całkiem ładny poranek.

Z nadejściem świtu zaczęła się najcięższa, a może i najciekawsza dla snajperów robota, czyli szukanie miejsca na stanowisko. Najpierw poszli do opuszczonej szkoły.

Budynek okazał się solidny, ale trudny do zabezpieczenia dla tak małej grupy, jaką stanowili. Sprawdzenie taktyczne obiektu, w obawie, czy czasem nie ma w nim bojowników, trwało prawie dwie godziny, ale poza pomocami naukowymi zatopionymi w formalinie nikogo nie znaleźli. Wgląd z budynku w miasto też był niewystarczający, za to po drugiej stronie dość szerokiej ulicy, całkiem blisko kompanii, stał byle jaki ceglany budynek, wyglądał na niedokończony blok mieszkalny. Nie stał centralnie na linii rozgraniczenia, ale z górnych pięter mógł dawać wgląd w zajmowany przez bojowników rejon miasta. Poza Robertsem, który był ze snajperami już od pierwszego dnia, przydzielono im dodatkowo bystrego sierżanta, dowódcę bradleya – bardzo przydatnego faceta, który miał tę zaletę że zawsze wiedział, gdzie są amerykańskie oddziały.



Po operacji każdy spał, gdzie mógł (przyjrzyjcie się dobrze temu zdjęciu!)

Po wejściu do budynku stwierdzili, że jest to stolarnia: kupa sklejek, desek, jakieś maszyny... woda na młyn dla Wampira, głównego budowniczego większości stanowisk snajperskich. Choć wszyscy równo pracowali, to jednak Wampir miał w rękę prawdziwy talent budowlańca.

Stanowisko snajperskie ma swoje oczywiste wymagania konstruktorskie w zależności od prowadzonych działań, ale robota nigdy nie jest łatwa – nie dość, że nielekką, to jeszcze bardzo niebezpieczną. Zielona taktyka – choć tego typu zadania odchodzą już powoli do przeszłości – nakazywała snajperowi maskowanie się zgodnie z porą roku i barwami przyrody występującymi w danym rejonie. Snajperzy prześcigają się w pomysłach, jak by tu najlepiej upodobnić się do otoczenia i podłoża, a im bardziej gówniane jest, tym większe mają pole do popisu podczas maskowania się.



Michał na stanowisku snajperskim

Walka w terenie zurbanizowanym to inna bajka. Pierwszą kwestią jest wybranie miejsca na stanowisko – dobrze, żeby było blisko linii własnych wojsk; to miejsce idealnie się pod tym względem nadawało. Dla snajperów nie jest to problem, jeśli jest położone nieco w tyle lub z boku – poradzą sobie. Co więcej, są też szkoleni do tego, by w razie konieczności poleźć w cholerę na teren przeciwnika, ale to akurat ostateczność. Z zajętej pozycji musi być wgląd w wyznaczony sektor działania – pod tym względem sytuacja odbiegała od ideału, bo miejsce nie może być nadmiernie wyeksponowane, jak na filmach, gdzie jeśli jest snajper, to pewnikiem siedzi na wieży kościelnej. Jednak po rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw” zdecydowano, że budynek się nadaje. Można było przystąpić do pracy nad samym stanowiskiem. Zapadła decyzja, że będzie nie jedno stanowisko, a dwa. Tych rzeczy w Szkole Chorążych Wojsk Lądowych w Poznaniu, którą ukończył Wampir,

nie uczono, ale trzeba było przejść i tamtą szkołę, by teraz dłutem, śrubokrętem i młotkiem walczyć z cegłami w ścianie. Była pozbawiona okien, a usunięcie z niej dwóch pierwszych cegieł zajęło równo dwie godziny. Książkowo – a może jak w filmie – trzeba było wydłubać spomiędzy nich tynk i wysunąć je z otworów; z kolejnymi poszło już dużo łatwiej. W ciągu dnia, gdy nic się nie działo, cegły trafiały z powrotem na swoje miejsce, a z daleka nikt tej wąskiej szczeliny nie zauważał. Wydłubanie cegieł dawało idealny widok na całą drogę uczęszczaną przez bojowników, a do tej pory nie wiadomo, co się tam dzieje. Snajper to nie tylko strzelec, ale i obserwator, który może kierować poczynaniami oddziałów na pierwszej linii, ogniem artylerii; to stanowisko idealnie się do tej roli nadawało. Drugie stanowisko, a w zasadzie to główne, skierowane było trochę po skosie, ponad głowami kompanii, w rejon walk. Z desek i sklejek zrobiono miejsca dla zmiany czuwającej, by skrycie można było przejść w miejsce przeznaczone na odpoczynek.



Prawie idealne miejsce na punkt obserwacyjny i stanowisko snajperskie



A tak to wygląda od strony snajpera

Dopiero po ukończeniu wszystkich prac budowlańcy mogli zamienić się w snajperów. Brudni jak ekipa rozbiórkowa, nie musieli się już nawet maskować – kamuflaż do działania w terenie zurbanizowanym był idealny. I tak po dobrych kilku godzinach robót budowlanych Wampir wreszcie mógł dla odmiany zająć się snajperską robotą. Zyskano wgląd w rejon działania, co pozwoliło kompanii zmechanizowanej ruszyć się z miejsca. Czuwał nad nią ktoś, kto w razie potrzeby mógł wesprzeć ją celnym strzałem, a co ważniejsze – ostrzec. Nie mam wielkiego doświadczenia z pancerni – pod pancernem zawsze było mi duszno, wspominać mogę tylko chwile, gdy jechałem jako desant, ale jedno wiem na pewno – pancerniak ma ograniczony wgląd w przedpole, oczy snajpera są więc na wagę złota z punktu widzenia całej załogi. Nic dziwnego, że dopiero teraz wystartowała, wydawałoby się, machina nie do

ruszenia, składająca się z czołgów i wozów piechoty. Wierząc w skuteczność naszych snajperów, mogli teraz bezpiecznie spychać rebeliantów z kolejnych sektorów miasta w stronę meczetu.



Dopiero po ciężkiej robocie jest czas na snajperstwo. Wampir na stanowisku

Z nową ekipą dojechał, jak już wspomniałem, Janek, nasz niezawodny *gunner*, a przede wszystkim doskonały snajper. Jeśli można było trafić do GROM-u... no, może nie tyle przez przypadek, ile zostać wciągniętym przez towarzystwo za uszy, to taką właśnie drogą do Firmy trafił Janek. Poczciwy, skromny, bardzo spokojny, zwykły i niepozorny chłopak, ale na pewno nie ciamajda, ciamajd w GROM-ie nie było. Dla GROM-u – diament, idealny kandydat na przyszłego snajpera. Ustrzyki Dolne – to brzmi jak świetne miejsce na bazę wypadową w Bieszczadach, ale nie jak matecznik doskonałych strzelców; a może się mylę? Może właśnie dorastanie

w rodzinie robotniczo-chłopskiej z hektarami na zapleczu domu pozwoliło zahartować chłopięcy charakter do tej roboty, stopniowo i skutecznie? Budowlanka dała wykształcenie; kiedy nadszedł odpowiedni czas, a głowa urosła na tyle, żeby wpasować się w hełm, to i armia się upomniała o chłopaka, wcielając go do zasadniczej służby wojskowej. Nie był to wprawdzie tak do końca MON – autochtoni z Bieszczad idealnie sprawdzali się w 4. Bieszczadzkiem Pułku Zmotoryzowanym Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych, podległych MSW. Janek okazał się dobrym żołnierzem, po zasadniczej służbie zaproponowali mu więc, żeby został na nadterminowego, i zgodził się. Do tych jednostek, rozlokowanych na rubieżach, trafiali często naprawdę dobrzy oficerowie i Janek miał szczęście takich właśnie spotkać. Gdzie mu tam do Warszawy – tu dom, tu rodzice i hektary, ale na selekcję się zgodził, bo to tu, na miejscu, a czy da radę? Jak miał nie dać rady, skoro to jego teren – w końcu na co dzień w patrolu z chłopakami ze straży granicznej chodzili łapać przemytników. Dwóch z nadwiślanki, jeden ze straży granicznej – w takim zespole czesali granicę polsko-ukraińsko-słowacką w tę i z powrotem – czy lato, czy śniegu po pas, chodzili strzec granic ojczyzny.



Wyobrażacie sobie taką eksplozję blisko własnych pozycji, nawet jeśli to nasi strzelają?

Podczas selekcji miał tylko jeden moment zawahania. Kazano Jankowi wejść po linie, ale jak tu po niej wejść, żeby przypadkiem w trakcie wspinaczki jej nie przerwać? Trochę się śmieję, ale faktycznie Janek miał w dłoniach nadludzką siłę. Oczywiście, w Firmie chodził z nami na pake, biegał, grał w piłkę i tak dalej, na siłowni zbytnio nie szarżował z ciężarami – ale jak przychodziło co do czego, potrafił sam podnieść samochód, by wymienić w nim koło. Może odrobinę przesadzam, ale chłopak od najmłodszych lat dzięki pracy na roli miał taką parę w rękach, jakiej siłownia u żadnego mieszczucha nie wyrobi nawet latami. Wiadomo było, że takim jak on, co pół życia przepracowali w polu, pod rękę się nie podchodzi, i to niezależnie od uzyskanych danów i koloru pasa. Zresztą, były kiedyś problemy, bo pewnego razu poszedł trochę poboksować i wrócił skruszony: zapomniał się i tak przypieprzył w worek, że ten

pękl. A lata były w Firmie kruche. Od tego czasu worek był systematycznie oklejany czarną taśmą, Janek zaś dostał zakaz częstowania go sierpowym.



Co tu mógł widzieć Janek, czego wy nie zobaczycie?

Selekcję przeszedł w 1997 roku, nawet się zbytnio nie wysiłał – no, może maraton dał mu w kość, ale często na polu też nie było łatwo, więc nie było z czego robić sensacji. A że w 1999 roku jego nadwiślański pułk ostatecznie rozformowano, potwierdziło się, że GROM to dobry wybór. W Firmie nikt nie patrzy na rodziców, miejsce urodzenia, zawód – tu każdy ma swoją wartość, dla każdego jest miejsce, wystarczy chcieć się odnaleźć, nikt na siłę nikomu nie każe nic robić.

Janek, gdy się już dostał, nie zmarnował szansy – uczył się pilnie i pracował chętnie. Temperamentu nie da się oszukać – człowiek o tak spokojnym usposobieniu po kursie podstawowym po prostu

musiał zostać snajperem. Teraz robił swoje, cierpliwie, bez emocji, ale cholernie skutecznie, leżąc na stanowisku snajperskim, wpatrzony w krzyż lunety. Stanowisko było tak idealnie przygotowane, że zapewne rebelianci do samego końca nie wiedzieli, skąd padają celne strzały; nawet gołębie tu przesiadywały, nieświadome ludzkiej obecności. Walka w mieście stwarza warunki, by skutecznie ukryć strzelca, a dystans po oddanym strzale pozwala mu pozostać nadal niezauważonym; działa to oczywiście w obie strony.

Tymczasem kompania znów się przemieściła kilka przecznic do przodu. Bradleye, przy wsparciu abramsów, poruszały się dość pewnie, ze świadomością, że za ich gąsienicami są skuteczni strzelcy. Kompania zmechanizowana składała się z bardzo dobrych i zaprawionych w boju żołnierzy, świetnie zmotywowanych i chętnych do współpracy. Za to z rebeliantów wyparowała tymczasem chęć podchodzenia bliżej pozycji otwartymi ulicami; po sporych stratach nie mieli ochoty zbliżyć się jawnie do kompanii. Raczej ostrzeliwali się zaczepnie z daleka, chcąc sprowokować snajperów do zdradzenia swych pozycji. Z czasem jednak ich terytorium ograniczyło się do najbliższych uliczek i budynków okalających meczet. Na stanowisku w stolarni jeszcze przez chwilę pozostała druga ekipa, by ubezpieczać nowe pozycje i trzymać sektory. Michał i jego paka nie zdążyli wprowadzić za bardzo wypocząć – ale na wojnie, jak na ulicy, trzeba iść za ciosem, jeśli chce się zdominować przeciwnika. Przemieścili się o kolejnych kilka ulic razem z kompanią. Na miejscu zastali znajomego już kapitana – biedak był już totalnie wycieńczony, ale nie zostawił swoich ludzi. Nikt go nie zluzował od samego początku ofensywy, rozmawiał z nimi, praktycznie śpiąc na stojąco – podobnie wyglądał też ich amerykański łącznikowy, który również nie miał zmiennika. Zaczął nawet cuchnąć od potu, ale nie chciał odpuścić naszych i trzymał się ekipy Michała, a potem zmienników, byle nie schodzić z pierwszej linii.



Na taki kaliber nie ma zmiłuj

Tymczasem do miasta dotarło już wzmocnienie w postaci kolejnych snajperskich ekip. Kapitan poprosił Michała, by dołączył do nowej grupy snajperów i działał wspólnie z nimi. Wskazał mu prawdopodobny kierunek, po czym wrócił do swojej bajki – uklęknął przy swoich sierżantach, kreśląc im coś na mapie. Co chwilę gdzieś walił pocisk z moździerza; w pobliżu było słychać serie z karabinów maszynowych. Im bliżej meczetu zaciskał się pierścień, tym częściej można było nadzieć się na serię puszczoną nie wiadomo skąd; rebelianci nie mieli już wyjścia, musieli zacząć stawać do otwartej walki i zginąć lub poddać się.

Snajperzy podczas taktycznego przebiegania skokami mieli lekko przygarbione sylwetki i tak, ubezpieczając się nawzajem, od zakrytego do zakrytego, skok po skoku dotarli bez przygód do budynku zajmowanego przez amerykańskich żołnierzy. Na miejscu przywitał ich team snajperów należących do Zielonych Beretów.

Mieli już rozstawione stanowiska, wyznaczone sektory, nie było więc sensu gnieździć się na kupie tylko po to, żeby kontrolować ten sam rejon odpowiedzialności. Michał zdecydował, że muszą sobie poszukać innego miejsca.

Nie wiem, czy tato Michała, który był weterynarzem, wymarzył sobie właśnie taką przyszłość dla swojego syna. Michał już od pierwszych klas szkoły podstawowej był dobrym uczniem, a oceny z matematyki czy fizyki przepowiadały mu karierę w zawodzie, w którym byłby potrzebny ścisły umysł. Mama nauczycielka pilnowała nicponia, by wyrósł na inteligenta. Ale... szczerze, czy rodzice mają tak do końca wpływ na losy swoich dzieci? Lata lecą i nastaje czas, że z chłopców stajemy się mężczyznami, z dziewczynek kobietami i każdy z nas chce pójść własną ścieżką. Michała – absolwenta wrocławskiej uczelni z tytułem inżyniera pola walki – zaprowadziła ona na to właśnie przedpole...

Przed wyjściem Michał kazał poinformować snajperów na stanowisku, że idzie szukać miejsca dla swojej ekipy. Amerykanie poprosili jednak, żeby zaczekał na nich, bo mają jednak główniany wgląd w miasto – chętnie pójdą z nim na patrol i też poszukają czegoś lepszego. Nasza paka była na tyle wykończona, że Michał przystał na ich propozycję i niebawem polsko-amerykański patrol ruszył w miasto. Minęli główną linię rozgraniczenia, na której straszył rebeliantów Abrams, i weszli na teren niekontrolowany przez siły koalicji. Przeskakiwali przez usypane przez rebeliantów barykady, wiedząc, że przeciwnik może się kryć w każdym z budynków. Dziwnie wyglądał ten świat barykad z bliska. Po chwili natrafili na rodzinę jedzącą wspólnie posiłek; tymczasem za rogiem siedział starzec pilnujący swego straganu, tak jakby wojny nie było – a przecież była, tylko chwilowo nikt nie strzelał.



Michał chwilę przed wyjściem na patrol studiuje mapę najbliższej okolicy, wyszukując odpowiednie miejsce na kolejny punkt

Wreszcie dotarli do wcześniej upatrzonego miejsca – był to duży budynek, środkiem biegł długi korytarz i można było się przemieszczać nim wzdłuż ulicy. Jedi z Michałem zamykali patrol. Część drogi przez korytarz trzeba było pokonywać skokami od filaru do filaru – tylko one dawały zasłonę w otwartej przestrzeni, wychodzącej na stronę rebeliantów. Gdy po drugiej stronie tego odcinka został już tylko Michał, po przeskoczeniu do pierwszego filaru po oknie posypała się gęsta seria, aż kurz z odrapanej z tynku ściany wzbił się w powietrze. Całe szczęście, że ktoś nacisnął spust minimalnie za późno, tylko rykoszety gwizdały niegroźnie. Michał zatrzymał się za filarem – i słusznie, bo teraz to z jednej, to z drugiej strony od czasu do czasu padał strzał, rykoszetując po ścianach. Taka chwila jest idealna na wyrównanie oddechu i rachunek sumienia, ale po chwili człowiek zaczyna się zastanawiać, w którą

stronę się wychylić, żeby nie dostać w łeb – bo ileż można stać i czekać, aż zabłąkany rykoszet trafi? Tamten gość doskonale wie, że za tym filarem ktoś stoi, strzela więc naprzemiennie, licząc na ruch.



Wyjście na wspólny patrol

Jedi na szczęście zorientował się w sytuacji i wraz z Amerykanami wrócił po stojącego za filarem inżyniera pola walki. Taka sytuacja wcale nie jest prosta. Strzelca nie widać – trzeba trochę odczekać, nasłuchując i obserwując teren, a w końcu pomóc mu w zmianie stanowiska, wskazując własnym mózdzierzom rejon, w którym może się znajdować napastnik. Tym ochoczo zajęły się chłopaki z kompanii wsparcia, rozłożeni na linii okalającej miasto. Trochę to trwało, zanim wykurzyli strzelca z jego kryjówki: na znak sygnał, rzucone dymy, chwila strzelaniny i Michał mógł dołączyć do reszty ekipy. Starczyło im jeszcze sił na sprawdzenie tylko jednego budynku, po czym wrócili, wykończeni. Pili wodę, trzymając butelki

trzęsącymi się ze zmęczenia rękoma, ale wtedy dopiero przyszła pora na prawdziwy dreszcz emocji.



Wnętrze hotelu – to na tej klatce schodowej rozegrała się walka z bojownikami

Tu, na miejscu, podczas ich nieobecności też się działo, gdy Amerykanie zaczęli tłuc z moździerzy, rebelianci nie zostali dłużni: odpowiedzieli salwą i w okolicy spadło kilka ich granatów. Amerykańscy snajperzy po odsapnięciu poszli zabrać swoje rzeczy z pozostawionego stanowiska. Wrócili w lekkim szoku, bladzi, z doszczętnie rozwalonym sprzętem, a raczej tym, co z niego zostało. W ich stanowisko podczas tego patrolu centralnie uderzył moździerz. Trzeba było na chwilę usiąść i ochłonać, zwłaszcza że w pobliżu wybuchł gwałtowny pożar. Temperatura była tak wysoka, że beton zaczął się palić. Gdy wszystko przycichło, zdecydowali, że

czas ruszać w nowe miejsce, bo przynajmniej patrol był na tyle skuteczny, że znaleźli idealny punkt. Opracowali plan dojścia, szybko dotarli na nowe miejsce i zajęli upatrzony budynek. Już zaczęli się rozkładać, kiedy wpadł łącznik z nowiną, że Amerykanie dostali rozkaz całkowitej zmiany sektora i mają się stąd natychmiast zawijać. No ładnie... Na szczęście kapitan był kumatym gościem i przysłał do ochrony naszych snajpów pluton piętnastu Marines. Inaczej za cholere nie byłoby szans się utrzymać na nowym stanowisku.



Złapanie chwili oddechu przed kolejnym zadaniem – tu Michał z Jedim

Tymczasem bradleye podjechały w tym czasie minimalnie bliżej; wydawało się, że jadąc, naporzają w co popadnie – przez moment było gorąco z obu stron, nikt nie chciał odpuścić. Budynek okazał się kolejnym opuszczonym hotelem; czasu i sił starczyło jeszcze na

założenie dwóch stanowisk. Trzeba było niezłego kombinowania, żeby niezauważenie wpasować się w okno ze stanowiskiem, do którego co chwilę wpada jakaś zabłąkana kula. Pomysł był taki, że przysunięto pod okno metalowe łóżko, na które narzucano dużo szmat i koców. I tak, bez potrzeby zaciemniania całego pomieszczenia, pod łóżkiem było miejsce dla strzelca i obserwatora, zaś od frontu pozostawioną szczelinę zabezpieczono kamizelkami kuloodpornymi. Całość dała taki efekt, że z zewnątrz pokój wyglądał na zupełnie pusty, a snajperzy mieli zaciemnione miejsce z wglądem bezpośrednio w plac, na który jeszcze przed trzema dniami zerkali przez lunety z odległości ośmiuset metrów.

Przyszła podmiana, wypoczęta, czysta i gotowa do działania... ale pojawił się pewien konflikt, że tak powiem, kulturowy. Otóż Roberts, amerykański łącznościowiec, twardy SEALs, który był z chłopakami od pierwszego dnia, nie odpuścił posterunku na pierwszej linii ani na chwilę. Efekt był taki, że cuchnął już jak skunks, nikt nie chciał nawet koło niego siedzieć, a teraz dostał rozkaz zabrać się z chłopakami na tyły i porządnie się umyć. Jego mundur wręcz zeszytniał od solnych zacieków pozostawionych przez pot. Oj, niezadowolony był – twarda sztuka, do tej pory tylko czasami wietrzył stopy, ściągając z nich sztywne skarpetki. Na każdym kroku pomagał, był bardzo zaangażowany i bitny, ale wszyscy byli zgodni, że należy mu się odpoczynek, a przede wszystkim prysznic.

Nowa paka się rozlokowała i nastąpiło późne popołudnie. Po porannej zawierusze zrobiło się dużo ciszej, nawet sennie. Snajpy zaległy na posterunkach na wyższych piętrach, a Marines na dolnych, blisko centralnej klatki schodowej. Na każdym piętrze wystawili po jednym wartowniku; było cicho i spokojnie... do czasu.

W pewnym momencie na dole dało się słyszeć jakieś szuranie, a po chwili kroki. Jak nic ktoś coś wchodził po schodach. Chłopaczek na warcie nie zasnął – kiedy to na lufę wyszło mu z piwnicy trzech uzbrojonych gości, nie pytał, jak to w regulaminie wartowniczym jest zapisane: „Stój, służba wartownicza, kto idzie?”, tylko pociągnął po nich z góry serią, zrywając na nogi pozostałych Marines i naszych

snajperów. Nastąpiła krótka, szarpana strzelanina, trochę na oślep, bo tamci schowali się pod schodami. Warto mieć jeńca, zaczęto więc nawoływać, by się poddali. Odpowiedzią z tamtej strony był głośny krzyk *Allah akbar*, a po chwili kolejne serie kałacha. Tynk z sufitu i ścian odpadał grubymi kawałami, rykoszety fruwały niebezpiecznie; nie było na co czekać. Skończyły się pertraktacje, w dół poleciały granaty i grad pocisków; tylko w uszach świszczało, takie echo wypełniło klatkę schodową po kilku eksplozjach. Cisza po burzy zawsze wydaje się dziwna.

Schodzili na dół, schodek po schodku, delikatnie i ostrożnie, otwierały się kolejne sektory niewiadomej; każdy załom i zakryte czyszczono z chirurgiczną wręcz precyzją. Za ostatnim znaleziono leżące trzy ciała rebeliantów. Chłopaki miały sporo szczęścia – ta trójka ciągnęła ze sobą bombowego samoróba. Bomba zrobiona była z grubej rury i zapewne miała służyć jako ładunek do zniszczenia stojącego za budynkiem bradleya. Każdy z rebeliantów miał kałacha, po kilka magazynków, granatnik RPG stał oparty o ścianę. Tym ostatnim zajęli się nasi, znajdujący się na obsłudze poradzieckiego sprzętu, który był u nas bardzo powszechny. Dziwna to chwila, gdy się ma na wprost siebie martwego przeciwnika, a nie kryjącego się gdzieś tam pomiędzy barykadami. Przykryto ciała tych nieszczęśników kocami, by bląkające się wygłodniałe koty nie zrobiły sobie z nich pożywki, a karawana idzie dalej...



Roberts, łącznościowiec Navy SEALs – porządnie zmęczony, śmierzący, ale nieustępliwy i bardzo ważny w całej bitewnej układance

Czas na odpoczynek minął szybko. Ekipa Michała zdołała się wyspać, humory wszystkim dopisują, bo żołądki pełne, tylko Roberts, niezadowolony z wypranego, pachnącego proszkiem munduru, wkurza się, że przerobili go na rekruta i teraz żadnego szacunku nie ma, bo wygląda jak nowo przybyły. Sprawnie wymieniono się na posterunkach i zaczęło się wyczekiwanie: nie ma już gdzie się przemieścić do przodu, bo po sąsiedzku króluje nad miastem kopała meczetu. I co teraz? Strzelanina przetacza się falami, ale w tej chwili to raczej tłuką nasi, a nie tamci; tak mija godzina za godziną.



**W ostatnim dniu walki trwały na styku posterunków snajperskich,
a granaty moździerzowe spadały centralnie na ich pozycje**

Nawet Michał przymknął oko na zmianie czuwającej – można się przyzwyczać do wojennej nawałnicy jak do odgłosów burzy, która w nocy nam nie przeszkadza. Przybiega Jedi i budzi go znienacka, głośno szepcząc, że idą, idą, jak w jakimś śnie; czy to jednak jawa? Co się dzieje? Trzeba lecieć i wspomóc jankesów. Michał jeszcze na dobre oczu nie otworzył, a już zbiega na dół z M4 w ręce, przeskakując po dwa schodki – nie zapiął nawet bluzy; dalej, korytarzem, dobiegają do miejsca, gdzie trwa regularna strzelanina. Scena z boku wygląda tak: dwóch Marines na zmianę ostrzeliwuje się przez okno z jakimś typem, trochę na ślepo, walą jak w filmie bez wychylania się, a po hotelu w tym czasie świszczą rykoszety. Wszędzie iskrzy. Po poprzednim zajściu pluton Marines wystawił na całym parterze posterunki, ściągnęli też swojego strzelca

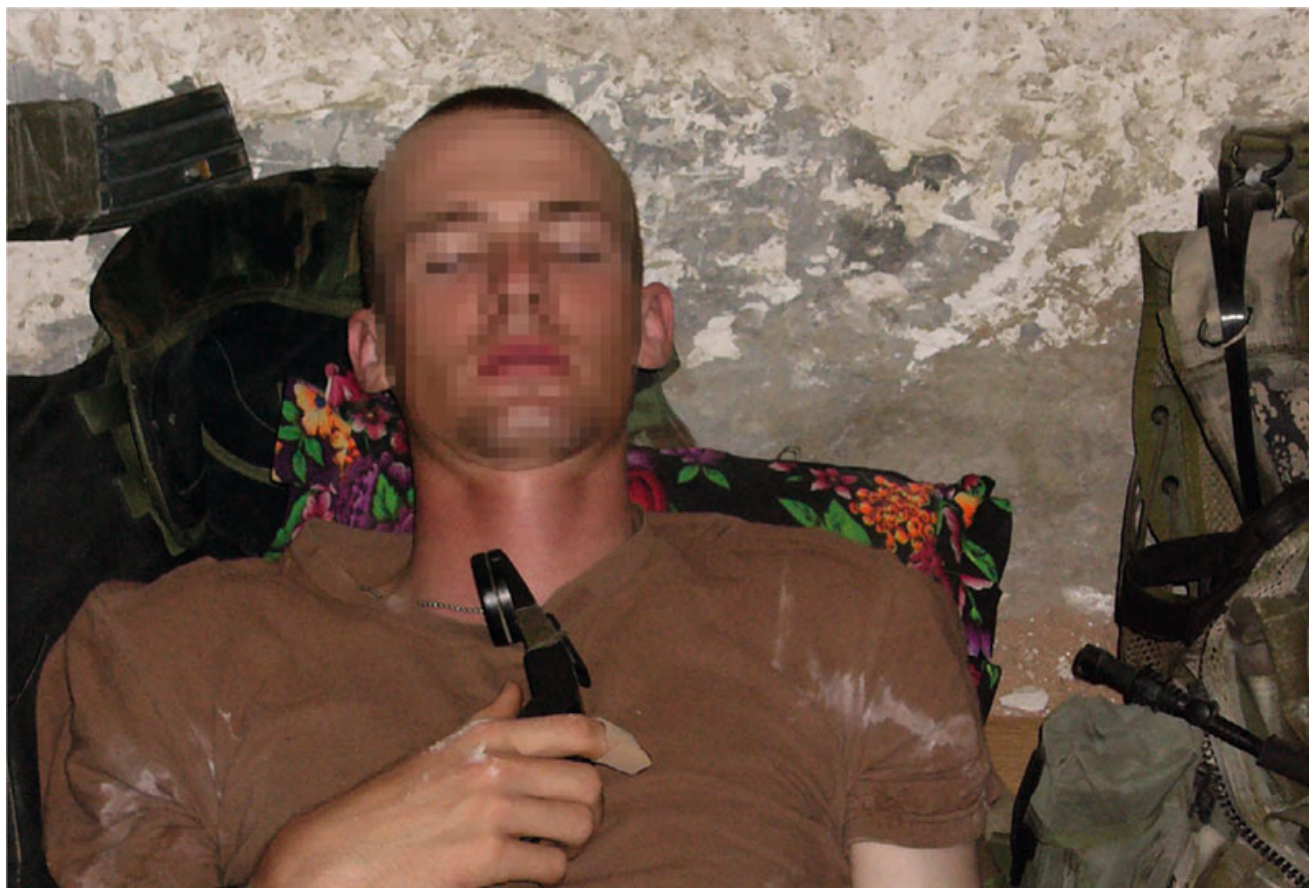
wyborowego i to właśnie on jest jednym z tej dwójki. Jako że ujawnili się przed rebeliantami, a nadal znajdowali się na wysuniętej pozycji, można było się obawiać, że następna ekipa podejdzie z kolejną bombą i wysadzi cały hotel w cholerę. I tak teraz trwa dziwna wymiana ognia, bo Amerykanie, trochę przygwożdżeni, nie mają się za bardzo gdzie ruszyć. Dają tylko Michałowi sygnał, że zagrożenie może być widoczne z jego strony – niech przejdzie z Jedim bokiem i załatwi sprawę.



Gołąb wciśnięty w róg okna czuł się bezpieczny blisko chłopaków – pozostał z nimi do zatrzymania walk

Chłopaki sprawnie wyczyściły taktycznie narożnik i za rogiem, na wprost siebie, widzą gościa obróconego bokiem do Michała. Jest najwyżej dwadzieścia metrów od nich, wychyla się z uchylonych drzwi garażu po drugiej stronie ulicy, strzelając serią, po czym

chowa się i znowu się wychyla, by puścić kolejną po przeciwnych oknach – praktycznie nie mierzy, tylko wali na pałę, gdzie popadnie, nie rozglądając się nawet na boki. Po kolejnym takim wychyleniu się palec Michała zgrał się idealnie z rytmem jego ruchu: naciśnięty język spustowy zatrzymał serię z kałasznikowa, która momentalnie urwała się niczym hejnał na wieży mariackiej w Krakowie. Rebeliant na moment zastygł w bezruchu, po czym cofnął się niezgrabnie w ciemną szczelinę uchylonych drzwi garażowych.



Po prawie tygodniowej walce ludzie też mieli już dosyć, i to po obu stronach. Tu łącznościowiec Marines

Sprawa nie była jednak do końca załatwiona. Michał przybiegł tak, jak drzemał, w samym mundurze, z jednym magazynkiem, teraz więc stoi za filarem i gestem prosi o granat. Jankesowi zebrało się na żarty – pyta, czy taki z zawleczką, czy już odbezpieczony; wesołe

chłopaki, a jeszcze przed chwilą śmierć im zaglądała w oczy, gdyby tylko tamten wiedział, w które okna ma strzelać... Amerykański granat obronny M67 okazał się zabezpieczony dodatkowo taśmą, z którą trzeba sobie było teraz poradzić. Na cholere jeszcze zabezpieczać granaty taśmą, fabrycznie nie wystarczy? W chwili takiej jak ta mijające sekundy mogą przesądzić o tym, czy doczekasz kolejnej wiosny, a tu baw się, człowieku, z taśmą klejącą.

Na sygnał Michała Amerykanie strzelają gdzie popadnie, Jedi trzyma mu bok, a on załatwia robotę do końca – taki był plan. Zawleczka wyciągnięta, Michał mocno się wychylił, żeby przerzucić granat przez drogę, z całych sił się zamachnął, chcąc trafić w drzwi garażu, a tu zasadzka. W pieprzonym oknie są kraty! Zastygł na chwilę; stoi z odsłoniętą klatką i świeci nią na pokuszenie. Wreszcie, niezgrabnie, niczym kiepski kandydat do szkoły cyrkowej, wypchnął granat kilka metrów poza kratę – o rzucie w tym przypadku nie można było mówić – zatkał uszy, po czym nastąpiło głośne BUM! Oczekali – cisza, tylko z drogi wzniosła się chmura kurzu. Pobiegli z Jedim z powrotem, żeby wziąć kamizelki i trochę się dozbroić, bo wojna w okolicy wzmogła się po wybuchu granatu na całego; ledwo zdążyli się ubrać, gdy przyszedł Roberts z informacją, że podpisano rozejm, mają zaprzestać ostrzału i za jakąś godzinę mogą się zwijać na pierwotną pozycję kompanii Marines. Że co? Snajperzy Marines też wrócili z posterunków; pakują plecaki i uśmiechają się do chłopaków, mówiąc, że to był zaszczyt wspólnie z nimi walczyć.



Ostatnie chwile przed ogłoszeniem rozejmu

Nasi, jeszcze trochę niepewnie, weszli na dach, żeby się rozejrzeć. Wszelkie strzały i eksplozje na mieście nagle ustały. Okolica wyglądała zupełnie inaczej niż jeszcze godzinę temu oglądana przez celownik. Nie tylko oni postanowili na własne oczy się o tym przekonać – z obu stron zaroilo się na dachach od żołnierzy, rebeliantów i jakiejś milicji. Na kominie rozsiadł się Jedi i patrzył na to wszystko ze spokojem, a nawet z lekkim dystansem. Był jedynym instruktorem mojego kursu podstawowego, któremu było dane działać wspólnie ze swoimi byłymi kursantami na bojowo. Mieliśmy dobrą kadrę instruktorską – bez ich zaangażowania, przekazanej wiedzy taktycznej i życiowej mądrości, bez tak ważnej zmiany mentalnej, która czyni profesjonalnego żołnierza nie tylko ze ślusarza, spawacza, technika rolnictwa, ale i z chorążego czy inżyniera pola walki, nie przetrwalibyśmy w mieście ogarniętym wojną. Ktoś tam na górze zakończył bitwę bez nas. Bradleye –

wycofujące się jako ostatnie – szybko ustąpiły miejsca białym toyotom; z minuty na minutę pole bitwy stawało się ponownie miastem. Jeszcze tego samego dnia chłopaków z Marsa przerzucono śmigłowcami do nas, do Pozzi. Ale nie było im dane zbyt długo odpocząć – taki to już jest żołnierski los.



Szydł z napisem KONKA jeszcze kilka dni temu był widziany z daleka, ostatniego dnia bitwy znajdował się już po sąsiedzku



**Dopiero bo bitwie był czas, by zrobić zdjęcie ostatniej pozycji
snajperskiej**

4.2 – Bagdad wczoraj i dziś

Zawsze jest tak, że porównujemy to, co jest, z tym, co było, i tęsknimy choć trochę za czasem minionym. Tak jest i teraz – to irackie miasto, do którego wróciłem, to inny Bagdad niż ten, po którym chodziłem z Tytanem po zakupy, by targować się na straganie z kupcem potomkiem Sindbada, choć ulice i mury są przecież te same co wtedy.

Pamiętam to miasto inaczej. Na ulicach stali amerykańscy żołnierze; ot tak, po prostu, rozmawiali z mieszkańcami, dziewczyny i dzieciaki podchodziły bez skrępowania, żeby zamienić z nimi parę słów – młodość jest ciekawa tego, co inne. My, jadąc do polskiej ambasady, zawsze robiliśmy zakupy na ulicznym straganie. Starszy Arab witał nas z daleka, machając, a że my z Lechistanu, to czasem dawał nam rabat i wybierał te lepsze arbuzy. Było przyjaźnie, a czasami nawet śmiesznie, mieliśmy świeże jajka na śniadanie i tak po ludzku czuło się, że nikomu tutaj nie zrobiliśmy krzywdy, niosąc im tak zwaną w naszym mniemaniu demokrację. A teraz? Co poszło nie tak, że czuję, jak z wyzwoliciela stałem się nagle okupantem?

Wyjazd z lotniska to jak opuszczenie fortecy, a potem szaleńcza jazda przez miasto, by jak najszybciej dostać się do kolejnej wydzielonej strefy bezpieczeństwa. Zielona strefa, podobnie jak lotnisko, skrywa się za betonowymi ścianami. To silnie ufortyfikowany obszar; znajduje się tu między innymi główna siedziba tymczasowych władz irackich, mnóstwo wojska i prawie wszystkie ambasady – nie wiadomo tylko, dlaczego nasza jest nadal poza nią. Jedziemy więc dalej w kierunku naszej placówki; teraz nawet most przez rzekę Tygrys został podzielony na strefy ruchu. Tę

wydzieloną dla wojska oddziela od reszty ulicznego zgiełku betonowa ściana. Dojazd do naszej ambasady w biały dzień daje niezły zastrzyk czystej adrenaliny: na ulicach widać miejsca po spalonych autach, a nawet niesprzątnięte wraki po niedawnej eksplozji. Dziwna konstrukcja pozostała po aucie użytym jako jeżdżąca bomba. To już nie jest przyjazne miasto, w którym łobuzował Sindbad Żeglarz.

Jadąc, czuje się podenerwowanie nie tylko wojskowych kolumn, ale i ludzi, nieufnie przemykających ulicą. Ambasada to teraz miejsce odgródzone od świata betonem; kilka miesięcy temu wystarczał kolczasty drut i fakt, że to my pilnujemy tego miejsca. Gdy przyjechałem tu pierwszy raz, w czerwcu poprzedniego roku, ulica była przejezdna, dzieciaki idące do szkoły mogły liczyć na cukierka, a pan ze sklepu na rogu ulicy miał dzięki nam świetny utarg, bo chroniąc ambasadę, codziennie robiliśmy u niego zakupy spożywcze.

Teraz droga jest zamknięta, wystawiono wysunięte betonowe posterunki, na ziemi usypano spowalniacze – kolejna forteca. Wszystkie ambasady poza naszą zostały przeniesione do zielonej strefy – trochę to bez sensu, bo chcąc zrobić zamach, nie atakuje się tak umocnionego obiektu, tylko czeka się na konwój w wybranym miejscu... no, ale może to dyplomaci wiedzą lepiej, jak prowadzić wojnę. Ja tam na dyplomacji się nie znam, co najwyżej wiem, jak kogoś mocno kopnąć w dupę zupełnie niedyplomatycznie.

BOR-owcy – obecna ochrona placówki – zadowoleni z naszej wizyty; przekazaliśmy im obiekt pod opiekę już jakiś czas temu. I serio, po ludzku, szkoda chłopaków, bo jeżeli można o kimś powiedzieć, że kraj kogoś wystrzelił i o nim zapomniał, to właśnie o nich. Nie chcę się tu nad nikim użalać – oni też tego nie potrzebują, bo to dorośli faceci i sobie tu radzą, ale przepisy nie przewidują sytuacji, w której się znaleźli; no, ale o tym niech już sami opowiedzą. Po przyjacielsku zostawiamy im trochę racji żywnościowych, butelkowanej wody i czas na nas: nowa robota się kroi, taka mało dyplomatyczna.

Każda kolejna operacja – czy to robiona przez nas, czy przez inne wojska – niesie za sobą ryzyko odwetu drugiej strony: przecież komuś nadeptujemy na odcisk, i to mocno. Stojąc na czele szturm, nie wiemy wszystkiego – wykonujemy rozkaz idący z samej góry; ktoś inny składa do kupy tę wojenną układankę. Dla nas jest to kolejny cel do zrobienia, kolejne wysadzone drzwi, zatrzymani podejrzani i zgromadzone dowody. O naszej skuteczności można się przekonać dopiero kolejnego dnia z porannych gazet lub gdy w miasto wyjdzie tłum z żądaniem uwolnienia zatrzymanego. Zdarzyć się może nawet tak, jak się to skończyło w Karbali, gdzie wręcz wybuchło powstanie. Przywódcy Armii Mahdiego, rozdrażnieni nocnym zatrzymaniem jednego ze swych pobratymców, zaczęli otwarcie atakować miejscową policję; dostało się przy okazji rykoszetem polskim i bułgarskim żołnierzom Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe, stacjonującym w miejskim ratuszu. Działo się to pomiędzy 3 i 6 kwietnia. Szyccy rebelianci z Armii Mahdiego wykorzystali święto Aszura, gdy do Karbali zaczęli ściągać pielgrzymi. Postawiono nas momentalnie w gotowość bojową, po nieprzespanej nocy. Zakomunikowano nam, że jeśli okaże się to konieczne, zostaniemy przerzuceni jako desant drogą powietrzną, a za pomocą grubych lin dostaniemy się na dach ratusza, by wspomóc okrążonych tam polskich i bułgarskich żołnierzy. Nad całością czuwali Amerykanie, a zgoda miała być wydana w ostateczności. W Bagdadzie w tym czasie były nasze spore siły, zaangażowano w tę operację i chłopaków z Mosulu, którzy przylecieli do nas na wsparcie. Zgoda na użycie nas nigdy jednak nie nadeszła, rebelianci bardziej skupili się na walce z miejscową policją niż z żołnierzami z ratusza, więc po odczekaniu trzech dni, po których do ratusza dotarli żołnierze z 18. Bielskiego Batalionu Desantowo-Szturmowego, potyczka w mieście się zakończyła, a my mogliśmy wrócić do naszej roboty.

Te wszystkie bazy, a raczej, powiedziałbym, warownie, nie powstają same. Pojechaliśmy wreszcie do Camp Victory, na lotnisko do Iraq Duty Free i do PX-u, który jest teraz mekką dla żołnierzy.

Niby to zwykły sklepik, ale dający poczucie normalności: można po prostu wejść do środka i wydać pieniądze; to daje nam pewną niezależność. Rok temu PX znajdował się w przyczepie; teraz przypomina centrum handlowe. Jest tu wszystko.

Baza z kolei jest ogromnym placem budowy – gdzie się nie spojrzy, widać budowlańców w mundurach. Pytam Drago, co to za dziwolągi. Noszą emblemat z pracowitą pszczołą, która niesie karabin, młotek i klucz francuski. Okazuje się, że to Seabees – spotykałem ich już wcześniej, są praktycznie w każdej z baz, ale nie interesowałem się do tej pory, co to za twór te morskie pszczoły. A to po prostu amerykańskie bataliony robocze US Navy. Pamiętam, że i u nas za komuny było coś takiego jak Wojskowe Bataliony Pracy, ale działały raczej w charakterze obozów pracy przymusowej i nikt tam na ochotnika nie szedł, a tu aż miło popatrzeć, bo ci żołnierze-budowlańcy lubią to, co robią. Seabees zajmują się budową i utrzymaniem baz wojskowych, dróg, lotnisk już od II wojny światowej. Są wśród nich budowlańcy, operatorzy sprzętu i urządzeń, elektrycy, inżynierowie, a i spawaczy potrzebują, więc może kiedyś na emeryturze... Zupełnie inaczej funkcjonuje taka armia, gdzie role ściśle przypisane są do funkcji. Nikt, kto nie ma w zakresie obowiązków malowania krawężników w koszarach, tego nie robi, a jak robi, to z pasją i jest dumy z pracy w swojej jednostce, bo przecież wszyscy gramy do tej samej bramki.



Seabees – amerykański batalion roboczy US Navy

5

WIOSNA 2004

W 2004 roku Irak był bardzo niebezpiecznym miejscem. To był dla nas trudny czas. Nie miało znaczenia, czy się było żołnierzem, dziennikarzem czy pracowało się w firmie ochroniarskiej – każdy, kto kojarzył się z nowo powstałym rządem, żołnierzami koalicji czy chociażby w ogóle ze światem Zachodu, tak samo stawał się celem zamachu. Nie uważam, żeby jakikolwiek zawód miał śmierć wpisaną w ryzyko – pracujemy po to, żeby żyć, a nie, żeby umierać. I choć zdawałoby się, że od nas zależy, gdzie w danym punkcie życia się znajdziemy, to nasz los, nasze przeznaczenie może mieć zupełnie inne plany.

Ciekawy pomysł na nakręcenie kolejnego materiału miał w tamtym czasie polski dziennikarz Waldemar Milewicz, korespondent wojenny obyty z niejednym punktem zapalnym na naszym globie. Oglądałem jego relacje z konfliktów zbrojnych od Bośni i Kosowa po Somalię i Etiopię; wpadał z kamerą tam, gdzie było naprawdę gorąco. W 2003 roku śledziłem z niedowierzaniem, jak relacjonował II wojnę w Zatoce Perskiej – często docierał tam, gdzie nie było jeszcze wojsk koalicji, stąpał po bardzo kruchym lodzie, chcąc dostać się do miejsc, gdzie nie dotarli inni dziennikarze. Świat mocno się zmieniał i zmieniało się prowadzenie wojny, a niebieski hełm z napisem ONZ czy kamizelka z nadrukiem PRESS niewiele już znaczyły. Taki cel był tym cenniejszy, a jego śmierć przemawiała do światowej opinii publicznej głośniej niż śmierć żołnierza – przesłanie było jasne: „z nami nie ma żartów, dajcie nam to, czego chcemy, bo nie zawahamy się przed żadną świętością”. 7 maja 2004 roku na przedmieściach Bagdadu zorganizowano zasadzkę – i nie ma znaczenia, czy była to pomyłka – trwała wojna, a napis PRESS na przedniej szybie samochodu działał na terrorystów jak płachta na byka. W zasadzce tej zginął Waldemar

Milewicz wraz z swoim montażystą Mounirem Bouamranem, a ich operator Jerzy Ernst został ranny. To była bardzo trudna wiosna; nie było dnia, nie było nocy bez ofiar. Wierzyliśmy, że każdy nasz wyjazd osłabia drugą stronę – ale kto wie, może było wręcz przeciwnie? Być może nasze nocne rajdy rozjuszały ich jeszcze bardziej. Niebawem nastąpił kolejny zamach na polskich obywateli: porwanie dwóch budowlańców.

1 czerwca 2004 roku, jedna z dzielnic Bagdadu: niby strzeżona willa, w której mieszkali i pracowali Polacy, została zaatakowana. Dla dobrze zorganizowanej i wyszkolonej grupy terrorystów ochrona takiej posesji nie stanowiła zagrożenia – miejscowi ochroniarze zazwyczaj w takich sytuacjach uciekali, zostawiając swych pracodawców na pastwę losu (terrorystów). Duże zagraniczne firmy, które nadal chciały robić interesy w Iraku, zatrudniały profesjonalnych pracowników ochrony – zazwyczaj byłych żołnierzy, i to tych z elitarnych jednostek. Jerzy Kos, jako pracownik wrocławskiej Jedyńki, która dostała zlecenie na budowę osiedla mieszkaniowego w Bagdadzie, przyjechał przypilnować realizacji podpisanego już wcześniej kontraktu. W budynku znajdowało się jeszcze kilka innych osób, ale najcenniejszymi zakładnikami okazali się właśnie Kos i pół-Polak, pół-Irakijczyk Radosław Kadri i to ich porwano. Kadri wykazał się sprytem i w trakcie przejazdu samochodem uwolnił z więzów ręce i uciekł. W tym czasie w Iraku dochodziło do wielu takich incydentów – o porwaniach Irakijczyków media już nawet nie informowały; czasami porwani mogli mówić wręcz o szczęściu, że zostali zakładnikami, bo równie często dochodziło do ulicznych egzekucji.

Dwa miesiące wcześniej, 12 kwietnia 2004 roku, porwano czterech włoskich pracowników ochrony. Na skutek sprzeciwu strony włoskiej wobec postulatu, by Irak opuściły wojska włoskie, jednego z nich porywacze zabili. W czerwcu wysunęli wystosowali takie same żądania do władz Polski – trzeba było działać natychmiast. Wszystkie nasze operacje zostały natychmiast wstrzymane i cały nasz potencjał skierowano na odnalezienie Kosa.

My z poziomu szturmowców mogliśmy szykować się do odbicia zakładnika, a potem zrobić swoje najlepiej, jak potrafimy – ale w tym celu trzeba było ustalić, gdzie zakładnik jest przetrzymywany, a to już zadanie innych służb. Na całe szczęście, naszą robotą w Iraku zapracowaliśmy na wdzięczność i nasi amerykańscy przyjaciele zaangażowali się na całego w pomoc w uzyskaniu informacji, gdzie porywacze trzymają Polaka. W tym czasie odbyło się wiele spotkań i planowań, żadna informacja nie została pominięta. W naszej ambasadzie spotkaliśmy się nawet z włoskim generałem, bo trop prowadził do tych samych ludzi. W tych spotkaniach oczywiście nie brałem udziału, bo do mnie należały działania bojowe, a nie szpiegostwo, wywiad i dyplomacja, ale myślę, że trzy rodzaje służb mocno się sprężyły, by dotrzeć do miejsca przetrzymywania całej czwórki. Zaczęło do nas docierać, że na 99 procent nasz Polak więziony jest razem z Włochami. Nie wiem, jak działali wcześniej Włosi, ale Amerykanie przyłożyli się, by pomóc nam, Polakom, w uratowaniu naszego obywatela.

Terroryści nie są głupi – rozpuszczają pogłoski o miejscu przetrzymywania zakładników, by potem sprawdzić, jakimi kanałami trafiają one do służb i czy siły porządkowe zaatakują taką lokalizację. Przewożą zakładników z jednego punktu do drugiego, często zostawiają ich skutych, ale bez żadnej kontroli. Terroryści to nierzadko po prostu tchórze, którzy wcale nie chcą stanąć z nami lufą w lufę do otwartej walki; zdają sobie sprawę, że gdy my wejdziemy do gry, to nie mają szans na negocjacje, a zakładników uwalniamy, ale nie bierzemy.

Po kolejnym dniu spędzonym na rozmowach w zielonej strefie włoski generał jeżdżący po Bagdadzie tylko z kierowcą, bez eskorty, zapytał nas, czy mógłby wpasować się w nasz konwój i zabrać się z nami na lotnisko. Nasz dowódca oczywiście się zgodził – jesteśmy sojusznikami, musimy sobie pomagać. Wyjeżdżamy na przekłętą Irish Route, a tu kierowca włoskiego generała zaczyna co chwilę zmieniać pas, nie trzymając się ściśle kolumny. W końcu, żeby uniknąć rozdzielenia kolumny przez wjeżdżające z bocznych dróg

samochody cywilne, musieliśmy pozwolić, żeby generał został sam w tyle za nami. No, ale to jednak sojusznik, nie zostawimy go samego, bo będzie kolejnym zakładnikiem. Zatrzymaliśmy ruch na całej autostradzie, agresja na maksa – kilka dni temu blisko tego miejsca zginęli Żuku i Kaśka, więc niech nikt nawet... no, wiecie. Wyszliśmy z samochodów i patrolem pieszym wracamy do zbitej kolumny pojazdów stojących za nami, by wyłuskać z tego korka limuzynę z generałem. A ten, co ja widzę... w nakryciu głowy z pióropuszem, zamiast siedzieć i nie pokazywać się światu, wyszedł z limuzyny i przepędza samochody jak kogut kury, żeby go puścili, krzycząc: „Brutto, Brutto!”... byłoby naprawdę gorąco, gdyby nam wtedy tego generała ukradli. Odzyskaliśmy go wraz z pióropuszem, jego kierowca najadł się strachu i jechał już do samego lotniska paradnie, między nami, a w nas już wtedy ostro gotowała się krew.

Wieczorem, ubrani w sprzęt, na bieżąco analizujemy spływające informacje i planujemy, jak zrobić tę willę, a jeśli celem okaże się szopa, to jak do niej podejdziemy. Kolejne info nadchodzi z Ramadi, Amerykanie są bliżej i dostają zielone światło; czekamy w napięciu na robotę.

Rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Bogusław Majewski, który potwierdził, że uwolniony w Iraku Polak to Jerzy Kos, nie chciał ujawnić, czy w uwolnieniu Polaka brała udział jednostka GROM. Powiedział jedynie: „Nie potwierdzam z uwagi na charakter działań. Mogę jedynie stwierdzić, że polska jednostka GROM jest częścią koalicyjnych sił specjalnych”.

Zanim Kos trafił do nas, spędził prawie dobę w ściśle strzeżonej bazie, gdzie jak cień podążał za nim Robert, nasz lekarz. Kosa przejeżdżaliśmy rano – był zmęczony i trochę przestraszony, ale myślę, że szczęśliwy, że już trafił między swoich. Robert zaopiekował się nim i wsparł go, jak tylko mógł. A więc i tu byliśmy gotowi do samodzielności. Petelicki tak formował jednostkę, by móc samodzielnie działać i nie musieć się układać ze skostniałym systemem naszej armii, który pozostał gdzieś tam w poprzedniej epoce. W Firmie miejsce było dla wszystkich – byli więc piloci, choć

już bez śmigłowca, który niestety rozbił się w 1998 roku, byli lekarze – nawet kilku – i przedstawiciele wielu innych zawodów, niekojarzących się nikomu na ogół z jednostką specjalną.

Dowództwo Wojsk Lotniczych, Szefostwo Służby Zdrowia – pewnie dla niejednego młodego lekarza po ukończeniu studiów medycznych w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi było to marzeniem. Ale nie dla Roberta, chłopaka z Łasku z drewnianym karabinem w ręku, który marząc o wojsku, wpatrywał się w MiG-i-21, przelatujące na niskim pułapie i lądujące z hukiem na pobliskim lotnisku wojskowym. Już podczas studiów medycznych kręciły go wyjazdy na poligon medyczno-wojskowy do Orzysza. Przerzut odbywał się na zasadzie... jak to napisać po polsku? Jechało się eszelonami, czyli w kolumnie wozów lub wagonów kolejowych z wiktem przez dwa dni – takie to wtedy było wojsko. A już na samym poligonie studenci zabezpieczali jakiś pułk zmechanizowany, gdzie w bojowym skocie (Średni Kołowy Opancerzony Transporter) każdy swoje wyjeździł jako desant i zabezpieczenie medyczne. Telefon od starszego kolegi, Maćka, który został szefem służby zdrowia w Firmie, był więc z jednej strony wybawieniem, z drugiej – wyzwaniem. Robert miał wtedy spokojną, ciepłą posadkę – choć samo wojsko okazało się wielkim rozczarowaniem – i podjął to ryzyko. I była to najlepsza decyzja w jego życiu: w GROM-ie mógł pogodzić obie miłości: do karabinu i do medycyny. Na etat wyjazdowy chciano nam wcisnąć księdza, ale wywalczyliśmy lekarza, który poza swym wyuczonym zawodem świetnie grał w piłkę (i podawał!), biegał, miał do nas cierpliwość, ucząc medycyny pola walki, ale przede wszystkim był po prostu dobrym kolegą. A teraz tu, w Iraku, miał nie tylko dbać o nasze zdrowie fizyczne, ale i dawać nam coś więcej: poczucie bezpieczeństwa.

Jerzy Kos miał naprawdę wiele szczęścia, ale nie tylko jemu zawdzięczał uwolnienie, lecz głównie ciężkiej robocie wielu anonimowych ludzi, którzy narażając się, od kilku dni przemierzali kilometry niebezpiecznych ulic Iraku. Teraz siedział, lekko odrętwiały, w towarzystwie Roberta, który miał do wykonania

naprawdę ciężką robotę. Ogólny stan fizyczny Kosa był dobry, ale co się musiało dziać w duszy i psychice człowieka, nad którym jeszcze kilka godzin wcześniej wisiała groźba śmierci? Teraz dodatkowy stres powodowały przesłuchania. Odpowiadając na zadawane pytania, niedawny zakładnik musiał wracać do przeżyć, które zapewne chciał jak najszybciej wymazać z pamięci. Amerykanie traktowali go niby delikatnie, ale jednak stanowczo – chcieli jak najszybciej wiedzieć, ile osób uczestniczyło w porwaniu, gdzie przetrzymywano zakładników, jak często ich przenoszono, czy może kogoś rozpoznał... Ale człowiek, któremu podczas porwania kilkakrotnie grożono śmiercią, którego wyprowadzano na improwizowane egzekucje, ma prawo nie pamiętać szczegółów sytuacji, w których gra toczyła się o jego życie. Robert zdołał dotrzeć do Kosa, który po kilku godzinach w jego towarzystwie zaczął się czuć nieco pewniej – może jeszcze nie bezpiecznie, ale swobodniej. Nie pamiętał nawet szczegółów samego uwolnienia, opowiadał tylko, że nadleciały śmigłowce, a po chwili zobaczył żołnierzy; wszystko odbyło się błyskawicznie.

Robert zaaplikował mu leki na uspokojenie, te jednak nie uśmierzyły lęku przed obcymi ludźmi – każda nowa osoba, nieważne w jakim mundurze, budziła w nim strach. Razem z Kosem odbito też trójkę Włochów, po którą nad ranem przyleciał wojskowy herkules; rodziny odzyskały swoich najbliższych. Robert przesiedział przy Kosie prawie całą dobę, dygocząc z zimna w klimatyzowanym pomieszczeniu. Uwolniony zakładnik nie ma prawa przebywać sam; żadne nasze szkolenie nie jest w stanie oddać wstrząsu, jakiego doświadczył. W Camp Pozzi staraliśmy się stworzyć Kosowi jak najlepszą atmosferę. Dostał od nas odzież i podstawowe przybory kosmetyczne; nastrój popsuł tylko delegat z ambasady, który – choć podobno dyplomata – nie wykazał się zrozumieniem sytuacji. Robert natychmiast wyczuł zmianę w zachowaniu naszego uwolnionego zakładnika. Koniec końców Kos wrócił do Polski, ale nie wszyscy mieli to szczęście.

U nas nastroje były nieszczerólnie... co ja piszę: panował cholerny smutek po śmierci Żuka i Kaśki. Tego dnia jakaś stacja telewizyjna wyemitowała film, na którym pokazano siedmiu obywateli Turcji, porwanych i otoczonych przez zamaskowanych i uzbrojonych bandytów. Tureccy zakładnicy siedzieli w kucki na podłodze, pokazując do kamery paszporty. Gdzieś tu są, ale gdzie? Dajcie nam namiary, a żadna siła nas nie powstrzyma przed uwolnieniem i tych ludzi.

5.1 – Kontraktorzy

W całym cywilizowanym świecie wojsko podporządkowane jest regulaminom – i dobrze, normy i zasady muszą być, one trzymają nas w ryzach. Czas pokoju sprawia, że mnożą się zakazy, nakazy i regulaminy – w rezultacie z czasem żołnierskie działanie zaczyna być mocno ograniczone. Potem panowie w mundurach, którzy są przykuci do biurka, dziwią się, że wojak przewraca się po komendzie „naprzód”. Niejeden mędrzec powiedział, że armia, która nie walczy, uwstecznia się. Jestem wielkim przeciwnikiem wojny, bo to zło w czystej postaci, ale jesteśmy przecież inteligentni, mamy doświadczenie zdobyte w minionych bojach, a popełniamy wciąż te same błędy. Chcemy przygotowywać ludzi do walki na wojnie, pisząc regulaminy w ładnie urządzonych biurach. Wojna to chaos pozbawiony zasad – wygrywa sprytniejszy, silniejszy, przebieglejszy, ten z lepszym uzbrojeniem i taktyką, a nie ten z najdłuższym regulaminem. Spocznij.

Osoby pracujące w firmie prywatnej o profilu militarnym mają inne spojrzenie na żołnierskie rzemiosło. Przepisy w tych firmach naturalnie też istnieją i rzecz jasna nie można ich łamać, ale są zdecydowanie bardziej elastyczne. Największą zaletą pracy w prywatnych organizacjach wojskowych jest zaś to, że pracują tam nie tylko ci, którzy chcą, ale przede wszystkim ci, co chcą i doskonale się do tej roboty nadają. W prywatnych firmach z naborem kadry jest bardzo podobnie jak z naborem do jednostek specjalnych: trzeba się nadawać. Zresztą, kadre tych firm ochroniarskich w większości stanowią byli specjaliści. Czasami zdarza się też odwrotna sytuacja – po kilku latach pracy w takiej firmie kontraktor

wraca do swojej jednostki wojskowej. Nic, tylko korzystać z wiedzy takiego żołnierza, który na rynku cywilnym na pewno zdobył inne, bardzo cenne doświadczenie, nieograniczone regulaminami.

Dlatego też, moim zdaniem, firmy prywatne szkolą się mądrzej i szybciej niż wiele konwencjonalnych jednostek wojskowych – korzystają z pędu cywilizacyjnego, nie muszą przeprowadzać skomplikowanych przetargów na uzbrojenie, kupują to, co im wskażą specjaliści, a nie biedzą się długo nad liczbami w tabelkach, które u nas – zamiast w czymkolwiek pomagać – u wielu zastępują myślenie.

Prywatna firma, by coś wdrożyć, nie potrzebuje certyfikacji wojskowego instytutu starszych panów, którzy zdecydują, czy coś można robić – a jeśli już można, to taka certyfikacja potrafi trwać naprawdę długo – zwykle lepiej zakazać, bo jak się coś stanie, to czyja to będzie wina...? Jak dziś wygląda choćby prężnie rozwinięty rynek strzelectwa? Jeśli wpisujemy w wyszukiwarkę Google hasło „CQB”, wyświetli nam się wiele ofert dotyczących strzelania. Znajdziemy, jak szkolić cywila, by mógł strzelać celnie w przestrzeniach zamkniętych, na małej odległości, z bliska i w pomieszczeniach. Kiedyś była to działka zarezerwowana dla nas, jednostek specjalnych i policyjnych antyterrorystów, a teraz panowie z brzuskami taktycznie czyszczą rogi – i niech was nie zmylą brzuszki, ci panowie są w tym naprawdę dobrzy. A wojsko? Wojsko dalej bawi się w rubież otwarcia ognia i przyznaje oceny w skali od jednego do pięciu za trafienie do tarczy na dystansie pięćdziesięciu metrów po wystrzeleniu pięciu naboju. Tymczasem w kraju odbywają się zawody w strzelaniu z pistoletu, z karabinka i dla strzelców wyborowych w takich konfiguracjach i na takim poziomie, że żaden konwencjonalny wojskowy poligon nie dopuściłby tego na swoim terenie. Po prostu regulamin tego nie wytrzyma, beton nie pęka. Pytam się, jakie strzelania są w takim razie dozwolone na wojnie? Czy tych zasad przestrzega przeciwnik, który przyjął niezgodną z regulaminem postawę strzelecką i wali do nas na oślep serią z za węgła? A może na wojnie nie ma

regulaminów, bo napisze je ten, kto zwycięży – a nie zawsze jest tak, że zwycięża dobro. Uchylę teraz rąbka tajemnicy wojskowej: w 2020 roku na szkoleniu podstawowym szeregowy nadal dostaje 5 sztuk amunicji do kałacha na swoje pierwsze strzelanie. W tym samym czasie każdy cywil na prywatnej strzelnicy bez żadnego problemu już pierwszego dnia strzela sobie do woli... no, w granicach własnego budżetu.



Irak, 2003 rok. Wspólnie ochranialiśmy pana premiera Leszka Millera. Zdjęcie pamiątkowe, z odkrytymi twarzami od lewej: Jarek, Naval, Kaśka, Shagi, Żuku

Wróćmy do roboty na kontraktach, a może nie na kontraktach, tylko w prywatnych firmach ochroniarskich. Chcecie historii o najemnikach. Odpowiedzcie mi najpierw na pytanie: kto był kontraktorem, a kto najemnikiem? Tadeusz Kościuszko, który w uznaniu zasług w 1783 roku uchwałą Kongresu został

awansowany na generała brygady armii amerykańskiej, a następnie dwukrotnie wracał do kraju, by walczyć dla Polski i Polaków? A może najemnikiem był Kazimierz Pułaski, który walczył o wolność dwóch narodów, polskiego i amerykańskiego, generał i bohater wojny o niepodległość USA? A co powiecie na temat Maurycego Beniowskiego, który mając pochodzenie słowacko-węgierskie, uważał się za Polaka, przybył do Rzeczypospolitej, by przystąpić do konfederacji barskiej, w której wyniku został zesłany na Kamczatkę? Tam zwędził statek o nazwie Św. Piotr i Paweł i ośmieszył carycę Katarzynę, odpływając w siną dal z portu na Kamczatce, wywiesiwszy uprzednio flagę konfederacji barskiej, o czym wspomina w swoim pamiętniku. Nie dziwi więc, że śladem tych i wielu innych polskich bohaterów podążyli też nasi koledzy. Historia lubi się powtarzać. Kościuszko zdobył doświadczenie podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych i powrócił do Polski, by walczyć o wolny kraj – teraz, dzięki politykom i generałom, znowu nastały niespokojne czasy, a z nimi pojawiła się możliwość wyjazdu na kontrakt i zdobycia kolejnych umiejętności. Kilku naszych chłopaków tak zresztą zrobiło, by po latach spędzonych na kontrakcie powrócić do Firmy.

Prawdą jest, że na początku XXI wieku byliśmy potrzebni tylko podczas inwazji na Irak i Afganistan. Amerykanie chcieli współpracować z nami, bo jako jedyni w Polsce stanowiliśmy dla nich partnerów w boju – tylko to sprawiło, że GROM-u wtedy nie rozwiązano. Patrzono na nas z zazdrością, a nawet z zawiścią: jak to możliwe, że jest ich garstka, nie mają czołgu ani armaty, w dodatku maszerować nie potrafią, co zresztą było prawdą, a Amerykanie wybrali właśnie ich do współdziałania na wojnie? No i jeszcze w oczy kłuł generał Petelicki, który na sztabie naszej armii często nie zostawiał suchej nitki. Ale co mogli z nami zrobić, jeśli sam prezydent George W. Bush chwalił właśnie GROM za robotę? Dzięki temu jakoś się utrzymaliśmy.

Koledzy z prywatnych firm, w tym byli „specjaliści”, obserwujący naszą robotę w Iraku, zaangażowanie i umiejętności, wielokrotnie

oferowali nam pracę w swoich ochroniarskich teamach. Robota wydawała się łatwiejsza i bezpieczniejsza od naszej, bo były to typowe przejazdy konwojów lub zabezpieczanie obiektów. Praca legalna, na zlecenie rządu Stanów Zjednoczonych, no i za dobre pieniądze. Pokusa duża, ale i chęć zdobycia nowego doświadczenia ogromna. Nikt z nas zbytnio się nie dziwił, kiedy część chłopaków przystała na taką propozycję, zwłaszcza że prawie całą sekcją przyjęli warunki kontraktu. W wojsku amerykańskim taka ścieżka kariery jest czymś naturalnym, nie tylko wśród żołnierzy sił specjalnych. Na przykład firmę Blackwater założył były operator Navy SEALs Erik Prince; pracowało tam wielu SEALsów. Chłopaki nie spodziewały się więc większych zmian, robota miała być wśród swoich. Co więcej, oceniano nas tak wysoko, że nasi nie musieli przechodzić przez kurs zapoznawczy w ich akademii, tylko, tak jak każdy z SEALsów, od pierwszego dnia kontraktu mogli przystąpić do roboty.

5.2 – Żuku

GROM harcerzami stoi. Żuku wychował się i dorastał w Zielonce, choć dla mnie był chłopakiem z Warszawy – cieszyłem się, że wreszcie udało mi się poznać jakiegoś warszawiaka, bo nasze rodzinne domy były rozrzucone po całej Polsce, i to tak, że trzeba było dobrze przyjrzeć się mapie, by znaleźć ojcowiznę. Gdybym chciał wam opowiedzieć całą prawdę o Żuku, to wszyscy, poza jego znajomymi, zarzuciliby mi, że nie da się mieć na koncie takiej liczby ulicznych bójek bez większego uszczerbku na zdrowiu. Musiałbym też wyznać to, co Artur powtarzał swym młodszym braciom. Zawsze, kiedy chcieli się dowiedzieć, gdzie dokładnie pracuje i co robi, mówił: „Dobrze, powiem wam, ale potem będę musiał was zabić. Chętni...?”. Potem zazwyczaj następował krótki, z góry skazany na przegraną sparing ze starszym bratem.

Dom, w którym dorastał Artur, pamiętał czasy I wojny światowej. Po śmierci drobnego przemysłowca produkującego zamki do walizek jego dziadek odkupił budynek razem z całą posiadłością. Chałupa zbita z desek – dziś niestety można ją zobaczyć tylko na zdjęciach – szumnie zwana była willą Paprotka. Nazwa romantyczna i miła, ale w zimowe poranki można było zdrapywać z szyb szron i bawić się, kto wydmucha z płuc większą chmurę pary. Jednak bywało i gorąco. Po wojnie normą było dokładanie lokatorów szczęśliwcom mającym nadmetraż, a że domek miał status willi, zakwaterowano w nim trzy rodziny o, jak by to delikatnie powiedzieć, dość szemranej reputacji. Nietrudno było więc o widok sąsiadów ganiających się z siekierą, a cała okolica była z tych, gdzie po zmroku niechętnie zapuszczała się nawet Milicja Obywatelska.

Z tego też powodu mały Arturek miał zakaz opuszczania podwórka, ale, jak to chłopak, lubił i chciał biegać, w niedzielne poranki budził więc rodziców, ganiając wkoło domu. „Bo ja lubię biegać i biegi trenuję” – tłumaczył. Poza tym był z niego dobry syn, oceny w szkole miał zadowalające, żadnej łobuzerki. Przełom nastąpił gdzieś w okolicach czternastego roku życia. Uprosił mamę, by pozwoliła mu pojechać na glinianki na nowym motorowerze. Okoliczne glinianki, pozostałość po zalany wodą wyrobisku, dawały możliwość ochłodzenia się w upalne popołudnie. Tego dnia matkę odwiedziła w rodzinnym domu milicja z informacją, że ma odebrać syna z posterunku. Owszem, syn do odbioru, ale motoroweru nie ma – został zabrany przez dwóch pijaczków, którzy chcieli złapać też Artura, ale wyparował – lubił i potrafił biegać, nie byli więc w stanie go dogonić. Po przyjeździe na glinianki milicjanci złapali opryszków: spektakularnie rzucili ich na maskę dużego fiata, a potem odwieźli na komisariat.

Może to był moment, w którym Artur zapalał miłością do sprawiedliwości i munduru? A może stało się to innym razem? Stara, przedwojenna willa – jak to często bywa – skrywała swoje tajemnice. Wieść niosła, że właściciel sąsiedniej posesji pomagał żołnierzom Armii Krajowej podczas okupacji niemieckiej, i ponoć dlatego piwnice obu domów zostały połączone podziemnym tunelem. Fakt, jedno z piwnicznych pomieszczeń wyglądało na bunkier, ale tam od czasów wojny nikt nie schodził. Kiedyś Artur nabrał nieodpartej chęci, by się zabawić w archeologa-grotolaza. Sprzymierzeńca znalazł w swoim ojcu. Po odgarnięciu sterty przechowywanych w bunkrze ziemniaków ich oczom ukazało się wejście do tunelu. Ojciec, bardzo zresztą rozsądnie, przywiązał synowi sznurek do kostki, ten zaś, uzbrojony w latarkę, wcisnął się w ciemny otwór. Czołgając się wśród pajęczyn, pokonywał na wprost spróchniałą ze starości drewnianą konstrukcję, by po kilku metrach dotrzeć do zasypanego ziemią i gruzem osuwiska. Jeszcze trochę pokopali, przebijając się przez warstwy ziemi, w końcu jednak ojciec zakazał dalszej eksploracji w obawie przed zawaleniem się

korytarza. I tak tajemnica tunelu nie została rozwiązana do dnia dzisiejszego. Być może miał on służyć żołnierzom AK, by w razie niemieckiego kotła mogli przedostać się do sąsiedniego domu, skąd było już blisko do lasu.

Jaki chłopak, a już zwłaszcza harcerz 141. drużyny harcerskiej „Czarne Chusty”, nie chciałby słuchać wspomnień taty z wojska? Tym bardziej że tato, który służył w 6. Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej, skakał ze spadochronem. Pewnie fajnie jest być synem żołnierza w czerwonym berecie, z plaketką spadochronową na ramieniu. Jednak to mama wbijała synowi do głowy, że nie może dawać się lać, choć gdy był młodszy, zabraniała wszelkich bójek. A mamy trzeba słuchać – matka wszak jest tylko jedna. Żeby więc nigdy nie dać się zgnębić silniejszemu, Artur zaczął chodzić na zajęcia kickboxingu. Dobrze boksował, słabiej kopał ze względu rozwalone biodro. Dopóki Marcin, młodszy o cztery lata brat, dawał się lać, wciąż toczyli domowe pojedynki.



Żuku

Dziecięce lata przeminęły dosyć szybko i nikt już Artura nie bił – a jeśli zdarzyło się, że ktoś zbyt się zagalopował, nacinał się okrutnie na niepozornie wyglądającego blondynka z miłą buzią. Żuku był w stanie pogodzić w jednym ciele duszę rozrabiaki i troskliwego brata. W domu chętnie pomagał, nawet młodszemu o jedenaście lat Przemkowi zmieniał pieluchy, a w serce Marcina wlewał harcerskie wartości, zabierając go ze sobą na rajdy. Na ulicy natomiast był nieustraszony – pecha mieli agresorzy, pewni, że blondynek pokaże im plecy, uciekając. Był typem człowieka, który się nie cackał. Przemka kładł spać, Marcina zamykał w tapczanie

i już miał wolny wieczór, by trenować. Ja, niestety, nie miałem tak dobrze – dzisiaj co prawda z uśmiechem wspominam swoje wieczne konflikty ze starszymi siostrami, ale wtedy, przyciśnięty pod kołdrą, swoje musiałem odsiedzieć.

Żuku wcale nie wyrywał się do wojska. Najpierw łapał się wszelkich pomysłów, by wywinąć się od pójścia w kamasze. Na komisję stawiał się w gipsie od kostki po pas, założonym w celu leczenia zerwanych więzadeł. Potem go ściągał, ale gips zawsze czekał w gotowości. Nikt zbytnio do pokomunistycznego syfu – tak się wtedy o wojsku mówiło – nie chciał iść, a gips służył tylko jako rekwizyt na czas kolejnej lekarsko-wojskowej wizyty. Jak iść do wojska, to do porządnego, a nie gdzieś, gdzie będzie się trepom mieszkania malować. Dobrym miejscem wydawały się nadwiślańskie jednostki wojskowe, podlegające pod Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Żeby się tam dostać, trzeba było mieć chody – kumpel wujka załatwił więc Arturowi spotkanie z oficerem, który „mógł móc”. Jakież było zdziwienie naszego bohatera, gdy okazało się, że to ten sam, u którego wcześniej ściemniał na potęgę, żeby do wojska nie iść.

Przysięgę złożył w Raduczy, gdzie znajdował się Ośrodek Szkolenia Poligonowego. Przy tej okazji zaszczyt spadł na ojca, który – jako zasłużony żołnierz – miał odczytać mowę na tę okoliczność. Wieść niesie, że było to bardzo długie i chwytające za serce przemówienie. Z nadwiślańskich do GROM-u było już w miarę blisko, bo to samo Ministerstwo, a nawet te same koszary przy ulicy Podchorążych. Żuku nie zrezygnował z trenowania kickboxingu, niebawem więc dostało się tym, co chcieli dojechać młodemu fałą, przez co niestety Artur musiał się stamtąd szybko wymiksować. Zanim przeszedł do Firmy, miał już za sobą niezły szlak bojowy – warszawskie ulice nie były wtedy zbyt przyjazne, a Dworzec Wileński tym bardziej. Łatwo tam było o bijatykę, trudniej zaś o interwencję policji – bandyci robili, co chcieli. Pewnego razu Żuku wracał z kolegą po nocce (dorabiał wtedy w ochronie). Godzina wczesna, dworzec prawie pusty, nie licząc kilku typów. Jeden z nich

miał konkretną łapę w bicepsie – od razu widać, że zawodnik – i niewesołą gębę. Kiedy Artur i jego kolega mijali grupkę, odwróconą do nich tyłem drab nagle cofnął się o krok i plecami pchnął Żuka na wagon. Kolega wsiadł do pociągu, nie widząc, co się dzieje, a Żuku odwrócił się błyskawicznie i sprytnym haczykiem z półobrotu trafił potężnego typa idealnie w punkt – gość fik i leży. Reszta trochę osłupiała, że takiego osiłka jednym strzałem zważył z nóg. Rzucił się drugi, a tu powtórka z rozrywki: celny strzał w podbródek i cwaniaczek padł na peron. Trzeci w kolejce odskoczył w tył i sięgnął ręką za pasek, strasząc, że ma nóż. Żuku momentalnie złapał dystans, żeby nie nadzieć się na kosę, ale gość blefował, wystawił pustą rękę. Wtedy Artur trafił go prostym tak, że cztery zęby rozsypały się po peronie jak paciorki. Pozostałym ochota do walki z niepozornym blondynkiem przeszła jak ręką odjął.

Po rozwiązaniu Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych GROM zasiliło wielu wartościowych chłopaków. Żuka spotkałem na selekcji; dwa lata starszy ode mnie dwudziestosześcioletni chłopak wydawał się idealnym kandydatem. Sprawny, dojrzały, z dużą pokorą. Z selekcji właściwie go nie pamiętam: wybiegał przede mną i nie pozwalał się dogonić. Poznałem go dopiero w Firmie, pod jego okiem stawiałem pierwsze bokerskie kroki. Był dobrym nauczycielem. Na kursie podstawowym uwielbiałem ćwiczyć w parze z dwoma kolegami – właśnie z Żukiem i ze Starym; wyciskaliśmy z siebie pot na maksa. Podobnie poznałem Kaśkę – wspólna selekcja, część pierwszego kursu podstawowego, ale obaj na tym pierwszym kursie zostali, a ja trafiłem do nich na oddział po dwóch latach. W Firmie mogliśmy się bezkarnie łąć na zajęciach, ale na zewnątrz trzeba już było trzymać fason – ale wytłumacz to warszawiakowi i utrzymaj go w ryzach!

Firma ochraniała raz Air Show w Radomiu. Gościem honorowym był prezydent Aleksander Kwaśniewski. Chłopaków zakwaterowano w koszarowcu razem z żandarmerią wojskową. A kto lubi żandarmów, no kto? Żuku był „jednostrzałowcem” – strzelał tylko raz, ale tak celnie, że przeciwnik tylko kopytami w powietrzu klasnął

i już po walce. Było też po robocie, bo z samego rana chłopakom rozkazano się spakować i, jak to w wojsku, trochę smrodu było. Okazało się, że ktoś się komuś poskarżył jak baba i skończyło się jazdą na szmacie, czyli półrocznym sprzętaniem zespołu i banicją do plutonu ochrony.



Ulubione zdjęcie brata Artura, można z niego odczytać datę i godzinę

Ale przyszła wojna, a na wojnie akurat takich chojraków potrzeba, więc banicja na komendzie się skończyła. Dziewięćmiesięczny pobyt w Afganistanie pozwolił Arturowi nabrać doświadczenia w międzynarodowym towarzystwie i pierwszy raz otrzeć się o wojnę. To on ratował Adasiowi nogę podczas górskiego patrolu – dawniej nie cofał się na widok bandy na ulicy, także tu nawet się nie zawahał, choć było jeszcze groźniej. Po

powrocie do Polski miał krótką chwilę na przepakowanie się i spotkałem go w bazie przejściowej gdzieś w Kuwejcie. Zostawili po sobie w Iraku kawał dobrej roboty, ale też całkiem sporo wesołych historii.

Amerykańskie wojsko pozostawia młodym żołnierzom – i żołnierkom – sporą swobodę co do ich stylu bycia i zachowania. Tam w obecności starszego stopniem można się śmiać. Czy wojna, czy pokój, młody człowiek lubi się bawić, tańczyć i wygłupiać. Przypomnijcie sobie historie z Powstania Warszawskiego – ile w ten okrutny, burzliwy czas zawarto ślubów, ile odbyło się potańcówek i koncertów muzycznych. I tak właśnie toczyło się życie w bazach amerykańskich: były kina, restauracje, organizowano zawody, kursy tańca i potańcówki.



Dzieciaki Igną do żołnierzy – tym razem pewnie dostały od Żuka jakieś łakocie

Żuku podobał się kobietom – i choć w amerykańskim wojsku na każdym kroku tępiono amory poprzez *sexual harassment* i tym podobne wykroczenia, cieszył się wśród płci przeciwnej nieustającym powodzeniem. Amerykanie traktują *sexual harassment* śmiertelnie poważnie – miałem okazję się o tym przekonać już podczas mojego pierwszego pobytu w Iraku i od tego czasu od bab trzymałem się z daleka, bo można było zostać oskarżonym o nierówne traktowanie kobiet, nawet gdy puściło się przodem dziewczynę w mundurze, otwierając jej drzwi. Choć Drago miał na to inny pogląd. „Ej, Paweł” – mówił – „one tu sobie ubzdurały, że mają *golden pussy*, i myślą, że my wszyscy na nie lecimy, dlatego przyszły do wojska”. Może zresztą coś w tym jest.

Byłem świadkiem takiej sceny: do wielkiej stołówki w Camp Victory przyjechali nasi pałacowi, czyli druga część GROM-u, mieszkająca w posaddamowskim pałacu na wzgórzu nad Camp Pozzi. Zajęte dotąd głównie sobą dziewczyny zamarły, a przez stołówkę przebiegło zbiorowe westchnienie... Co u licha? Odwracam się, a tu drzwi się otworzyły i wraz z promieniami porannego słońca wpadło do środka trzech młodych bogów: Kaśka, Żuku i Piotruś. Cywilki, karabinek M4, blond włosy – istni chłopcy malowani; na zew natury nie pomoże żaden, choćby najsurowszy wojskowy regulamin.

Ale dziewczyny nie miały z nami lekko, nawet gdy na jedną przypadła ze dwudziestu chłopa. Stoję razem z Żukiem któregoś wieczora na potańcówce w Camp Victory, taksujemy wzrokiem zgrabne żołnierki – może za to nas nie zamkną; angielski słaby, więc na pogawedkę nie ma szans, a tu podchodzi do nas śliczna Latynoska. Zgrabny nosek, usteczka, niewinny wzrok; ubrana w wojskowe spodnie, bez bluzy, tylko koszulka ściśle opina jędrne piersi, i dziewczyna przekrzykując muzykę, woła do Żuka: *Let's dance!* Żuku patrzy na dziewczynę, uśmiecha się i... może nie uwierzycie, ale powiedział wtedy: *I'm not a dancer, I'm a fighter.*

5.3 – Kaśka

Krzysiek, a raczej Kaśka, dorastał tak jak ja na przedmieściu, może dlatego tak dobrze się rozumieliśmy. Ile trzeba było przeskoczyć płotów w pogoni za piłką, która lądowała w grządkach z sałatą, to tylko ja pamiętam. I ten wieczny wyścig, żeby być szybszym od sąsiada, a przy tym nie połamać badyli porów... czasem jakiś zdobyczny się ze sobą przy okazji przyniosło. Nasze lata dzieciństwa i dorastanie były bardzo do siebie podobne. Nieważne, czy mieszkało się na przedmieściach Wrocławia, Warszawy czy Raciborza: gra w piłkę, trzepak, podchody, no i skakanie po budowach odróżniało maminsynków od kwiatu rycerstwa z wiecznie zdartymi kolanami.

Krzysiek w szkole podstawowej należał do harcerstwa, a wycieczki do lasu i wyjazdy w pobliskie góry kształtowały młody charakter i rozwinęły w nim zamiłowanie do przygód. Zapracowani, ale kochający rodzice starali się wychować syna i córkę najlepiej, jak potrafili. Krzysiek oczywiście też ich kochał i szanował, ale równie ważne miejsce w jego życiu zajmowała babcia, która poświęcała mu bardzo dużo czasu, była dla niego bardzo dobra i czuła. To dzięki niej, mieszkając na tak zwanych ziemiach odzyskanych, jak wtedy mawiano o naszych zachodnich rubieżach, poznawał prawdziwą historię Polski. Myślę, że mimowolnie ukierunkowała go, zaszczipiając mu hasło „Bóg, honor, ojczyzna”. Krzysiek słuchał jej opowieści, a potem ganiał z kolegami po podwórkach i godzinami bawili się w żołnierzy, uzbrojeni w odpowiednie kije udające pistolety i karabiny. Jako mieszkaniec Wrocławia Kaśka właściwie nie miał wyjścia, po prostu musiał spełnić swoje dziecięce marzenia

i zostać żołnierzem. Tym, którzy nie wiedzą, wyjaśnię, że Wrocław – poza Panoramą Raławicką – słynie ze szkoły, w której wykuwało się latami utalentowaną kadrę wojska w postaci inżynierów pola walki w stopniu podporucznika, najpierw w Ludowym Wojsku Polskim, potem – w Wojsku Polskim.

Nim jednak Kaśka dostał się na uczelnię, obleganą przez ambitną młodzież z całego kraju, czekała go matura, poprzedził ją dużo bardziej od niej wyczekiwany bal, czyli studniówka. Jak by to rzec... kandydatek do poloneza było wiele, ale błysk w oku Krzyśka, jego pewność siebie i szarmanckie zachowanie sprawiły, że Sylwia już po pierwszym spotkaniu zdecydowała: Mój tyś! Mój tyś i basta, niczym Oleńka z *Potopu*. Krzysiek został jej Kmicicem, którego już z ramion nie wypuściła. Twardziel, zawsze pewny siebie, gotowy na wszystko, całym buńczucznym sercem pokochał spokojną, ładną, rozsądną dziewczynę. Spotkały się ogień i woda.

Wyższa Szkoła Oficerska im. Tadeusza Kościuszki nie cackała się ze swoimi podchorążymi. Unitarka nieźle dawała w kość, potem zaczęły się szkolenia hartujące młody organizm; wojskowe życie przeplatało się z nauką, zaliczało się kolokwium, a potem wracało na poligon i na wartę. Krzysiek doskonale dawał sobie radę z każdym zadaniem, do którego się zabierał – po prostu wszystko robił dobrze. Trzeba było grać w tenisa ziemnego – to grał; kiedy mu zamieniono rakiety na raketkę do ping ponga, też nie odpuszczał; jeździł na nartach – nie było górki, z której by nie zjechał. Jazdę na łyżwach też miał perfekcyjnie opanowaną. Tak zwany Zmech pozwalał podchorążym realizować zainteresowania – jak więc nie uczestniczyć w zajęciach z walki wręcz, gdy pojawiła się taka możliwość? Kickboxing okazał się tym, czego Kaśce do szczęścia brakowało.



Kaśka

Jadąc na selekcję w 1998 roku, uważałem się za świetnie przygotowanego biegacza – mimo kontuzji ścięgien Achillesa osiągałem dobre wyniki, jednak kto inny okazał się najlepszy. Na dystansie trzech kilometrów prowadziłem w zasadzie od startu, wyprzedził mnie przed metą tylko jeden chłopak – był to właśnie Krzysiek, dlatego już na samym początku naszej GROM-owej kariery dobrze go zapamiętałem. Kaśka przyjechał na selekcję jako student, był na czwartym roku. Chłopaki ze Zmechu początkowo trzymały się razem, wiedziały nieco więcej od pozostałych o tym, co nas czeka i jak działa jednostka, do której chcemy się dostać, ale, z tego, co pamiętam, choć grupa ze Zmechu była spora, selekcję przeszli wtedy tylko Krzysiek, Michał i Artur. Na selekcji nie liczy się, jaki masz stopień, każdy tak samo reagował na zdradziecką woń pieczonej kiełbasy.

Uczelnia, o której piszę, zasługuje na krótką dygresję. Poza licznymi „gruszkami betonu” wydała ona także wielu świetnych oficerów, z którymi ramię w ramię służyłem, pracowałem, walczyłem, niejednokrotnie ucząc się od nich wojskowego rzemiosła, nie tylko w GROM-ie, ale i poza nim. Szacun, Panowie, że nie daliście się zabetonować skostniałemu systemowi. Co więcej, ci, którzy ukończyli szkoły wojskowe, kształcili się dalej, inżynier pola walki musiał bowiem uzupełnić wykształcenie i zostać magistrem, aby awansować do stopnia kapitana czy majora. Ci absolwenci szkół wojskowych byli i są ambitnymi facetami – żołnierzami w najlepszym tego słowa znaczeniu, o rozsądnym podejściu do kariery wojskowej. Nam... Może raczej wypowiem się o sobie: mnie na początku drogi takiej ambicji brakowało. Owszem, dostałem się do GROM-u, ale wciąż niewystarczająco wierzyłem w siebie. To dzięki takim chłopakom jak Krzysiek czy Michał zrozumiałem, że chcieć to móc. Szkoda tylko, że takich jak oni po wojskowych uczelniach była taczka, a na kraj szły całe kolumny ciężarówek betonu.

W Firmie nikogo nie dziwiło, że ktoś w zespole zakuwa nocą do egzaminów czy przekłada karteczki, ucząc się języka obcego. Zapal do nauki i uzupełniania wykształcenia był powszechny. Widok kumpla uczącego się nocami był dla nas siłą napędową i inspiracją. Patrząc na siebie nawzajem, podnosiliśmy sobie poprzeczkę. Niejeden uznał wtedy, że skoro koledzy studiują, to może warto wziąć tego byka za rogi – i tak, poza taktyką, strzelaniem i naszą GROM-ową robotą, zaczęliśmy rozwijać się na płaszczyźnie naukowej. Z czasem okazało się, że w naszym oddziale bojowym mało który z chłopaków ostał się bez tytułu magistra, a i paru doktorów by się znalazło.

Pierwszy duży kurs podstawowy, który rozpoczął się w 1998 roku, okazał się dla Kaśki szczęśliwy – ostał się na nim. Mnie jednostkowe zawirowania kazały poczekać i po niespełna dwóch latach spotkaliśmy się w tym samym zespole bojowym A. Miałem już wtedy zdrowe ścięgna Achillesa i tylko jeden rywal – biegacz niemalże

zawodowy – był w stanie zostawić mnie w tyle. Jednostka obfitowała w sportowe talenty: jedni biegali, inni pływali tak, że na mistrzostwach Polski mieliby szansę otrzeć się o pudło, przeważali zaś tacy, którzy potrafili się świetnie tłuc we wszystkich możliwych stylach walki. Jedno łączyło nas na pewno: wszyscy jak jeden mąż mieliśmy pozdzierane od dzieciństwa kolana. Maminsynków w Firmie nie spotkałem.

Podobne wiatry przywiały nas do Warszawy. Z nami przyjechały nasze żony i dziewczyny. Towarzyszyły nam wiernie, często kosztem własnej kariery i rozwoju zawodowego. Musiały też znosić popisy swoich macho i choć dziś nasze wspomnienia wydają się zabawne, wtedy pewnie nieraz chciało im się raczej płakać. Pamiętam historię, którą opowiedział mi Krzysiek o pewnym swoim weekendowym wyczynie.

Kaśka, jak to żołnierz, a tym bardziej oficer, mundurów miała kilka, ale poza robotą trzeba było czasami też pokazać się w cywilu – a już szczególnie elegancko należało się zaprezentować na weselu jednej z czterech przyjaciółek Sylwii. Podróż samochodem do Giżycka, gdzie miała się odbyć uroczystość, minęła sympatycznie, potem było trochę szaleństwa z kupnem garnituru dla Kaśki – zadanie nie lada, bo klatę miał mocno rozbudowaną. Na szczęście się udało: beżowy garnitur okazał się idealny, jak szyty na miarę, a Krzysiek wyglądał w nim świetnie, „chłopczyk jak walczyk”, nic dodać, nic ująć.

Wesele odbyło się 3 czerwca w pięknym ośrodku nad samym jeziorem. Pogoda była piękna. Jak to na polskim weselichu, po smacznym wystawnym obiedzie wszyscy poszli w tango. Choć na Zmechu tańca nie uczyli, Krzyśkowi, jak sam o sobie mówił, muzyka w tańcu nie przeszkadzała, zabawa rozkręciła się więc na całego, zwłaszcza że kapela grała całkiem niezłe weselne hity. Kaśka rozszalał się tak, że podczas jednej z figur – wysoko zresztą ocenionej przez gości obserwujących taneczne popisy – nowiutkie spodnie od idealnego beżowego garnituru nie wytrzymały pląsów i trach! Pękły na samym środku tyłka, odkrywając kolorowe slipki.

Było trochę śmiechu. Krzysiek stwierdził, że skoczy przebrać się w dżinsy i zaraz wraca, by bawić się dalej... taki przynajmniej był plan. Do hotelu było blisko.

Po ponadgodzinnym oczekiwaniu Sylwia, która dobrze znała swojego męża, wiedziała już, że spotkała go jakaś przygoda. Rzeczywistość przerosła jej przypuszczenia... Na widok szanownego małżonka omal nie zemdlą. Niebieskie dżinsy całe mokre, w paskudnych plamach po świeżo zmytym błocie, biała koszula wprawdzie czysta, ale twarz lekko zakrwawiona, bo świeże otarcia nie zdążyły jeszcze zakrzepnąć, ręka zwisa dziwnie nieruchomo... Pamiątką tego dnia jest zdjęcie rentgenowskie stłuczonego barku. Krzysiek wyglądał naprawdę nieciekawie. Wesele się dla nich skończyło – nawet najcierpliwsza z żon wpadłaby we wściekłość, widząc ukochanego w takim stanie podczas wesela najlepszej przyjaciółki.

Co takiego się przytrafiło? Opowiedział mi Kaśka (a miał, skubany, dar opowiadania, przy czym uwielbiał swoje relacje przeplatać cytatami z ulubionych filmów, takich jak *Rejs* czy *Sami swoi*) w poniedziałkowy poranek, zaraz po powrocie z wesela do roboty:

Wyglądam, jak wyglądam, ale przygodę miałem niezłą, i to w pięknych okolicznościach przyrody. Spodnie pękły mi na dupie, a nie mogłem przecież na parkiecie brylować z majtami na wierzchu; w końcu, wiadomo, nie byłem tam dla przyjemności, tylko musiałem salę rozruszać, skoczyłem więc szybko do hotelu, żeby się przebrać. Rozumiesz, założę dżinsy, a koszula i marynarka zostaną, więc będzie można się dalej kulturalnie w towarzystwie bawić. Przebrałem się i wychodzę z hotelu, trochę mi się śpieszy, orkiestra na mnie czekać nie będzie. Jak wiesz, jest taka zasada, że najpierw się w drzwiach przepuszcza wychodzących, a dopiero potem wchodzi. Jakiś koleś, widząc, że się spieszę, trochę dla żartów, a trochę na serio zaczął przepychać się ze mną w hotelowych drzwiach, wesolek jeden. Pierdolnąłem go lekko w ramię, żeby przejść, i tyle, lecę się

bawić, ale ten odburknął do mnie: „Spierdalaj stąd w podskokach, frajerze!”. Że co? Do kogo ta gadka? Szybko przeszliśmy od słów do czynów. Stał wyżej na schodach, trochę nietaktycznie, ale jak się cofnąłem, chciał mi sprzedać kopa – prawie mu się udało, ale lecąc na plecy, złapałem go za nogę i wylądowaliśmy razem na ziemi. Zaczęło się napażanie... to ja go napierdalałem, to on mnie tłucze po głowie i chce mi założyć dźwignię; powiem ci tyle, że gość potrafił się bić. I tak się tarzamy po ziemi, nie zważając na ludzi; na chwilę nawet udało mi się wstać, żeby z nim w stójce powalczyć, ale, jak to na ulicy, bijatyka się kończy zazwyczaj na ziemi. Walczyliśmy zażarcie jak Pawlak z Kargulem, trochę się poturlaliśmy po chodniku, po czym wpadliśmy do pobliskiego rowu; nie wiem, ile to wszystko trwało. Dziwię się, że policja nie przyjechała, walka była tak zajadła, że nikt nawet nie próbował nas rozdzielić, koleś kawał chłopa i silny. Już prawie go miałem, bo mu ze dwa razy dobrze z bańki zajechałem, ale nie odpuszczał – w końcu po prostu obaj opadliśmy z sił po przydługim klinczu. Byłem zły jak cholera, że kolesiovi nie mogę dać rady, ale czułem, że i on bardzo osłabł, obu nam zabrakło pary. Skończyło się tak, że siedzieliśmy przez jakąś chwilę na ziemi obok siebie, sapiąc z wysiłku, aż w końcu słyszę: „Dobry jesteś i umiesz się bić”. Co mu miałem odpowiedzieć? „Ty też”. I tak żeśmy się rozstali. Poszedłem z powrotem do hotelowego pokoju, trochę obmyłem spodnie, zmieniłem koszulę na czystą – marynarka już się do niczego nie nadawała – i wróciłem na wesele. Jak mnie Sylwia zobaczyła, to nawet gadać ze mną nie chciała... A zresztą ja już na tańce tego wieczoru sił nie miałem. A teraz lecę na rentgen barku, bo po tym upadku mnie boli jak cholera, ledwo kierownicą kręciłem, ale dam radę i na zajęcia jadę, czekajcie tu na mnie.

Teraz ta historia może was rozśmieszyć, ale nie wątpię, że po takich popisach naszym dziewczynom nieraz było bliżej do łez niż do śmiechu. Te, które zgodziły się zostać naszymi wybrankami,

musiały wykazać się siłą charakteru, bo powiedzenie „do tańca i do różańca” braliśmy w życiu na poważnie. A one były i są dla nas bohaterkami.

6

CO Z TYM PTSD?

Pożegnanie Navy SEAL Team 7 urządziliśmy w typowo amerykańskim stylu, oczywiście z polskim akcentem. Barbecue z żeberkami na dziesięć sposobów, od cholery hamburgerów, sałatki, trochę piwa i sody chłodziło się w wielkiej wannie z lodem... będzie bal. Zebraliśmy się jak jedna rodzina – kilka przemów, z jednej i drugiej strony wręczane dyplomy, wymiana coinów, bluz, spodni, koszulek i czapeczek: co kto miał, chętnie wymieniał, by pozostawić po sobie pamiątkę, ale też mieć coś dla siebie, żeby z sentymentem, ale i dumą wspominać, już w domowym zaciszu, wspólny dobry czas. Cholera, pamiętam, że za kompletny mundur dostałem oryginalne SEALsowskie płetwy Jet Fin, niesamowity skarb, a do tego niezwykle użyteczny. Za płotem rozejm, można się trochę wyluzować, a nawet zaprosić Jacka D. na wspólną pogawędkę, więc i angielski jakiś łatwiejszy.

Party rozkręciło się na całego, nastał zmrok... luźne rozmowy w pewnej chwili przerwało spore zamieszanie. SEALsi narzucili jednemu ze swoich młodych chłopaków worek na głowę, owiązali go czarną taśmą i wcisnęli do wanny z lodem jak puszkę z sodą i dokuczają biedakowi. Ten się rzuca i zawodzi, a reszta dokazuje coraz ostrzej. Niby jest wesoło, ale nam – jemu raczej nie... Opadł z sił, więc na koniec polewają go strumieniem ciepłej wody, ciesząc się, że pewnie chłopak myśli, że cały team na niego leje, gruba zabawa. Na sygnał nagle odskoczyli i rozpierzchli się po bazie. Zostaliśmy tylko my i niemieszający się w nic Chief Tom, który siedział w fotelu, beznamiętnie obserwując wszystko z boku; nawet Drago gdzieś na chwilę przepadł.

Facet wstał – był z niego kawał chłopca. Oswobodził się z taśmy, ściągnął z głowy worek i zmierzył nas tak nienawistnym spojrzeniem, że serio miałem wrażenie, że wszystkich pozabija. Był

maksymalnie nabuzowany, a jednocześnie cholernie rozczarowany, że nie ma kogo lać – staliśmy przed nim tylko my, bardzo zdziwieni całą sytuacją. Złapał krzesło i pierdolnął nim porządnie o podłogę, zawył jak zranione dzikie zwierzę, wściekły na cały świat. Wtedy podszedł do niego Tom, chwilę z nim porozmawiał i objął go po ojcowsku. Tamten ze złości to zaciskał pięści, to je na chwilę rozluźniał, prostując przekrwione palce. Gdyby w tamtej chwili złapał w te swoje wielkie łapy któregoś z SEALSów, byłoby z nim krucho. Jesteście pewnie ciekawi, co mu powiedział Tom? A to takie proste. Wytłumaczył mu, że im bardziej jest lubiany i ceniony w teamie, tym mocniejszy jest chrzest i teraz może się już w pełni czuć Navy SEALsem. W oku chłopaka zgasła złość, a błysnęła dumna łza.

Dla rozładowania atmosfery jakimś cudem także Michał wylądował w wannie – on jako jedyny z naszej sekcji jeszcze nie był w Iraku, ale u nas takie chłopięce gry i zabawy nie były w modzie. Ten, kto przeszedł selekcję i kurs podstawowy, był już nasz, bieszczadzka próba i wymagający kurs są wystarczającym testem, by stać się współczesnym cichociemnym.



**Nic tak nie cementuje przyjaźni jak wspólna ciężka robota,
a w naszym przypadku robota na wojnie: Naval, Tylut i nasi bracia
z Navy SEALs**

Po chwili jeden z SEALsów przyniósł butelkę whisky, podśmiewając się, że słyszał legendy o tym, jak to Polacy potrafią dużo wypić.

– Pewnie, że potrafią – odparował Janek. – Pokaż no tę flaszkę.

I wyciągnął rękę. Zaczepka SEALsa trafiła na podatny grunt. Janek dostawił butelkę do ust, przechylił i ciągnął płynnie jak niemowlę z cyca; jankesowi było wesoło – do chwili, gdy w butelce została połowa wybornego trunku. Teraz żal mu się zrobiło, że nawet nie zakosztuje zacnego nektaru, i zaczął krzyczeć, że hola, hola, wierzę, stop, uf, uf, uff. Janek zostawił nam coś do spróbowania na dzień. I tyle było z podśmiewania się i stereotypów. Zresztą, Janek nie raz zadziwił wszystkich możliwościami swojego żołądka. Ponoć kiedyś gdzieś ktoś płacił 20 dolców za to, żeby po zjedzeniu opakowania wafli z klasycznej MRE (amerykańskiej racji żywnościowej) gwizdnąć, bo ponoć nie da się tego zrobić wcześniej niż po upływie

co najmniej dwóch minut. Janek oczywiście zjadł i zagwizdał, ale chętnych do płacenia nie było. Innym razem przysła dostawa budyniu w pięciolitrowych puszkach, właśnie wróciliśmy z lunchu, a wraz z budyniem nadeszła plotka, że płacą 100 dolców za zjedzenie całej puszki w godzinę. No to Janek przysiadł do deseru i w czterdzieści pięć minut wrębał prawie całą puszkę. Płatnicy jednak szybko się wycofali, a on był już wcześniej po obfitym lunchu, tym razem więc nie dokończył smakołyku. Skuteczność Janka sprawiła, że skończyło się wymyślanie wyzwania w jego obecności, bo dla chłopaka z Bieszczad nie było rzeczy niemożliwych.

Młodzi ludzie lubią się bawić, śmiać; w takich chwilach schodziło z nas powietrze. Śmiech, a czasami i głupie pomysły o wiele lepiej łagodziły nasze wojenne przeżycia niż rozmowa z psychologiem po powrocie do kraju. W tym przypadku sprawdzało się powiedzenie, że śmiech to zdrowie, a przebywanie wśród przyjaciół też robiło swoje. Cokolwiek by się działo, wspieraliśmy się wzajemnie: lepiej walczy się za przyjaciela niż za dowódcę, żaden rozkaz wtedy nie jest potrzebny, a po ciężkiej robocie nikt nie pozostawał sam z myślami. Czy można kochać taką robotę? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Ale na pewno można pokochać ludzi, z którymi się pracuje, i tęsknić za atmosferą panującą w takich miejscach jak Camp Pozzi.

Ale PTSD wśród żołnierzy występuje. Nie można go bagatelizować i nie należy żołnierzy weteranów pozostawiać samym sobie w myśl zasady, że jak ciało zdrowe, to reszta sobie jakoś poradzi.

6.1 – Perfekcyjnie skuteczni

Nie ma nic gorszego niż sytuacja, w której do roboty wdziera się rutyna. Często o tym rozmawialiśmy, właściwie po każdej naszej akcji, bo za każdym razem stąpaliśmy po kruchym lodzie, a w takich chwilach naprawdę łatwo jest przekroczyć „cienką czerwoną linię”. Każda robota to nowe doświadczenie i przesunięcie tej linii o kolejny centymetr. Na jednej z robót z marszu zrobiliśmy kolejny cel; spłynęły na nas słowa uznania za odwagę i wielu poklepywało nas po plecach. Innym razem gość z wywiadu zdobył ponoć na obiekcie tak wiarygodne informacje, że aż się prosiło, by zaatakować z marszu dwa kolejne, sąsiadujące z nami cele. Nasi dowódcy szturmowi z GROM-em i Navy SEALs przeprowadzili szybką analizę ryzyka i tamtej nocy zrobiliśmy razem trzy obiekty, co więcej, wszystkie były trafione; ot, takie szczęście, że sąsiedzi idealnie się dobrali i mieli mocny sen. Czy coś jeszcze mogło nas zaskoczyć? Tych naszych doświadczeń było naprawdę sporo...

Ale kolejna robota okazała się dużym wyzwaniem, takiego zadania poza treningiem jeszcze nie mieliśmy. Obiektem do zrobienia okazał się kilkupiętrowy blok, całe szczęście nie cały. SEALsi nie mieli doświadczenia w walce w tego typu miejscach; my, dzięki naszym poradzieckim „leningradom” – spore, tylko treningowe, ale to zawsze coś. Rosjanie pozostawili po sobie całe osiedle kilkupiętrowych bloków, szpital, kino, szkołę, mieliśmy więc gdzie ćwiczyć miejską taktykę, a mnie nie było obce wysadzanie drzwi w takich budynkach.

Irackie wieżowce niewiele różniły się od naszych budowanych tradycyjną techniką z wielkiej płyty w latach siedemdziesiątych, ale

czy polski trening przygotował nas dobrze do działania na blokowisku gdzieś na wrogim terenie w Iraku? To jednak spora różnica, czy pracujesz u siebie, czy operacja prowadzona jest w miejscu, gdzie w zasadzie z każdego okna może paść strzał. Dodatkową trudnością było to, że mieliśmy jednocześnie zaatakować dwa mieszkania w tej samej klatce, jedno pod drugim. Blok stał na osiedlu, jakich i u nas wiele, z mnóstwem zakamarków i niewiadomych. Nie musiałem długo przekonywać SEALsowego breachera, by użył naszych materiałów wybuchowych; mając jego aprobatę, mogliśmy zacząć planować operację zgodnie z naszymi „leningradzkimi” doświadczeniami.

W swojej działce miałem jedną niewiadomą: wysadzając na „leningradach”, zawsze staraliśmy się pootwierać okna na klatkach schodowych, by ciśnienie miało ujście, bez szkody dla bębenków w naszych uszach i szyb w oknach; tu nie będzie takiej możliwości. Po naszym głośnym kawaleryjskim wjeździe w takie blokowe osiedle obudzony przeciwnik mógłby nas pewnie zarzucić czapkami, bo przecież nie mamy pojęcia, kto mieszka w tych kilkuset mieszkaniach, dopóki więc będzie to możliwe, musimy zachować ciszę i niepostrzeżenie przedostać się do klatki schodowej. Tak też zrobiliśmy.



Wspólny trening EOD

Prozaiczne czynności – otwarcie głównych drzwi i wejście na klatkę – to dla nas wyczekiwanie i moment niepewności. Czy na pewno kod do domofonu podany przez gościa z wywiadu otworzy nam przejście? Czuję się trochę jak w grze komputerowej, kiedy docierasz do momentu, gdzie czeka na ciebie zadanie, a nagrodą jest przejście na kolejny poziom; szkoda tylko, że tu, w realu, nie można mieć dodatkowego życia.

W środku, na tym kolejnym poziomie, pojawia się pokusa, żeby podejść na czwarte piętro windą, w oczach każdego z nas widać uśmiech, bo każdy, przechodząc obok drzwi, wpadł na ten sam pomysł – ale nie ma tak dobrze, trzeba się tłuc z całym majdanem po schodach. Staramy się płynnie pokonywać kolejne piętra. Niby klatka schodowa jest szeroka, ale ciężko iść środkiem, kiedy używa się noktowizora. Noktowizor przybliży obraz, przez co trochę

oszukuje mózg – dziwnie się idzie po schodach, bo stopy napotykają kolejne schodki nie w tych miejscach, w których oczy je widzą. W ciszy słyhać tylko przyspieszone oddechy – tak, my też się męczymy.



**Porównanie ładunków używanych do otwarcia tych samych drzwi:
po lewej nasz, po prawej amerykański; nasz mniejszy i w tym
przypadku skuteczniejszy**

Doszedłem, ale czy to na pewno te drzwi? Zdjęcie było zrobione za dnia i przedstawiało takie zwykłe, standardowe brązowe drzwi – oglądane teraz przez noktowizor wydają się jeszcze bardziej nijakie. Tak, nie pomyliłem się, to musi być tutaj, to na pewno czwarte piętro; liczyłem dokładnie, kłamka i zamki się zgadzają... tyle że w drzwiach mijanych po drodze też się zgadzały. W takiej sytuacji wiesz, że możesz liczyć na kumpli, że ktoś potwierdzi słuszność

wyboru miejsca wysadzania. Szeptem pytam, czy to tu. Chwila ciszy, po czym słyszę zza pleców wyborną odpowiedź: „chyba tak”. Z naciskiem na „chyba”. No to, mi, kurwa, pomógł.



Można też i tak wysadzić drzwi

No nic, robimy! Po założeniu ładunku na swoich drzwiach spotykam się na półpiętrze z SEALsowym breacherem, tak jak to było ustalone podczas planowania. Słyszę jego szept:

– *Naval, are you sure?*

Co mogłem mu odpowiedzieć?

– *I hope so.* – Teraz to ja mu pewnie wspaniale pomogłem, bo słyszę tylko, że westchnął i cmoknął soczyste polskie „kurwa”.

Każdy z nas po swoim kanale radiowym podaje gotowość do wysadzania. Gotowość, gotowość, słyszę odliczanie, 3, 2, 1, *fire in hole...* Nonel w moich dłoniach zadziałał płynnie, pierdolnęło

naprawdę zdrowo na obu piętrach jednocześnie. Poszedł taki pogłos wysadzanych drzwi w zamkniętej przestrzeni klatki schodowej, że nie ma już sensu zachowywać się cicho. Założyliśmy najmniejsze ładunki, jakie miałem w arsenale, ale i tak nagły wzrost ciśnienia pootwierał drzwi w sąsiednich mieszkaniach. Po chwili ja i moja sekcja biegniemy do góry, a Amerykanie spieszą się *down the stairs*. Każdy z nas ma w takim bloku co robić: ludzie się pobudzili i trzeba zapanować nad mieszkańcami, którzy teraz całymi rodzinami stoją w drzwiach, gapiąc się na nas jak na dziwolągi. Szybko czynimy naszą powinność, zawijamy nasze cele (tak, to były te drzwi). Jeszcze nigdy nie opuściliśmy żadnego obiektu tak szybko. Cienka czerwona linia przesunęła się tym razem o kolejne piętra. Dużo wyraźniej niż do tej pory słyszę, jak krążą w pobliżu nasze dwa śmigłowce. HMW ruszyły z osiedla z piskiem opon. *Mission complete*.

6.2 – Nowy SEAL Team

25 lipca wyjechał Drago. Dziwnie tu i pusto bez niego jak cholera. Tomek spędził z nami ponad rok, żegnał nas i witał. Poznał w tym czasie chyba całą bojową część jednostki GROM. Uczestniczył we wszystkim, co się działo w Camp Pozzi. Nas uczył angielskiego, SEALsów polskiej mowy – to dzięki niemu tak zbliżyliśmy się z Amerykanami, że w trakcie robót nie miało znaczenia, czy to my, czy oni. Byliśmy MY, Amerykanin z polskim orłem na ramieniu, Polak z gwiazdzistą flagą na piersi. Nie myślałem, że aż tak się zżyliśmy, ale tak było. Wraz z wyjazdem Drago jakby skończyło się coś dobrego, a zła wojna, niestety, nadal trwała.

Przyjechał nowy team, SEAL Team 8, który zastąpił Team 7. Tu też są fajne chłopaki, chętne do roboty, ale doświadczenia nie da się zdobyć przez samo wstąpienie do zespołu, każdy żołnierz musi je nabyć niezależnie od nazwy jednostki i przebytych kursów. Część Teamu 8 przyjechała do nas z Korei Południowej. Na pierwszy rzut oka można powiedzieć, że wreszcie to nasi rówieśnicy, a może nawet są trochę młodszy. Nie żeby była fala, co to to nie, ale w tym środowisku na swój szacunek zapracowuje się nie stopniem i nazwą jednostki, ale wykonaną robotą – a pod tym względem to my byliśmy tu weteranami. Bardzo pozytywnie zapamiętałem przede wszystkim jednego chłopaka, Johna JT Tumilsona, czyli po prostu JT; często się z nim mijałem podczas porannych lub wieczornych przebieżek wokół stawu. Facetowi można było pozazdrościć warunków fizycznych – miał wygląd prawdziwego atlety biegacza; cholerny urodzony zwycięzca. Zresztą pozostali też wyglądali na herosów. Śmialiśmy się, że pozbierali ich z filmowego planu

Słonecznego patrolu gdzieś na wybrzeżu Kalifornii i dlatego zawieszono nagrywanie kolejnych odcinków. Wygląd wyglądem, zobaczymy, jak to z nimi będzie w boju.



Greko, Michał i Navy SEALs Jon JT Tumilson. JT zginął w sierpniu 2011 roku w Afganistanie wraz z trzydziestoma innymi żołnierzami, w ich chinooka trafił pocisk raketowy wystrzelony przez talibów. Potem mogliśmy w mediach oglądać bardzo wzruszająca scenę. Podczas uroczystości pogrzebowej pies JT, Hawkeye, położył się obok trumny i nie chciał się ruszyć, czując, że jego pan odszedł

Niestety, czasami nawet nie trzeba boju, by doczekać się nieszczęścia... Jechała do nas na wsparcie ekipa SEALsów z Mosulu – chłopaki jeszcze tu, w Bagdadzie, nie były. Zgodnie z naszą taktyką woleliśmy się przemieszczać po ciemku, w nocy. Co oczywiste, SEALsi wybrali sobie właśnie tę porę na przegrupowanie się.

Niestety, zgodnie ze statystyką najbardziej niebezpieczny jest ostatni odcinek drogi.

Przejechali z Mosulu już ponad 360 kilometrów, do Pozzi zostało im nie więcej jak 10. By wjechać na lotnisko z szerokiej, bo kilkupasmowej Irish Route, trzeba było wcelować samochodem w jeden z wąskich wjazdów. Są tak zrobione po to, żeby spowolnić do maksimum pędzących kierowców przed samym posterunkiem. Podczas jazdy w ciągu dnia nie ma tu żadnej filozofii: po prostu zwalniasz, widząc betonowe korytarze, ale nocą... no właśnie. Nocą w stronę drogi kierowany jest bardzo mocny strumień światła – kierowca praktycznie nic nie widzi i musi zwolnić do minimum. Jadąc na noktowizji, kierowcy z daleka widzieli tylko białą plamę; jeśli ktoś po wielu godzinach jazdy zdjął gogle, wiadomo, że zmęczone oczy nadal niewiele zobaczą. I tak, jadąc w stronę tego światła, kierowca pierwszego HMW po prostu nie zauważył betonowego korytarza i wbił się w przeszkodę z dużą prędkością. Pozostali kierowcy właściwie nie mieli szans na reakcję. Skończyło się na skasowaniu trzech pojazdów. Jeden z SEALsów został ciężko ranny, w przypadku pozostałych nie obyło się bez złamań i stłuczeń. To nie był dobry dzień.

My też mieliśmy swoją przygodę. Jazda HMW to czysta przyjemność. Przejechałem tym monstrum wiele kilometrów, teraz czuję się w nim jak rasowy kierowca z mobility team. No, ale trzeba dać się wykazać nowym w boju.



Cholernie smutny obraz rozwalonych HMW

W ramach dotarcia się jedziemy na wspólny nocny patrol do zielonej strefy. Pakujemy się, zgodnie z procedurą, na bojowo, pełna obstawa i procedury wyjazdowe zachowane, rola kierowców i kluczowe funkcje przypadły tym razem Navy SEALsom, my jedziemy jako desant. Wyjazd z bazy jak zawsze na wesoło, na powagę będzie czas po opuszczeniu ostatniego posterunku. Ale zatrzymał nas już pierwszy... Głuchy odgłos walnięcia w betonową zaporę wywołał zbiorowy jęk. Kierowca, jadąc już na noktowizorze, nie zmieścił się w przewężeniu ustawione na drodze. Nie jechał szybciej niż 10 kilometrów na godzinę, ale zapory są tak skonstruowane, że nawet nie drgną. Najbardziej odczuł to pieprznięcie Tytan, siedzący na pace przy samej kabinie – wbił się bokiem w dach auta. Gunnerowi też nie zazdroszczę – nadział się brzuchem na pięćdziesiątkę, ale kamizelka kuloodporna trochę

złagodziła siłę uderzenia. Ja, tradycyjnie, od uderzenia noktowizora mam rozwalony nos i w karku coś lekko chrupnęło, zresztą jak u wszystkich. W hełmie z założonym noktowizorem łeb jest cięższy – kiedyś mi jak nic całkiem odpadnie. Myślę, że kierowca jeszcze nigdy nie słyszał takiej litanii: „Kurwa, kurwa, KURWA MAĆ...”, zapamięta to polskie przekleństwo do końca życia. HMW nic się na szczęście nie stało, mogliśmy jechać dalej. Kierowca potem przez jakiś czas nie miał u swoich łatwego życia. Amerykanie lubili sobie nawzajem dokuczać, bardziej niż my, ale nie podczas roboty, tam trzeba było się wspierać nawzajem.



Drago podczas ostatniej roboty, tu montuje drabinę. Nigdy nie przykładał wagi do swojego stopnia, statusu, doświadczenia – razem z nami robił wszystko od A do Z. Dzięki!

Kilka luźniejszych dni przeznaczaliśmy na trening; potem nadszedł czas na powrót do akcji. Tym razem jechaliśmy jako kierowcy i *security*, ale nie ma prostych robót; nigdy nie wiadomo, na co się trafi. Ta akurat poszła bardzo płynnie – może poza wyborem metody otwarcia drzwi i ładunku, którego użył *breacher*. Siedziałem za kierownicą i aż mną wstrząsnęło podczas wysadzania. Pamiętam, jak raz dzięki wywiadowi nie weszliśmy przez główne drzwi i tylko dlatego żyjemy, bo od wewnętrznej strony były na nich zawieszane granaty moździerzowe i butle z gazem; nie byłoby czego po nas zbierać. A teraz? Strachliwy nie jestem, ale zastanawiałem się przez chwilę, czy czasem chłopaki nie trafiły właśnie w jakieś gówno tego typu... jednak na szczęście nie tym razem. *Breacher*, chcąc mieć pewność, że drzwi od razu staną przed nim otworem, założył na nie po całości ładunek z C4 – w rezultacie wyleciały oknem po drugiej stronie domku, na szczęście nie trafiając nikogo po drodze. Za zniszczone drzwi rodzina dostała odszkodowanie, a my, zwinąwszy kuzyna, który przyjechał nie tylko w odwiedziny, ale i jako posłaniec, wróciliśmy do Pozzi.

Pamiętam, że na drugi dzień spotkał mnie zaszczyt, poczułem się doceniony. Zaproponowano mi poprowadzenie wspólnego treningu dla *breacherów*. Była to świetna okazja, żeby pokazać sobie nawzajem różne rozwiązania pirotechniczne. Zorganizowałem to tak, że na przemian wysadzaliśmy na różnego rodzaju drzwiach i zamkach nasze i ich ładunki. Taki eksperyment porównujący działanie naszych i amerykańskich ładunków. Dla mnie woda na młyn: lubię to nagłe szarpnięcie powietrzem podczas wysadzania. Zaopatrzyliśmy się w kraju w zapas nowoczesnych materiałów wybuchowych i już na całego pracowaliśmy na systemie odpalania *nonel* – teraz mogliśmy podzielić się z Amerykanami. Do tej pory mogłem im dać co najwyżej ogórki kiszane w zamian za skrzynki z amunicją. Nie pamiętam, by kiedykolwiek Amerykanie nam czegoś pożalowali, uznałem więc, że jest okazja do rewanzu.



Po śmierci chłopaków ochrzciliśmy HMW ich ksywami. Ousi przy HMW Żuka

Jednego trochę żal z perspektywy czasu: kilka lat później, odwiedzając targi zbrojeniowe, znalazłem u amerykańskich producentów znajome mi rozwiązania, tylko lepiej opakowane i z logiem jakiejś amerykańskiej firmy; nie mówię tylko o sprzęcie pirotechnicznym, ale też o kamizelkach taktycznych i innych pomysłach, wdrażanych stosownie do potrzeb w naszej robocie. Sami je wymyślaliśmy i automatycznie wprowadzaliśmy do użytku, teoretyk w biurze nigdy by na te rozwiązania nie wpadł. Na stoisku ze sprzętem pirotechnicznym od wystawcy dowiedziałem się, że rozwiązanie, które proponuje w sposobie klarowania nonela, pozyskał od amerykańskich żołnierzy (nie chciał powiedzieć jakich), którzy jako pierwsi zastosowali je podczas wojny w Iraku. Hmm... No dobra, dodał jeszcze, że to rozwiązanie się idealnie sprawdza i preferują je w jednostkach specjalnych.

Trochę żal, że my u siebie nie mogliśmy legalnie współpracować z firmami, by rozwijać nowoczesny polski przemysł zbrojeniowy, podsuwając nowe pomysły i gotowe rozwiązania. Czasem tylko coś się gdzieś komuś w tajemnicy podpowiedziało z myślą o tym, żeby sprzęt używany przez wojsko stał się lepszy, bezpieczniejszy – słowem, taki, jakiego żołnierz chce używać, taki, że wierzymy w jego skuteczność. Cholera, znowu gorzkie żale...

7

MARINES Z DET ONE

United States Marine Corps – o tej jednostce służyło się i czytało bardzo dużo. Istnieje od 1775 roku, kiedy to Kongres Kontynentalny podjął decyzję o powołaniu piechoty morskiej. Działała na frontach pierwszej i drugiej wojny światowej, w Korei, Wietnamie i podczas I wojny w Zatoce Perskiej, a teraz trafili do Afganistanu i Iraku. Przyświeca im maksyma „Zawsze wierni”. Wysyłano ich do najcięższych zadań, w których często ponosili ogromne straty. Niestety nawet teraz dosyć często ginie któryś z ich chłopaków. Hasło „amerykańska armia” automatycznie przywołuje skojarzenia z nowoczesnym uzbrojeniem, świetnym sprzętem, z Ameryką na całej linii.

Patrząc na chłopaków z Marine Corps i na to, czym operowali, odnosiło się wrażenie, że to robotnicy fizyczni w wojskowym wydaniu. Utyrani, w znoszonych mundurach, ich sprzęt, wcale nie taki najnowszy, nosił trwale ślady długiego użytkowania. Kiedy zaproponowano nam współpracę z nimi, mieliśmy więc nieco mieszane uczucia. Żadnego, broń Boże, wywyższania się z naszej strony nie było, ale standardy Navy SEALs czy Zielonych Beretów nie różniły się od naszych, a tu przyszło zaproszenie do współpracy od Det One. Podlegając pod United States Special Operations Command (USSOCOM, SOCOM), czyli Dowództwo Operacji Specjalnych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Nie mieliśmy w sumie wiele do gadania; taka robota, przekonamy się, jacy to z nich specjaliści.



Sprzęt, jakim dysponowali Marines, odbiegał trochę od naszych GROM-owo-SEALsowskich standardów

W październiku 2002 roku dowództwo USSOCOM zdecydowało o utworzeniu specjalnej jednostki Marines: w ten sposób powstał Detachment One, który powołano do życia w Camp Pendleton 19 czerwca 2003 roku. Po ukończeniu szkolenia NSW (Navy Special Warfare) i pozostałych kursów specjalistycznych przerzucono ich do Iraku – tak jak nas w marcu 2004 roku – by dołączyli do pozostałych jednostek specjalnych i prowadzili te same operacje co my. Po okresie próbnym, który właśnie się zakończył, stwierdzono, że Naval Special Warfare Group One – Det One – będzie prowadzić przy naszym wsparciu akcje bezpośrednie, ale i nam będzie udzielał wsparcia, podobnie jak robiliśmy to z Navy SEALs. W głowach dowódców USSOCOM zaświtał plan, by nowy oddział Task Unit Raider i zaprawiony już w boju Task Unit Thunder stały się główną siłą podczas operacji DA. Miałem już wtedy na koncie około stu takich operacji, a GROM pewnie grubo ponad dwieście.



**Marine Corps Special Operations Command Detachment One
(Det 1)**

Jak by tego było mało pięknie dowództwo nie przedstawiło i jakiej by cały Korpus Marines nie miał za sobą historii, na wojnie liczy się to, co tu i teraz: doświadczenie i materiał ludzki, a tym pierwszym młody komponent nie mógł się pochwalić. Ale pierwsze koty za płoty – nasza Kate po swojej operacji z zakresu bliskiego rozpoznania celu miała o Marines bardzo dobre zdanie. Potem snajperzy przetarli się ze snajperami z Det One podczas tłumienia rewolucji i też wypowiedali się o nich w samych superlatywach; teraz przyszedł czas na nas – na szturm. Akcje bezpośrednie to jednak trochę inna bajka.

Pierwsze operacje na terenie Bagdadu Det One przeprowadzili sami, i to z sukcesem, co dobrze wróżyło naszej przyszłej współpracy. W tym czasie część Navy SEALs wyjechała jako wsparcie do Mosulu, gdzie robiło się coraz bardziej gorąco, więc i my potrzebowaliśmy asysty. Tak, byliśmy na tym samym poziomie taktycznym co Navy SEALs, ale jednak nie byliśmy amerykańską, lecz polską jednostką, musieliśmy więc polegać na sojusznikach w sprawach wywiadowczych, dowodzeniu i łączności z pozostałymi komponentami wojskowej maszyny, bo tu nie byliśmy samodzielni, ale wciąż potrzebni i bardzo skuteczni przy ich wsparciu.

Po wszystkich wiosennych wydarzeniach można było odnieść wrażenie, że jesteśmy w defensywie: na ulicach Bagdadu wrzało, a gdy zabrakło starej władzy, wielu miejscowych watażków przypuściło ofensywę na miasto. Bagdadem wstrząsały dzienne i nocne zamachy, na bazy spadało nocami coraz więcej rakiet i granatów moździerzowych. Musieliśmy przejść do kontrataku, żeby nas wszystkich nie wytłukli. Dowództwo zwróciło się więc do naszych trzech unitów – mieliśmy sprawić, żeby przeciwnik nie mógł czuć się pewny w żadnym miejscu ani o żadnej porze. Dowódcą całości był oficer z głową na karku, niejaki William W. Wilson, a jego prawą ręką był kapitan Stephen V. Fiscus z Marines, z Det One. Wpadał do nas dość często na siłownię i na pogaduszki, z czasem zaczęliśmy go traktować jak jednego z nas. Oczywiście raczej nie jeździł z nami na roboty, ale było jasne, że jest i czuwa nad nami, zgrywając wszystko w jeden dobrze naoliwiony mechanizm; bardzo zaangażowany gość. Kiedyś do nas dotarło, że sam Wilson nazwał nas „najlepszym nieamerykańskim oddziałem specjalnym”, z jakim miał w życiu do czynienia. Na taką pochwałę nie zasłużyliśmy samodzielnie – zdecydowanie zaważyło na tym doborowe towarzystwo, z jakim współdziałaliśmy. Z drugiej strony, choć było nas niewielu, stanowiliśmy kompletny i bardzo sprawny pododdział.



Taki widok ulic Bagdadu stał się codziennością

Współpraca na linii TU Raider, TU Thunder i Navy SEALs okazała się cholernie skuteczna. Oczywiście nie wszystko od samego początku układało się gładko – jak już pisałem, Det One nie było tak dobrze wyposażone jak Navy SEALs, a i przy nas nie mieli zbytnio czym się pochwalić. Już na wstępie musieli pożyczyć od Navy SEALs kilka nowych pojazdów. Jednak kiedy zaczęliśmy wspólnie działać, błyskawicznie okazało się, że nadajemy na tych samych falach i dało się odczuć, że nam zaufali, a i my po kilku wspólnych robotach wiedzieliśmy, że w razie potrzeby możemy na nich liczyć.

Przed 30 czerwca, kiedy planowano przejęcie władzy przez nowy iracki rząd, musieliśmy zrobić wszystko, żeby nie doszło do żadnego zamachu, udowadniając przy okazji każdemu z potencjalnych inicjatorów, że kara jest nieuchronna, wysyłając ich tam, gdzie ich

miejsce: do więzienia, lub – jak czasami dyktuje wojenna
sprawiedliwość – na stryczek.

7.1 – VBIED

Najprostszym, a zarazem najbardziej efektywnym sposobem dokonania zamachu było użycie samochodu pułapki. Taką pułapkę nazywano *vehicle-borne improvised explosive device* (VBIED). VBIED to, niestety, wprost idealna broń dla terrorystów – nie da się oczyścić całego miasta z zaparkowanych samochodów. Poza zdalnym odpaleniem bomby umieszczonej w takim pojeździe może on też być mobilny i prowadzony przez samobójcę, który w odpowiednim miejscu i czasie wysadzi się w cholerę. Taka eksplozja potrafi być naprawdę duża i nieść ze sobą wiele ofiar. Nasza filozofia zakładała, że nie będziemy uganiać się za takimi samochodami. Musieliśmy dotrzeć do liderów planujących takie ataki i do pieprzonych konstruktorów mechaników tworzących pułapki.

TU Raider przeprowadził taką operację już 18 czerwca. Zakończyła się sukcesem: chłopaki zatrzymały konstruktora; co więcej, zdobyły informacje, które pozwoliły nam uderzyć wspólnie już kolejnej nocy. Celem były dwie posesje, położone niedaleko od siebie. My mieliśmy zaatakować jedną, Det One drugą. Dane wywiadowcze mroziły krew w żyłach, bo na obiektach, poza konstruktorami, miały znajdować się gotowe już VBIED. Zrobiliśmy z Det One sporą odprawę i wykonaliśmy planowanie, naciskając, by podejść pod obiekty po cichu, bo nikt nie był w stanie zagwarantować, że jeśli nas usłyszą, to nie wysadzi się razem z nami jakiś szaleniec, liczący na zagarnięcie gromady dziewic w niebiosach. Marines posłuchali naszych rad, zgodzili się na takie skryte działanie i można było jechać na robotę.



Czasami trzeba było sobie nawzajem pomagać, by upchnąć na sobie cały potrzebny sprzęt

Podczas planowania i szykowania się zapieprz był taki, że nie zwróciliśmy specjalnie uwagi na przyjazd naszego dowództwa. Ciekaw jestem tylko, jaką minę miał nasz nowy dowódca, gdy się dowiedział, że jeden z naszych psów to Tadek. Zresztą, co do naszych suk, Romka i Tadka, obie puściły się z miejscową swołoczą i były przy nadziei – takie prawa natury.

Dla naszego podejścia do roboty nie miało wielkiego znaczenia, na jaką akcję wyjeżdżamy, mógł to być nawet zwykły nocny patrol do zielonej strefy, których w ostatnim czasie odbyliśmy naprawdę sporo. Każda robota ma taki sam priorytet – wysoki. Nie da się jednak ignorować czającej się z tyłu głowy myśli, że po przekroczeniu bramy posesji wejdziemy na teren, na którym stoi gotowa do odpalenia bomba. Do takiego samochodu można przecież

nawalić nawet pół tony materiałów wybuchowych – i nieważne, jak świetnie jest się wyszkolonym, każdy z nas jest tak samo kuloodporny... a raczej, w tym przypadku, tak samo nieodporny na skutki takiego pokazu pirotechnicznego przeprowadzonego bez zachowania bezpiecznej odległości. Cały stres i obawy spływają z człowieka po wyjeździe z bazy: jest robota, nie ma czasu na mędrkowanie.

Set point, set point... Taka ciemna noc to idealny moment, by wykorzystać przewagę technologiczną – noktowizory zapewniają nam płynność działania. Tylko ta cisza... Mam teraz tak wyostrzony zmysł słuchu, że wydaje mi się, że idziemy nie bezszelestnie, tylko głośno jak stado baranów, i drętwieję, gdy po drugiej stronie płotu któryś z Marines zahacza o niego drabiną: „Ja pierdołę, kurwa jego mać!”. Jestem pewny, że w tej chwili wszyscy mieliśmy to samo w głowach; na chuj nam teraz dobiegający z drugiej strony ulicy szept *sorry, guys?*!

Podczas operacji mamy ze sobą źródło, czyli gościa, który kładzie głowę, że ten tu to producent VBIED, a nie zasadzka na nas. On jest dla nas bezpiecznikiem – jeśli coś pójdzie nie tak, to przywita Allaha razem z nami. Stał pod płotem i pokazuje, że to niby tu. Robimy wszystko w skupieniu i ciszy; zgodnie z założeniem czekamy, aż na obiekt wejdzie najpierw Det One jako *security* i zajmie dogodną pozycję. Przed domem stoi zaparkowany samochód, jakoś nikt się do niego nie zbliża. Jest zgoda, działamy. Jako druga sekcja wchodzę już po otworzeniu furtki, która leciutko skrzypnęła – może by tak na kolejną robotę zabrać WD-40 i prysnąć zawiasy, zanim zabierzemy się do otwierania?

Chwila zamieszania; chłopaki weszły do środka. Często zdarzało się, że domownicy nie zamykali drzwi, a w gorące noce sypiali na dworze – tak było i tym razem. Trochę konsternacji i szum w radiu, z prośbą, a wręcz nakazem zachowania w dalszym ciągu ciszy operacyjnej. Po chwili okazało się, że dla naszego źródła każdy kot w nocy jest szary – facet pomylił się o jeden pieprzony płot! Na miejscu zostaje ktoś do pilnowania chaty, a my mamy jako pierwsza

sekcja uderzyć na sąsiednią posesję. W takiej chwili ma się w pamięci wszystkie niepotrzebne szurnięcia butów i skrzypnięcia zawiasów.

Przed tym domem nie ma samochodu. Wchodzę po drabinie na płot i dopiero z góry widzę wóz zaparkowany na podjeździe do garażu. Przetawiałem drugą drabinę. Jest zgoda na przejście. Z miejsca, nie czekając na dwójkę, wychodzę za róg, żeby zasygnalizować, że jest czysto; mam wsparcie snajpera stojącego na drabinie za płotem. Cholera, szczęściarz, jak pierdolnie, to przynajmniej go zidentyfikują, ha, ha... Już czuję na plecach Ousiego, jest info w radiu, że Det One mają swój obiekt pod kontrolą i cel trafiony. U mnie sytuacja przedstawia się następująco: drzwi do domu są zamknięte. Muszę podjąć decyzję: założyć ładunek czy walić w drzwi młotem. Samochód jest za rogiem, żaden odłamek tam więc nie doleci, mniejszy ładunek nie spowoduje aż takiej zmiany ciśnienia, by cokolwiek w pobliskim aucie pobudzić do autodestrukcji, a jak się zaczniemy tarabanić z młotem i mechanicznie tłuc, to gość może odpalić samochód, nie czekając, aż mu założymy kajdanki. *Fire in the hole* i ruszyła nasza machina. Nie spodziewano się nas. Tytan już sprawnie zaciska gościowi kajdanki na nadgarstkach. Pieprzony pirotechnik!



Takich pocisków można napchać do samochodu nawet kilkadziesiąt sztuk – niestety jest to bardzo skuteczny rodzaj bombowej pułapki

Po opanowaniu domu wchodzę z Tylutem do garażu, w którym znajdujemy warsztat i cały sprzęt potrzebny do uzbrojenia śmiertelnościanego pojazdu. Po chwili zjawia się obok nas amerykański partol saperski; chłopaki z Marines wiedzą, co zrobić z tym całym dziadostwem – ja mogę to wszystko najwyżej wysadzić w cholerę. Samochód oglądam tylko z zewnątrz: przez szyby widać poukładane w rzędku pod siedzeniem granaty moździerzowe; pierdolony... Resztę roboty zostawiamy całej armadzie, która tu nadjechała, by zabezpieczyć teren; słysząc tylko *good job* i *good job*. U Det One też sukces, odholowali po sąsiedzku trzy pojazdy, w tym jednego vana, tak więc Bagdad został uwolniony od czterech jeżdżących bomb. *Good job* usłyszeliśmy też kolejnego dnia z ust

naszego dowództwa – tym razem już nikt nie chciał wysypywać irackiego piasku z naszych butów, bo fakt, że bez gadania zdecydowaliśmy się wejść na kolejny cel, oceniono w USSOCOM bardzo wysoko – nie zdążyli nas powstrzymać, a mieli taki zamiar.

Nasza machina po prostu sprawnie działa – wystarczy dać rzetelną informację wywiadowczą i tam, na miejscu, nie przeszkadzać. I tak nasze dowództwo załapało się na pochwały z samej góry. Nam przekazano wieść, że teraz już cała jednostka ma dodatek 2%. Ale fajnie, naprawdę się cieszę, że za naszą robotę cała nowo zatrudniona kadra dostanie dodatek za czynne zwalczanie terroryzmu. Takie oto dobre wieści, idę spać – niech się ktoś doczepi do moich niewypastowanych butów, długich włosów i nieogolonego pyska, to sam ten iracki piasek będzie tu sobie przerzucał. No co, przecież w wojsku sztuka jest sztuka, pewnie więc każdy z równie dobrym efektem może wykonywać te nasze DA.

Dzień wolny to idealny czas, żeby zrobić pakę i pojechać na zakupy do Camp Victory. PX to wielki supermarket, w którym znajdziesz wszystko, od skarpetek, przez elektronikę, po rowery desantowe i odżywki dla kulturystów. Ale czegokolwiek bym się nażarł, łapa za cholere nie chce mi rosnać; ponoć za dużo biegam, ogłosiła już kiedyś komisja składająca się z Drago i JT. Nie poddaję się ich opinii: kreatyna plus BCAA ma zrobić cuda, jak przekonują inni fachowcy, tylko do tego trzeba regularnie ćwiczyć i spać, a kiedy tu spać, skoro mózdzierze wałą prawie każdej nocy po zapadnięciu zmroku? Dzisiaj zanosi się na kolejną pracowitą noc.

Tym razem nasz cel znajduje się nie gdzieś na uboczu, ale w samym centrum Bagdadu. Dowództwo zakłada, słusznie zresztą, że gdy wjedziemy pomiędzy wysoką zabudowę, z dachów i balkonów będzie można nas zasypać czym popadnie; żeby nie dopuścić do otwartej walki i pokazać ogrom naszej siły, pojedą z nami iraccy żołnierze. Spotkaliśmy się późnym wieczorem w Camp Myler. Przed odprawą całości sił zarządzono, że dowództwo irakijskich żołnierzy nie poinformuje, gdzie mamy konkretnie uderzyć, pozabierano im telefony. Założenie może i słuszne, ale

słabo to wygląda: jak tu jechać na wspólną operację, skoro już na wstępie sobie nawzajem nie ufamy? Ale co zrobić, takie czasy. Także tym razem jest z nami źródło, wierzymy mocno, że wywiadowcy z TU Raider wiedzą, co robią. To, co od nas zależy, będzie zrobione zgodnie ze sztuką. Przed robotą wpadł nawet sam dowódca – akurat u Amerykanów odbywa się to naturalnie, nie ma żadnej spinki; myślę, że gdyby u nas dowódcą był Petel, wyglądałoby to bardzo podobnie. Przyszedłby, powiedział dwa konkretne słowa, a nam wzrosłoby morale dzięki samej jego obecności.

Kilkadziesiąt metrów przed obiektem wyprzedziła nas pancerna osobówka; kątem oka zobaczyłem wyrzucony przez okno zielony *lightstick* na znak, że to tu, nasz kierowca dał po hamulcach i stoimy. Zbiegam z podestu, jesteśmy w komplecie całą sekcją i rozglądamy się za naszym głównym punktem wejścia, pod którym ma leżeć marker, ale nigdzie nie ma metalowych drzwi znanych nam z fotografii podesłanej przez źródło, tylko na całej długości frontowej ściany kratownica, za którą widać witrynę sklepu z firankami. Już znam kilka słów po angielsku, nie klnę więc w duchu naszą soczystą łaciną, tylko na język nasuwa się *what the fuck?!*, no i gdzie jest ten pieprzony *lightstick*, pytam Michała. Idziemy dwadzieścia metrów w jedną stronę, reszta sekcji robi nam *security* – nie nudzi im się, bo jesteśmy w dzielnicy pięcio- i sześciopiętrowych bloków; niektóre zdają się nawet wyższe.

Nie znaleźliśmy punktu wejścia, cofamy się; w poszukiwaniu włącza się Janek, który wskazuje, że z tyłu, za nim, jest jakaś wąska uliczka – no to lecimy: faktycznie, cholerny *lightstick* wpadł w wąski, ciemny, nieoświetlony korytarz pomiędzy blokami, szeroki najwyżej na półtora metra. Przechodzę na latarkę, świeci i Tylut, a tu jedne, drugie, trzecie drzwi... wszystkie takie same. W których, do cholery, mam wysadzić zamek? Jakaś wyliczanka czy robimy po kolei? Nagle się otwierają te środkowe, a na spotkanie z lufą Michała wychodzi jakaś pani. Nawet zbyttno się nie zestresowała, widząc przed nosem karabin; całkiem spokojnie pokazuje nam, że pewnie przyjechaliliśmy

po sąsiada. Nie trzeba było znać arabskiego, by odczytać z jej gestów, że to tam.



Czasami włos się na głowie jeżył, gdy znajdowaliśmy tego typu śmiercionośną skrytkę

Idealnie dobrałem ładunek, po założeniu na oba zamki pani nawet udostępniła nam swoje drzwi, byśmy mogli schować się za futryną podczas wysadzania. *Fire in the hole*, szarpnęło i zassało powietrze z korytarza. Sporo kurzu uniosło się w powietrze i zagwizdało ostro w uszach – ta wąska przestrzeń wywołała niesamowity pogłos, jakby spadła tu porządna bomba lotnicza. W międzyczasie przyszła informacja od TU Raider, że zatrzymali już u siebie gnoja. U nas też trafiony obiekt. W pomieszczeniu nikogo nie zastaliśmy, bo to był typowy warsztat: prawie jak u jubilera,

tylko zamiast wskazówek i zegarowej kukułki zapalnik do bomb, mnóstwo podzespołów elektronicznych, telefony komórkowe robiące za odbiornik i zestawy do zdalnego odpalania IED, radyjka, wykresy, co z czym połączyć, by działało, lutownice i cała reszta śmiercionośnego gówna. Trzeba to wszystko jakoś zabezpieczyć. Czekamy na patrol saperski. W okolicy zaczęły padać pojedyncze strzały, ale jeszcze nie słyhać odpowiedzi z naszej strony, bo jak ktoś strzela na oślep, to po to, by nas sprowokować, byśmy niepotrzebnym strzałem odsłoniли swoje pozycje.

Iraccy żołnierze nie zawiedli, nikt nie zwiął. Po wyjściu na ulicę mieliśmy dobrze pokryte sektory; coś takiego się czuje, a i widzieliśmy kątem oka sylwetki wypatrujące zagrożenia, a nie chowające się za pojazdami. Ta noc należała do nas, ale bywały i takie, kiedy to na nas polowano. Na wojnie, jak na ulicy: trzeba wiedzieć, jak dać komuś w gębę, ale trzeba czasami i w nią dostać, by oswoić się z walką.

7.2 – Tylut

Można powiedzieć, że w Bagdadzie zrobiliśmy swoje i zrobiło się spokojniej, a z tajnych raportów wynikało, że ci wyżej postawieni postanowili się na jakiś czas zwinąć z miasta, bo czuli się w nim bardzo niepewnie. Oczywiście przed wyjazdem zostawili tym na dole rozkazy, by szeregowy bojownik mógł się wykazać bohaterstwem. Skutek naszej roboty był taki, że Bagdad stał się bezpieczniejszy, ale zaczęto intensywniej atakować nasze bazy ostrzałem raketowym i przy użyciu moździerzy. Nasze dowództwo, chcąc sprowokować ostrzał w wybranym przez siebie miejscu i czasie, wymyśliło operację pod kryptonimem „Serpent Strike”. Na mieście rozpuszczono wici, że w bazie na lotnisku odbywa się wizyta VIP-a. Szkoda tylko, że nam nikt o tym genialnym planie nic nie wspomniał.

W uszach świsnął nam tylko ostry gwizd, gdy ja i Tylut znaleźliśmy się na moim łóżku w mocnym uścisku – ułamek sekundy później porządnie pieprznięto tuż za płotem, na tyle blisko nas, że w namiocie rozległ się dźwięk spadających na niego kamieni, jakby zaczął padać sporej wielkości grad. Gdyby nas tam wtedy szlag trafił w takiej trochę dwuznacznej pozie, a właściwie w zupełnie jednoznacznym objęciu, to nawet u świętego Piotra byśmy się nie wytłumaczyli, że tak naprawdę każdy z nas chciał tylko własnym ciałem zasłonić kumpla. Leżeliśmy tak jeszcze przez chwilę, czekając na repetę, bo dało się słyszeć podobny świst, ale cholerstwo poleciało gdzieś dalej. Niebawem usłyszeliśmy trzy głuchoe wybuchy.



Trafiając w podmokły grunt tuż za płotem, rakietą zasypała nas gradem kamieni i pozostawiła po sobie taką oto dziurę

Wstaliśmy dziarsko, ale nie było bohaterstwa, że ktoś się tam kulom nie kłania. „Co za skurwysyny!” – dało się słyszeć ze wszystkich stron, na przemian z amerykańskim: *fuck, fuck i fuck*, bo kogoś spadająca rakietą zastała w kiblu i wyleciał z niewytartym dupskiem na zewnątrz. Jak to tak, nas? Do nas? *Fuck, fuck!!!* Pospolite ruszenie nastąpiło w całej bazie, rozwyły się syreny; nawet nie wiem kiedy znalazłem się koło siłowni, już w całym bojowym rynsztunku. SEALsi ustawili HMW – jak nic jedziemy dopierdolić tym gnojom. Siła w nas, a nastroje takie, że niech ich tylko dorwiemy...! Tak właśnie było. Przyszło info z jakiegoś cudownego radaru balistycznego, że są przybliżone namiary rejonu, z którego odpalono rakietę, sztab koryguje mapy i chce nas tam wysłać. Jedna rakietą spadła obok nas, a trzy poleciały dalej wprost na linii

lotniska, ale spadły niegroźnie pomiędzy palmami. Mamy czekać w gotowości na rozkaz wyjazdu. Czekamy pięć minut, dziesięć, ale rozkazu nie ma; nadszedł po godzinie: rozejść się. Nie wypuszczono nas z bazy ot tak, byśmy działali na hurra – zresztą słusznie, ale w tamtej chwili krew się w nas wszystkich mocno zagotowała.



Pospolite ruszenie

Nadszedł poranek, emocje trochę opadły i na spokojnie zaplanowaliśmy rajd w miejsce domniemanego wystrzelenia rakiet. Tylko jakoś tak dziwnie patrzę na Tyluta, a on na mnie – po takim uścisku nie do końca jestem pewien, czy tuliliśmy się tak zupełnie bez zobowiązań... to musi być co najmniej przyjaźń.



Tylut przy HMW nazwanym ksywą Kaśki

Tylut to syn pułku: tato major, rodzina jechała więc wszędzie tam, gdzie Ludowe Wojsko Polskie rzuciło ojca-żołnierza. Taka to żołnierska tułaczka – żona, dzieci szkoła, wszystko kręciło się dookoła wojskowego życia. Rodzina Tyluta pochodziła z Wielkopolski. Ich żołnierski szlak zaczął się od Poznania, przez Żary, Dąbrowę Górniczą, aż przywiało ich w końcu do Gliwic. Już jako dziesięcioletni nicpoń miał obcykany do perfekcji małpi gaj, a jako dwunastolatek spokojnie mógł być instruktorem i prezentować żołnierzom technikę pokonywania tego wojskowego toru przeszkód. Czy to dziecięce zahartowanie pomogło mu dostać się do Firmy? Pewnie tak, ale na pewno nikt go w tym nie wspierał – nie z nami te numery, każdy musi przejść tę drogę sam i żaden ojciec nic w tym temacie nie wskóra.

Technik mechanik obróbki skrawania to idealny zawód na początek żołnierskiej kariery: „Nie matura, a chęć szczerą z robi z ciebie oficera”, jak to się mawiało, trochę z chęci wyśmiania wszystkich szynkowych „plecaków”. Jest taki kawał, ciekaw jestem, czy przypadkiem nie z życia wzięty, o rozmowie wstępnej na wojskową uczelnię. Młody człowiek zawałił już dwa pytania, ma odpowiedzieć na trzecie – takie ostatniej szansy: „Proszę wymienić nazwiska trzech polskich generałów” – mówi główny egzaminator. „Yyyyyy... wujek Stefan, wujek Staszek... no i ty, tatusiu...”. Nie, Tylut do szkoły oficerskiej nie trafił, chodził własnymi ścieżkami: po trzech miesiącach przepracowanych w fabryce na tokarce poprosił na WKU o bilet do wojska. Kto nie pracował w fabryce, ten nie ma pojęcia – taka praca potrafi skutecznie człowieka zmotywować, więc wielki szacunek za to, że panowie dajecie radę – całkowicie serio to piszę. Jak się nie ma do czegoś serca, to nie ma szans być w tym dobrym. Tylut w fabryce się męczył, bardzo szybko się przekonał, że to nie jego świat; chciał robić to, o czym marzył od dziecka, postawił więc na mundur, tak jak ojciec.

Gdzie iść do wojska? Do jakiej jednostki? Gdzie jest ciężko, ale zarazem ciekawie? Czerwony beret jest niesamowitym symbolem, w tamtym czasie przyciągał jak magnes – w takim właśnie berecie na głowie Tylut chciał służyć ojczyźnie. Mieliśmy to samo marzenie, ten sam cel, tyle że w jego przypadku ono się spełniło. Trafił do legendarnej jednostki stacjonującej w miejscowości Rząska nieopodal Krakowa – był to 10. Batalion Desantowo-Szturmowy. Po szkoleniu unitarnym w marcu 1996 roku wszystkich elewów przeniesiono do 18. Bielskiego Batalionu Desantowo-Szturmowego, gdzie w tamtym czasie tworzone batalion do działania w kooperacji z innymi państwami należącymi do NATO. Tylut trafił do baterii przeciwpancernej, do plutonu SPG. SPG-9 to lekkie działo bezodrzutowe produkcji radzieckiej, klasyfikowane jako ciężki granatnik przeciwpancerny, przeznaczone do zwalczania opancerzonych wozów bojowych, niszczenia i obezwładniania siły żywej oraz środków ogniowych. Kaliber 73 mm, waga – około 68 kg,

obsługa – 4 żołnierzy. Wersja desantowa była wyposażona w koła, które miały niby ułatwiać transport granatnika na duże odległości. Niby, bo jak to w desancie, w terenie górzystym granatnik się nosiło, a wraz z nim koła. Można sobie samemu odpowiedzieć na pytanie, jak wyglądała robota plutonu wyposażonego w ten sprzęt. Niedaleko jednostki przebiega szlak na Szyndzielnię, a że pod kolejką linową wiedzie w linii prostej stroma ścieżka, to niejedną raz zdarzyło się Tylutowi taszczyć SPG-9D na własnych plecach na szczyt.

Czasami wojsko popadało w niełaskę u dowódcy, głównie za sprawą dyscypliny, a raczej jej braku. A to ktoś się spóźnił z przepustki, a to ktoś narozrabiał w kantynie – przy charakterze Tyluta nie było o to trudno. Nagradzano takie zachowanie wycieczkami na Szyndzielnię, gdzie nachylenie stoku dochodziło miejscami do 70 stopni. Najbardziej niebezpieczni byli młodzi ambitni podporucznicy, których stara kadra lubiła podpuścić, że to niby nie dadzą rady wgramolić się z plutonem tą właśnie drogą na szczyt. Wtedy ci najbardziej ambitni – w imię zasady „jak nie, jak tak” – plutonami, a nawet i całą kompanią, z całym sprzętem na linach desantowych, tachali pod wyciągiem na sam szczyt wszystko, co było pod ręką. Mięśnie i ścięgna trzeszczały na równi z linami, ale co tam – młody organizm dawał radę.

Tylut jednak bardzo dobrze wspomina jednostkę w Bielsku. Wiadomo, strzelania, jak to w wojsku, było mało, za to były góry, skoki spadochronowe. Dużo się działo: poligony, ćwiczenia międzynarodowe, certyfikacje... Była to na tyle ciekawa służba, że po jej ukończeniu – jak wtedy wielu chłopaków – został w wojsku jako żołnierz nadterminowy. W 1997 roku jednostkę w Bielsku-Białej odwiedziło kilku poważnych panów. Przyjechali po cywilnemu i zaprosili na spotkanie. „A co tam, pójdę”, pomyślał Tylut, „a nuż dostanę się do nowo powstałej jednostki”. W wojskowej świetlicy przywitał ich chropowatym głosem pan, który nawet się dokładnie nie przedstawił – Erwin, tyle miało wystarczyć. Razem z nim był jakiś Magda i dwóch innych gości. Poprosili, by na sali zostali tylko wychodzący do cywila – pewnie dowódca jednostki zakazał agitacji

wśród kadry, bojąc się, że odejdą ci najlepsi. Tylut wstał i już chciał wyjść, ale obok siedział kolega, też nadterminowy, któremu się do wyjścia nie spieszyło. Na pytanie, czemu się nie zbiera, odpowiedział krótko, że zostaje, i tyle. Tylut nie wiedział, że chłopak ma w już w Firmie brata i wie, skąd przyjechali ci dziwni goście. „No dobra, też zostaję, przecież nie mam nic do stracenia”, stwierdził Tylut.

Rozpoczęło się od sprawdzianu fizycznego: bieg na trzy kilometry, podciągnięcia na drążku, ugięcia ramion na poręczach; słowem, nic nadzwyczajnego. Ale na tych poręczach zdarzyło się coś, co go zaciekało: co to za ludzie? Przed Tylutem ćwiczył jakiś kapral, też nadterminowy, i po dwudziestu powtórzeniach zeskoczył z wymówką, że już rano miał zaprawę z żołnierzami i dlatego tak mało; instruktor na to, że tu nie czas na wymówki: albo robi na maksa, albo niech zrezygnuje, bo szkoda czasu. W wojsku raczej się tych ambitnych nie lubiło – wystarczyło, że jest OK, czyli pośrodku: po co robić więcej? Bez sensu, jeszcze ktoś zauważy i każe też innym dymać więcej, niż norma nakazuje. Tylutowi spodobało się podejście: „Albo na maksa, albo rezygnujesz”. Zdecydował, że daje na maksa.

Na poręczach wycisnął naprawdę sporo, ale fenomenalnym wyczynem było to, co pokazał podczas robienia brzuszaków. Nie pamięta już dokładnie, ile zrobił w dwie minuty, ale instruktorzy chwalili między sobą jego wynik, szepcząc, że u nich w robocie nikt do tej pory tyle nie zrobił. Mogę dodać od siebie tyle, że na kursie podstawowym Tylut, którego starałem się utrzymać za stopy podczas egzaminu, machnął ich w dwie minuty 160. Nie wierzycie? Ja, instruktorzy i cała reszta nas też nie wierzyliśmy, ale on to po prostu zrobił. Ćwiczył jak nakręcona sprężyna. Instruktorzy z tej nowej jednostki też robili wrażenie: wszyscy wyglądali na wysportowanych, widać było, że się im chce i że poważnie podchodzą do swojej roboty.

Po egzaminie sprawnościowym trzeba było wysiedzieć kilka godzin na testach psychologicznych, które dla takich jak my są o wiele większą męczarnią; po wypełnieniu wszelkich możliwych

tabelek uczestnicy dostali suchą informację, że mają czekać na list. I tyle.

Po kilku miesiącach zawołali kaprała Tyluta do biura przepustek, że jest telefon od ojca. Dzwonił z informacją, że do domu przyszedł list z jakiejś jednostki z Warszawy. Jak się słucha tych opowieści, przychodzi na myśl jakieś średniowiecze, ale to był 1997 rok, w Polsce nikt jeszcze nie słyszał o poczcie elektronicznej, telefonach komórkowych i komputerach osobistych. Tato otworzył list i przeczytał, że JW 2305 zaprasza na selekcję, która odbędzie się w takim a takim terminie; wymieniono sprzęt, który trzeba ze sobą zabrać, podano miejsce zbiórki i proszono, by zarezerwować sobie tydzień wolnego. Tak zaczęła się przygoda Tyluta z Firmą.

Co to ta selekcja? Jak się do niej przygotować? Nikt nie mógł doradzić, ale wymieniony sprzęt wskazywał na góry – dla Tyluta idealnie: wszak góry zaczynały się tuż za płotem jego jednostki w Bielsku. Trasy pokonywane w towarzystwie plutonu z całym sprzętem okazały się idealną ścieżką treningową, dały mu duży zapas mocy. Krótka wspinaczka z jednostki pod wyciągiem do schroniska PTTK na Szyndzielni z samym plecakiem nie stanowiła wyzwania. Stamtąd biegiem wzdłuż szlaku do schroniska na Klimczok, następnie trochę luźnego zbiegu do Szczyrku, wejście na Skrzyczne, tam przerwa i obowiązkowe piwo, powrót tą samą drogą. Wszystko to na jednej bułce i paczce parówek, tak dla treningu psychiki i żołądka. Trening przygotowawczy do selekcji był wręcz idealny, ale jednak za pierwszym podejściem coś poszło nie tak.

W 1997 roku przez całą jesienną selekcję lało jak cholera. Selekcja ma być ciężką próbą charakteru i siły fizycznej, ale trzeba też dać ludziom szansę jej ukończenia. Czwartego dnia zostało już niewiele śmiazków; ze względu na lejący deszcz instruktorzy pozwolili uczestnikom na rozpalenie ogniska. Morale od razu wzrosło i udało się wysuszyć sprzęt – a był to sprzęt taki, jaki przydzieliło wojsko. Tylut był ubrany w ogólnowojskowe moro, w kultową kurtkę bomberkę MA1 w biało-czarne moro, a na nogach miał równie kultowe józefy. Do tego plecak pożyczony od kumpla, stara

gumowana pałatka i karimata. Śpiwór, namiot, kalesony to dodatkowy ciężar, po co mu to? Kilka nocy można przespać pod drzewem na siedząco pod pałatką, rano wstaje się gotowym do drogi – proste. „W wojsku nie raz spałem w trakcie działań w lesie na igliwiu czy mchu – i dawało się radę, to i tym razem dam radę. Najwyżej trochę zmarzną i już”, myślał, pakując plecak.

Teraz dostali trochę komfortowego ciepła, ale podczas suszenia sprzętu skóra, z której zrobione były legendarne przecież buty, zawiodła na całej linii: pękła na piętach i odkształciła się krawędziami do środka. Na początku było trochę niewygodnie, ale co tam, przecież po drodze but się ułoży. Wieczorem po ściągnięciu butów... masakra. Skóra na piętach zdarta, została głęboka otwarta rana; skarpetki w tym miejscu też już nie było, materiał starł się zupełnie. Przed nimi jeszcze co najmniej dwa dni marszu... ale co tam, da radę.

Rano założył adidas, ale, jak to w górach, po kilku godzinach chodzenia bez usztywnienia kostki stopa spuchła, trzeba było zmienić buty na sztywne józefy. Wieczorem, kiedy je ściągnął – a dotarł praktycznie już na sam koniec, ocierając się o limit czasowy – z butów spływała krew, stopy były w opłakanym stanie, zdarta skóra i krwiste pęcherze. Przystąpił jeszcze do maratonu; lekarz nawet go zbadał, bo po chodzie było widać, że chłop ranny i stopy muszą szczypać. Lekarz mruknął tylko, że nie może zdjąć go z trasy, bo nie ma zagrożenia życia, ale nogi nie wyglądają dobrze i lepiej niech sam odpuści. Jak to, miałyby zrezygnować?! Nie odpuścił; szedł ostatni, daleko za wszystkimi, myśląc: „Niech to wszystko się w końcu skończy...”, ale się nie poddawał, wciąż szedł.

W połowie maratonu przyjechali instruktorzy, popatrzyli, padło sakramentalne: „Rezygnujesz czy idziesz dalej?”. Pomimo zmęczenia, bólu i czarnych myśli odpowiedź Tyluta mogła być tylko jedna: „Idę dalej”. Pokiwali głowami, coś tam mruzcili, bo czas miał słaby, ale pozwolili iść dalej. Przyjechali drugi raz po kwadransie, już nie było dyskusji: „Musimy cię zdjąć z trasy, damy ci szansę na wiosnę”. Tego dnia zrozumiał, że to jest to, co chce robić, że chce

trafić pośród ludzi, którzy z taką pieczołowitością przeprowadzali selekcję i ze zrozumieniem podchodzili do tych, co chcą. Ci ludzie byli jacyś inni, była od nich moc i pozytywna energia.

Wiosenną selekcję przeszedł już tylko z niegroźnymi pęcherzami na stopach. Tym razem miał jeszcze większą motywację niż poprzednio. Zaopatrzył się w dobry sprzęt, za który w tamtym czasie musiał zapłacić fortunę, ale było warto, bo trafił w miejsce, w którym nie trzeba było się chować z tym, że się potrafi, że się czegoś chce. I tak pewnego dnia w drzwiach komendy ochrony wpadłem prawie na swojego sobowtóra, tylko trochę bardziej pewnego siebie – nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zszedł komuś z drogi z własnej woli, niełatwy charakter, ale do tej roboty idealny. Teraz jechałem na robotę z grupą już nie chłopaków, tylko facetów, którzy znaleźli się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie i teraz robili to, co do nich należało, w pełni świadomości swoich umiejętności i podejmowanego ryzyka. Taka robota, są do niej przygotowani, chcą tego i nikt ich nie powstrzyma – zdecydowanie wycelują karabin w odpowiednim kierunku, jeśli będzie taka potrzeba: nie po to przeszli selekcję i kurs podstawowy, by teraz komuś odpuścić.

Wracając do rzeczy. Strzelające do nas skurwysyny nie wiedziały, z kim zadzierają. Miejsce wystrzelenia rakiet znajdowało się najwyżej trzy kilometry w linii prostej od naszego campu. By ich nie wypłoszyć, pojechaliśmy do bramy wyjazdowej po drugiej stronie lotniska. Plan był bajecznie prosty: uderzyć na naszych wrogów od tyłu. Traktowaliśmy tę robotę bardzo osobiście: uwierzcie mi, nikt nie chciał brać udziału w tej operacji jako *security*. Po północy przyszła zgoda, żebyśmy powoli przemieścili się w rejon, ale nie było zgody na szturm, mieliśmy czekać. Zajechaliśmy w jakieś cholerne krzaki pomiędzy dwoma stawami i wyczekujemy. Przez dwie godziny nic się nie działo, tylko komary cholernie cięły. Przed trzecią padła komenda: „Gotowość, gotowość”, podano nowe koordynaty, rozkaz: „Naprzód”.



Tej nocy moździerze nie zdążyły wystrzelić

Uwielbiam dźwięk mrujących silników HMW; jedziemy na aferę, ale po ciemku, bez skrytego podejścia – zobaczymy, co tamci mają do pokazania w trakcie otwartej walki. Zapamiętałem ten teren dobrze; widzę, że minęliśmy nasz pierwotny obiekt i jedziemy w stronę bazy, ale zaraz pada komenda „jedna minuta” i informacja, że obiekt będzie z prawej strony, zagrożenie na podwórku, kilku *bad guys*. HMV w pewnej chwili musiały zwolnić, bo droga dziurawa; zamiast zatrzymać się pod posesją z piskiem opon, dojechaliśmy, kolebiąc się jak na wielbłądach. Teraz pozostał sprint. „Každy muskuł się zwinął w kłębek jak sprężyna...”. Snajper nadaje ze śmigłowca, że goście biegną w stronę zarośli i chowają się w krzakach, przeleciał nisko nad nimi, ale zniknęli. Momentalnie przeskoczyliśmy płot, HMV wyrwał z zawiasów bramę. SEALsi idą na budynek, drzwi otwarte,

my robimy ogród i kawałek zarośli: palec aż świerzbi, żeby puścić po nich serię.

Po tych tchórzach pozostał tylko kurz i ślady w błocie, któryś zgubił klapki. Nie, już ich nie znajdzie... Na podwórku zostały rozłożone gotowe do strzału moździerze, wygląda więc na to, że i tej nocy byśmy spokojnie nie przespali.

Zbieramy to śmiercionośne dziadostwo i jedziemy rozejrzeć się po okolicy. W nocy na otwartym podmokłym terenie nie powojujemy – tylko śmigłowiec szaleje, no i snajp się wkurza, że ma cel, ale nierozpoznany i nie może walić. Wracamy do pierwotnego obiektu wyznaczonego na cel, tego wskazanego na odprawie. Tam, obok kopki siana na ściernisku, znajdujemy wypalone kręgi po wczorajszych rakietach; biedny wieśniak z pobliskiego domu nie wygląda na bojownika. Co miał chłop zrobić, jak bandziory przyjechały na pole i stąd do nas strzelały? Po takiej robocie ma się spory niedosyt.

Odreagowaliśmy następnego dnia, układając kolejne worki z piaskiem, wzmacniając schron i obstawiając namioty paletami, które pierwotnie służyły do ustawiania na nich sprzętu – teraz robimy z nich improwizowany pancierz. Amerykanie przywieźli dodatkowe koce balistyczne: jeden z nich trafia za łóżko, ja i Tylut możemy spokojnie usiąść i pogadać o książkach. Miałem je od kogo pożyczać – jego księgozbiór mógłby zadziwić niejednego bibliofila.

7.3 – Jednoręki Bandyta

Goście, co prawda, zwiali nam w podskokach, ale dowództwo nie odpuściło sprawy, a dzięki materiałom, które uzyskaliśmy na tamtej posesji, trafili na niejakiego Jednorękiego Bandytę. Już sam jego wygląd zdradzał, skąd ten pseudonim. Jednoręki miał zastępcę, który parał się konstruowaniem rakiet, a my byliśmy osobiście zainteresowani dorwaniem domorosłego miłośnika NASA.

Dotychczasowe działania pokazały, że jesteśmy w stanie skutecznie, ale też, co równie ważne, bezpiecznie ze sobą współpracować, dając sobie nawzajem ochronę i wsparcie QRF – kolejny team SEALsów dobrze wszedł we współdziałanie. Po kilku dniach planowania, treningu i strzelania, na które ostatnio nie było czasu, wieczorem znów miło zamruczały silniki HMV. Większość SEALsów była w tym czasie w Mosulu, wszystkie roboty wykonywaliśmy więc my. SEALsi stanowili nasze niezawodne wsparcie; zgraliśmy się z nimi do perfekcji. Po czym można poznać, że tak jest? Każdą robotę omawialiśmy na gorąco, każdy mógł się wypowiedzieć, a zgłaszanie uwag i otwartość w sygnalizowaniu wszelkich niedociągnięć traktowaliśmy wręcz jak obowiązek. Pracujemy na tak grząskim gruncie, że zamiatanie ważnych informacji pod dywan byłoby niczym dosypanie prochu do beczki stojącej zbyt blisko ognia. Uwagi mają być oczywiście merytoryczne, a po przedyskutowaniu padają pomysły ulepszeń, rozwiązań i tak dalej. Po wcześniejszych robotach nie było uwag, każdy wiedział, co ma robić. Pobyt na obiekcie mieliśmy jak zwykle ograniczyć do minimum. Tego oczekiwali przede wszystkim piloci śmigłowców, którzy krążąc nad nami ze snajperami na pokładzie, byli najbardziej

narażeni na ostrzał z ziemi. Miło było słyszeć, gdy na odprawie powtarzali, jak to oni lubią działać z TU Thunder, bo zawsze na obiekcie jest konkretnie i, co dla nich ważne, krótko.

Tej nocy były do zrobienia trzy cele: dwa wzięli na siebie Marines, jeden przypadł nam. Mieliśmy jednocześnie uderzyć na kryjówkę Jednorękiego Bandyty, jego zastępcy i na magazyn. Podane były trzy lokalizacje, ale do końca nie było wiadomo, gdzie znajduje się siedziba, a gdzie magazyn, tak więc do końca nie wiedzieliśmy, co komu przypadnie w udziale. Jakoś dużo lepiej się czuję, gdy pod obiekt podchodzimy po cichu, ale ponieważ tym razem oba cele znajdowały się na oświetlonej ulicy, co nie dawało nam możliwości skrytego podejścia, zdecydowaliśmy się na szybki podjazd.

Po dojeździe jako *security* złapałem swój sektor – fakt, noktowizja i latarka nie były potrzebne, latarnie w całej okolicy świeciły bardzo jasno. Świeciłem wskaźnikiem laserowym po głowach ciekawskich, ukazujących się ponad balustradami wieńczącymi dach. Żadna z operacji nie minęła mi tak szybko; słyszałem tylko przez radio, że chłopaki natrafili na magazyn z wyrzutniami raketowymi domowej roboty, ale natknęły się też na bardziej niebezpieczne znalezisko: mapy z rozrysowanymi bazami, które wyznaczono jako cele na kolejne ostrzały. Det One pobiegali trochę po swoich obiektach – a byli to duzi faceci; ze sprzętem taktycznym każdy z nich ważył całkiem sporo. Podczas podjazdu ze śmigłowca przyszła informacja, że z obiektu ktoś wybiegł i ucieka, ale u Marines trafił się sprinter; dogonił gościa i zaraz okazało się, że niedoszły uciekinier nie ma jednej ręki. Złapano też drugiego, który schował się na polu, ale snajper wypatrzył go dzięki noktowizji, a więc tej nocy mieliśmy komplet. Po południu przyszło info, że praktycznie cała komórka została rozbita, a jak będą do nas strzelać, to już nie ci z tej bandy, a ktoś inny – na co zresztą nie trzeba było długo czekać, ale ataki zdarzały się już tylko sporadycznie.

„Bogom nocy równi” – po lekturze książek Sergiusza Piaseckiego sam zacząłem wierzyć, że my, tu, w Bagdadzie, tacy właśnie jesteśmy. Nasza taktyka, zgranie, doświadczenie i przewaga

technologiczna sprawiały, że cele, które kiedyś wydawały nam się skomplikowane, teraz robiliśmy z marszu. Planowanie skrócone do minimum, szybkie przestrzelanie broni, dwa magazynki z pistoletu, kolejne dwa z M4 – jeśli *gunner* miał ochotę, to i pięćdziesiątkę odpalił; moich ładunków nie musiałem testować, precyzyjnie wydmuchiwały zamki w każdych drzwiach. Ale i druga strona zaczęła podnosić poprzeczkę – przestali czuć się bezpiecznie, nikt nikomu nie ufał. Gdy nasz potencjalny cel wchodził wieczorem do jakiegoś domu, nie oznaczało to wcale, że tam zaśnie i zastaniemy go w środku – równie dobrze mógł obudzić się rano kilka domów dalej; nikt nie był w stanie tego zweryfikować i ustalić, jak się tam przemieścił.

Nasz kolejny cel zachowywał się dokładnie tak, jak to właśnie opisałem: nikomu nie ufał, co chwilę zmieniał plany, rzadko przychodził punktualnie i w ostatniej chwili wybierał nowe miejsce spotkania. Nocą nie udałooby się nam go zatrzymać. Był jednak ważny, bardzo ważny, ustalono więc, że trzeba go zawinąć w ciągu dnia. Dostaliśmy pakiet informacji i kilka cywilnych samochodów. No to do roboty!

W biały dzień, w samym centrum Bagdadu. Operacja miała kryptonim „Rifle”. Człowieka skuszono możliwością zakupu sporej ilości broni i amunicji, odbyło już z nim kilka spotkań, coś tam dostał, żebyśmy mogli się uwiarygodnić. Na kolejne spotkanie miał przyjść z kimś ważnym; co więcej, zauważono, że zawsze kręci się przy nim kilku podejrzanych typów. Kiedy poskładaliśmy tę robotę w całość, okazało się, że jest nas mało. Do pracy zostali zaprzężeni dosłownie wszyscy: nasi logistycy, łącznościowcy, finanse... W bazie Camp Pozzi został tylko wartownik, no i Romek z Tadkiem, a to tylko dlatego, że obie były już blisko rozwiązania. Bardzo wcześnie rano pojechaliśmy do zielonej strefy; dawno nie byłem w Bagdadzie w ciągu dnia. Rok temu chodziłem po tym mieście razem z Tytanem, robiąc zakupy na straganie z warzywami i targując się o cenę jajek, a teraz wszyscy tu patrzą na nas złowrogo.

Czekanie na robotę jest gorsze niż samo działanie. Ciągłe spływają sprzeczne informacje, to gość jest, to go nie ma, wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie. Siedzimy i śledzimy sytuację na mapach. Zachowuje się, jakby czuł pismo nosem – zmienił lokalizację wyznaczoną na spotkanie; w nowe miejsce, które zaproponował, nie dojedziemy w zakładanym czasie. Zdarza się i tak, że nic od nas nie zależy; trzeba czekać na rozwój sytuacji.

Nagle przychodzi info, że on już czeka – w restauracji, w której pierwotnie planowane było spotkanie. Jesteśmy gotowi dosłownie w kilka sekund. Pierwsze wyjeżdżają cywilne samochody, a chwilę później my. Ruch jest spory, jak to w zatłoczonym mieście, ale przebijamy się jakoś chodnikami – policjant na skrzyżowaniu daje nam pierwszeństwo przejazdu (jak to dziwnie brzmi). W eterze kotłuje się od informacji – już nawet mogłem tego nie słuchać, szum nie mniejszy niż na ulicy.

Dzień cholernie gorący, samo południe, a my w całym sprzęcie, w hełmach na głowach i w goglach... Słony pot lał mi się do oczu, aż piekły źrenice. W radiu wyłapałem tylko tyle, że GPS wysiadł i Tytan jedzie na czuja – i weź tu przed robotą nie studiuj mapy rejonu działania, ba, całego miasta! Ale mamy dobrego nawigatora, a porównując mijane ulice z tym, co sam zapamiętałem, stwierdzam, że jedziemy dobrze. Nie ma szans, by ktoś wjechał między nasze HMY, ale ścisk jest taki, że wręcz kopię w maskę białej toyoty, by się zatrzymała i dała nam przejechać chodnikiem. Staramy się jednak działać delikatnie, żeby w miarę możliwości nie zwracać na siebie uwagi, żeby nie było widać, jak bardzo nam się spieszy.

Słyszę, że gunnerowi skończyły się kamienie i zachrypl od krzyku. Jedna minuta do celu. „Jak, kurwa, jedna minuta, skoro stoimy w korku?“, myślę sobie, ale SEALs w pierwszym HMY ma jaja, przestał się cackać i wziął na zderzak stojącego przed nim vana, wpychając go na trawiasty placek na środku ronda. Już jesteśmy na miejscu, gdzie tylko kątem oka widzę ekipę biegnącą do restauracji. Nagle ten cały tłum jakby wyparował, nasz kordon jest szczelny w obie strony. W takiej chwili głowa szaleje, łapiąc wszystkie

możliwe sektory, nie ma nudy, bo postronne osoby pojawiają się i znikają na wielu dystansach.



**Praca w takim zespole daje dużo satysfakcji – na pierwszym planie
Strażak**

Ufam, że żołnierzom Marines robota idzie zgodnie z planem; czuję się jak niemy świadek operacji, która rozgrywa się w środku dnia na ruchliwej ulicy. Za plecami słyszę trochę szamotaniny i kilka głośno wykrzyczanych komend, po czym pod restaurację podejżdża wyznaczony hummer. Takie chwile potrafią naprawdę długo trwać, ktoś gdzieś na kogoś krzyczy, słysząc arabskie słowa wypowiedane to z polskim, to z angielskim akcentem. Wreszcie i dla nas pada komenda: „Desant, desant”. Teraz już bez żadnych zahamowań zapieprzamy, ile fabryka dała, w stronę zielonej strefy. Lufę mego M4 mam tak daleko wystawioną poza obrys HMV, jakby miało to

zwiększyć jej zasięg podczas strzelaniny, ale jedynie groźnie celuję, dając znać, że nie będziemy się wahać i odpowiemy z całą naszą mocą na jakiekolwiek zagrożenie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się spościłem, skorupa kamizelki kuloodpornej pali i w plecy, i w klatkę, cholera, całą kreatynę wycociłem – i weź tu, człowieku, rób masę.

Dopiero w bazie dowiedzieliśmy się, że cel został zgarnięty zgodnie z założeniem – co więcej, przyszedł na spotkanie nie sam, a właśnie z tym ważnym gościem, więc dowództwo chyli czoła, że zgarnęliśmy i tamtego.

Czas na stołówkę. Goszczą nas. W zielonej strefie życie wygląda całkiem normalnie – nie ma to jak dyplomacja, sztabowcy i pracownicy cywilni wojska mają jakby inne twarze. Tu, w amerykańskiej stołówce, jest luz, tylko jakoś dziwnie na nas patrzą, nasze mundury i bluzy z zaschniętymi śladami po wypoconej soli różnią się od ich czystych, z kilkoma długopisami upchniętymi w kieszonki na rękawach – nasze w dodatku polskie, a nie amerykańskie, tym bardziej więc wzbudzają zaciekawienie. Chwila konsternacji, ale nie czujemy sztucznego dystansu. Oni wiedzą, z kim przyszło im dzisiaj jeść lunch przy jednym stole. Miło czuć na plecach przyjazne poklepywanie ludzi, którzy często anonimowo stoją za naszymi operacjami; zjawił się też jakiś pilot gunshipa, który niezmiernie ucieszył się na nasz widok, bo do tej pory oglądał nas tylko z powietrza.

Ale my i na nich wszystkich patrzymy z szacunkiem, wiemy że nasza robota nie bierze się znikąd: ktoś zbiera informacje, potem ogromna praca nad danymi wywiadowczymi spada na analityków, ważna jest też rola sztabu i komórek operacyjnych w zgraniu całości wojennej maszyny w jedną całość, a na końcu dopiero my, więc i im w tych nienagannie odprasowanych mundurach należy się duży szacunek. Właśnie w takich okolicznościach pozbyłem się ostatniej flagi z mojego polskiego munduru, a spokojnie mógłbym zostawić tam i cały swój mundur.

Po zakończeniu misji w 2004 roku Det One zaczął przygotowania do ewentualnego drugiego wyjazdu. Jednak ktoś tam na górze zrezygnował z tego pomysłu – a szkoda, bo byli to świetni żołnierze; wystarczyło ich tylko doposażyć, a na pewno robiliby dobrze tę robotę. Potem przeczytałem, że w 2006 roku Det One została rozwiązana, a jej żołnierze poprzenoszeni do innych oddziałów Korpusu Piechoty Morskiej. Widać nie tylko u nas marnuje się ludzi – a może po prostu ja czegoś nie wiem, a politycy owszem.

Romek z Tadkiem prawie jednocześnie się oszczeniły. Choć bardziej byłem przywiązany do Romka (bo to jego przyniosłem do Pozzi), to jednak Tadek okazał się lepszą psią mamą: Romka trzeba było wręcz nosić do karmienia na rękach, Tadek zaś sam troszczył się o swoje szczeniaki. Pieski rosły szybko. Okazało się, że Amerykanie mają w Camp Victory panią weterynarz, która przyjechała, odrobaczyła i zaszczepiła nasze stadko. Potem już częściej przyjeżdżała na oględziny psów i przy okazji uczyła kogoś angielskiego – to się nazywa zawód z pasją.



Wychowaliśmy na irackiej ziemi własną rasę psów – tu widać bardzo waleczne szczeniaki

Gdy psiaki podrosły, rozpuściliśmy wici, że w Camp Pozzi są do oddania speczsczeniaki, bo u nas nie bardzo było co z nimi zrobić – Romek i Tadek na watchu całkowicie wystarczały. O wyznaczonej godzinie doznałem szoku: pod bramą campu ustawiała się kolejka wojskowych wozów. Każda z ekip, do której dotarła wieść o psach, chciała się zaopiekować szczeniakami. Jakiś sierżant abramsa narzekał, że gdyby wiedział wcześniej, przyjechałby czołgiem i na bank dostałby pieska – a tak się spóźnił i dla jego kompanii już psa od specjalsów zabrakło. Brama campu zamknęła się...

Po zakończonej wspólnej misji z Marines nie wypuściliśmy kapitana Fiscusa z Det One z pustymi rękami – odwaliliśmy wspólnie kawał roboty, dało się odczuć, że gość mocno nas wspiera i jednoczy się z nami. Z tego, co wiem, po powrocie do USA poza

giftami dostał od nas honorową odznakę GROM-u – to znaczy, że został wpisany na listę honorowych członków naszej jednostki. Zapracował na to. Honorowym członkiem naszej jednostki został też jeden z dowódców Navy SEALs – co chyba oczywiste, chodzi o Drago. Zresztą, nie jest on tylko honorowym członkiem naszej jednostki. Wspólnie przeprowadziliśmy tyle operacji bojowych, że nikt nie podważy stwierdzenia, że Tomek po tej irackiej wojnie poniekąd wrócił do domu i stał się na niej żołnierzem Polskiej Jednostki Specjalnej GROM.

I my jesienią wróciliśmy do kraju. Po wylądowaniu w Polsce codziennie z uwagą śledziłem wydarzenia z Iraku, z drugiej bitwy o Faludżę. Brali w niej udział nasi koledzy i przyjaciele Marines z Det One, z Zielonych Beretów, z 5th SFT, Marine Force Recon, no i oczywiście z Navy SEALs. Mój czas w Camp Pozzi dobiegł końca; na kolejną zmianę do Iraku nie było kogo wysłać, nasze moce przerobowe trochę się wyczerpały. Camp Pozzi i to, co tam robiliśmy, to były bez wątpienia moje najlepsze lata w GROM-ie, które zmieniły nas, chłopaków z Marsa, w facetów wprawionych w boju. Przypominam sobie nasze pierwsze spotkania z Navy SEALs, SAS czy Delta Force – tam rzadko trafiało się na chłopców, w większości spotykało się dojrzałych facetów, zazwyczaj po trzydziestce; teraz w większości tacy byliśmy także my.

To nie był jednak nasz – mój – koniec wojny w Iraku. wróciliśmy jeszcze nad Tygrys i Eufrat... ale to już była zupełnie inna wojna.



Naval - Ambasador Helikon-Tex®

Cały sprzęt Helikon-Tex® w jednym miejscu

WWW.HELIKON-TEX.COM

#Journey to Perfection



POLISH SPECIAL FORCES to jedyna strona w mediach społecznościowych prezentująca unikatowe zdjęcia od byłych operatorów polskich jednostek specjalnych


z misji w Iraku i Afganistanie oraz od funkcjonariuszy jednostek antyterrorystycznych i służb specjalnych z okresu ich służby.


Właścicielem strony jest Krzysztof Mątecki znany w środowisku pasjonatów i kolekcjoner zdjęć jednostek specjalnych, który od lat z powodzeniem tworzy i rozwija swoje strony.


Zajmuje się również prowadzeniem stron dla byłych żołnierzy sił specjalnych i firm związanych z jednostkami specjalnymi, promuje ich szkolenia.



 /POLISH_SOF/

 /jw_formoza

 /POLISHSOF/

 /JednostkaWojskowaFormoza/

Fot. SOF PROJECT KRZYSZTOF PUWALSKI

POLSKA-ZBROJNA.PL
SKLEP.POLSKA-ZBROJNA.PL

POLSKA ZBROJNA

PORTAL INFORMACYJNY I MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY O POLSKIEJ ARMII



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Twoja armia – Twoja duma!

Polecamy!

*Izabela Borańska-Chmielewska, redaktor naczelna magazynu
Anna Putkiewicz, redaktor naczelna portalu*

FACEBOOK

Prężnie działający profil gromadzący sympatyków SPECIAL OPS



WYDANIA SPECJALNE

SPECIAL OPS EXTRA, KOMPENDIUM SPECIAL OPS, seria wydawnictw tematycznych związanych ze światem sił specjalnych



CZASOPISMO

Profesjonalnie przygotowany magazyn na temat jednostek specjalnych

GADŻETY

Koszulki, kubki, karty do gry - wszystko z logo SPECIAL OPS



WWW

Portal z dostępem do wiarygodnych publikacji



E-NEWSLETTER

Aktualności ze świata sił specjalnych, wywiady, nowości, informacje o targach



e-book

KSIĄŻKI

Beletrystyka, wspomnienia, historia - świat sił specjalnych na wyciągnięcie ręki



www.special-ops.pl



FUNDACJA NIEZAPOMNIANI

RAZEM WSPIERAMY POLSKICH WETERANÓW!

Nasze ostatnie projekty:



Bezpłatne obozy szkoleniowe dla uczniów klas mundurowych.

Ekstremalny bieg terenowy
GROM Challenge - Siła i Honor.



Udzielanie pomocy
potrzebującym jej żołnierzom
JW GROM oraz ich rodzinom.
Wspieranie inicjatyw
sportowych żołnierzy.

Razem pomóżmy tym, którzy poświęcili życie służbie

Wspomóż naszą działalność dotacją 04 1020 1127 0000 1902 0250 7523

Liczymy na Twoje wsparcie!



SZKOLENIA SPECJALISTYCZNE

PROWADZONE PRZEZ INSTRUKTORÓW JW GROM

STRZELECKIE, TAKTYKA, MEDYCYNA PÓLA WALKI, EVENTY MILITARNE,
JAZDA OFENSYWNA, GROM COMBATIVES, OCHRONA VIP I INNE.

TERMINY I INFORMACJE O SZKOLENIACH

WWW.GROMGROUP.PL - FACEBOOK.COM/GROMGROUP



THERE IS NO ROOM
FOR COMPROMISE

VANGUARD
Combat Shirt®

VANGUARD
Combat
trousers®



WWW.DIRECTACTIONGEAR.COM

FRAG OUT!

WWW.FRAGOUTMAG.COM



The
Best
Online Military Magazine
in Europe.



#FRAGOUTMAG

FOR FREE

ZAKŁADKI KARTONOWE
ZAKŁADKI MAGNETYCZNE
TORBY BAWELNIANE
SKARPETKI
STÓPKI
KOSZULKI
I INNE AKCESORIA...



WSZYSTKO DLA MOLI KSIĄŻKOWYCH!


WWW.MOLOM.PL

JESZCZE
JEDEN
ROZDZIAŁ
I IDĘ SPAĆ.



MOLOM

DEDYKOWANE WSZYSTKIM MOLOM KSIĄŻKOWYM,
MAŁYM I DUŻYM



NAVAL – służył w GROM-ie przez czternaście lat jako operator w zespole bojowym. Sporą część tego czasu spędził na misjach zagranicznych w Zatoce Perskiej, Iraku i Afganistanie. Za swoją służbę był wielokrotnie odznaczany, w tym najwyższymi odznaczeniami wojskowymi, jakie można otrzymać w Polsce za czyny bojowe poza granicami kraju, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Krzyża Wojskowego, Krzyżem Komandorskim Orderu Krzyża Wojskowego i Złotą Odznaką GROM-u. Był pierwowzorem postaci GROM-owca do gry komputerowej *Medal of Honor. Warfighter*. Prowadził program survivalowy „Ekspedycja – odkrywcy drugiej natury” (emitowany na antenie Discovery Channel Polska). Jest autorem książek: *Przetrwać Belize*, *Ostatnich gryzą psy*, *Zatoka*, *Camp Pozzi* oraz poradnika treningowego *Ekstremalnie*.



GROM to nie jest logo, nazwa obiektu, muru czy uzbrojenia. GROM tworzą ludzie – ludzie z ogromną pasją.

Twórca GROM-u generał Sławomir Petelicki wiedział, że aby stworzyć tak elitarną jednostkę, nie wystarczy przebrać ludzi w wypasione mundury i berety czy wyposażyć w uzbrojenie, którego zazdrościł nam świat. Aby powstała nowa żołnierska jakość, najważniejsza była zmiana mentalna.

Naval opowiada właśnie o takich ludziach, którzy z pasją, wielkim uporem i determinacją taką przemianę przeszli. Stali się elitą. Zostali uznani za najbardziej skutecznych żołnierzy jednostek specjalnych. Ta książka to ukłon w ich stronę.

Chłopaki z Marsa znowu lądują w Iraku, a misja stabilizacyjna przekształca się w brutalną wojnę. Nadżaf, Faludża, Mosul czy Karbala stały się miastami, w których trwały regularne bitwy. Wszędzie tam był GROM. Po piętnastu latach przyszedł czas na prawdę o tamtej rzeczywistości.



30 lat
GROM-U

PARTNERZY:



DiAnti

KSIĄŻKA DOSTĘPNA
RÓWNIEŻ JAKO:



PATRONI:



POLSKA
ZEROJNA



www.swiatksiazki.pl

